



JOHN MARSDEN

JUTRO 6

CIENIE

PONAD 4 MILIONY FANÓW NA CAŁYM ŚWIECIE!

Marsden John

Jutro 06

Cienie

Tu Ellie. Chciałabym wam opowiedzieć o tych, którzy ostatnio sporo zmienili w naszym życiu.

Ale może zacznę od początku...

To Homer i Fi najbardziej chcieli im pomóc. Kevin, jak zawsze zresztą, na początku stchórzył. A ja nie potrafiłam się zgodzić z Fi i jej pomysłami. Fi była wściekła. A ja zaczęłam się zastanawiać. Może faktycznie nie powinnam zawsze obstawiać przy swoim zdaniu? W końcu działamy razem. Pojawił się ktoś, kto nas bardzo potrzebuje. I to powinno być w tej chwili najważniejsze.



1

Było gorąco i parno. Nieruchome słońce wisiało na niebie przez cały dzień. Wszystko widziało i niczego nie wybaczało. Czasami miałam wrażenie, że zostałam sama na świecie, tylko ja i słońce, i w takich chwilach rozumiałam, dlaczego ludzie w dawnych czasach bali się go i czcili je.

Nienawidziłam słońca. Od miesięcy nie miało dla nas litości. Spalało wszystko. Wszystko, co nie zostało osłonięte, ukryte albo nie było podlewane, wysychało na wiór.

Mieliśmy połowę grudnia, a do średniej miesięcznych opadów brakowało nam jeszcze aż czterdziestu mililitrów. Zbiorniki przypominały błotniste sadzawki, a bydło snuło się po tym schnącym mule, bardziej zainteresowane ochłodzeniem się niż jedzeniem.

Pracowałam z tatą w polu. Miał przyjechać jeszcze Quentin, ale jak zwykle się spóźniał i tata był wściekły.

- Nie wiem, dlaczego zawracam sobie nim głowę - powiedział do mnie, kiedy czekaliśmy. - Jeśli ta nowa kobieta jest cokolwiek warta, załatwi połowę jego roboty w trzy miesiące.

Krowy hałaśliwie tłoczyły się wokół. Nie wiedziały, co się dzieje i wcale im się to nie podobało. Zamknęliśmy sto pięćdziesiąt sztuk na pastwisku, a mniej więcej trzydzieści zagoniliśmy do zagrody, żeby przegonić je potem wąskim przejściem - oczywiście po uprzednim oddzieleniu matek od cieląt. Dlatego zwierzęta muczały i zawodziły, przesuwając się w przód i w tył. Człowiek był do tego tak przyzwyczajony, że przeważnie nie zwracał na to uwagi, ale czasami cały ten hałas zaczynał działać na nerwy i miało się ochotę walnąć biedne krowy obuchem w łeb.

No, niezupełnie. Przecież nie mogły nic na to poradzić. Po prostu były dobrymi matkami. Dobrymi matkami i lojalnymi dziećmi.

Zobaczyliśmy mały tuman kurzu wzbijanego przez Quenti-na na Cooperze, jednym z naszych bardziej płaskich pól. Cooper ma około dwudziestu pięciu hektarów. Został tak nazwany na cześć żołnierza osadnika, który zajął sąsiednie ziemie po pierwszej wojnie światowej i wytrzymał na nich siedemnaście lat, dłużej niż większość innych ludzi. Gdy bank przejął jego majątek, pan Cooper zaczął pracować dla mojego dziadka. Umarł na niewydolność wątroby. Ostatecznie jego ziemia trafiła w nasze ręce: tata kupił ją, jeszcze zanim się urodziłam, i teraz tworzy ona naszą wschodnią granicę, tyle że siedem pól połączyliśmy w trzy: Spaloną Chatę, Nellie i Coopera.

Quentin jak zwykle nie zadał sobie trudu, żeby przeprosić za spóźnienie. Miał ochotę oprzeć się o zagrodę i ponawiać przed pracą, ale tata nie chciał o tym słyszeć: Quentin liczy sobie od godziny. Dlatego włożyliśmy ciuchy robocze i od razu wzięliśmy się do roboty. Ręka Quentina w długiej rękawicy zniknęła w pierwszej krowie. Po chwili skinął w naszą stronę i cofnął się, żebyśmy mogli wpuścić następną.

Moje zadanie było dość łatwe. Najpierw we troje zagoniliśmy krowy do najmniejszej zagrody, a potem musiałam tylko operować wielką stalową zasuwą, kiedy krowa wchodziła do boksu, i otwierać bramę, gdy już mogła przejść na sąsiednie pastwisko. Czasami do krowy przyplątywał się cielak, co w niczym nie przeszkadzało, jeśli był z przodu, ale utrudniało sprawę, jeśli znalazł się z tyłu, bo wtedy Quentin nie mógł się dostać do zadu. To był w zasadzie jedyny problem.

Miałam mnóstwo czasu na rozmyślenia. Przeważnie obserwowałam Quentina. Noszenie tej samej rękawicy przez cały poranek zawsze wydawało mi się bardzo niehigieniczne. Przecież mógł przenosić zarazki z jednej krowy na drugą, prawda? Kiedyś go o to zapytałam i powiedział, że takie rzeczy prawie nigdy się nie zdarzają. I jak to możliwe, że krowom nie przeszkadza jego ręka, którą wsadza tak głęboko? W wypadku niektórych, tych spokojnych, wystarczyłoby po prostu ustawić krowy w rzędzie, a Quentin mógłby najzwyczajniej przespacerować się od jednej do drugiej, załatwiając sprawę z marszu, po kolei.

Homer powiedziałby pewnie, że one to lubią, ale Homer to Homer.

Dotknęłam końca stalowej rury tworzącej najbliższą mi poprzeczkę. Miała nieco ostre krawędzie, a niedaleko mojej głowy wystawał z niej bolec. Tata zawsze powtarzał, że powinniśmy trzymać niebezpieczne elementy z dala od ogrodzeń. Siniaczy-ty bydło, a na to nie mogliśmy sobie pozwolić. Ze względu na potrzeby japońskiego rynku panował szal na mięso lekko po-przerastane tłuszczem. Wszystko musiało być idealne. Rolnicy zostali wystawieni na ciężką próbę. Ci, którzy bili zwierzęta, odpadali z gry. Nawet pan George odłożył kij do krykieta, którym

dawniej przeganiał je z pola na pole. Tak naprawdę potrzebowaliśmy jednak okrągłego wybiegu, bo taki zapewnia lepszy przepływ bydła. Rodzice Homera mieli okrągły wybieg. Moje rozmyślenia zostały przerwane.

- Ta jest pusta - powiedział Quentin.

Pusta. Paskudne określenie. O razu było widać, że większość rolników - i weterynarzy - to mężczyźni. Kobiecie nigdy nie przyszłoby do głowy użyć takiego słowa. Wypuściłam dwie pierwsze krowy, a tej pustej zatrzasnęłam bramę przed nosem. Quentin chwycił cęgi, podszedł do niej od tyłu, obciął jej ogon i oznakował. Przeszłam po barierce na drugą stronę i odsunęłam drugą zasuwę, żeby krowa z nowym krótkim ogonem mogła wyjść do osobnej małej zagrody.

- Witaj w Mieście Porażki - powiedziałam do niej. - Nie jesteś w ciąży. Zawiodłaś jako kobieta.

- Ellie, zamierzasz ją stamtąd wyprowadzić czy wolisz z nią prowadzić jakieś cholerne rozmowy? - zawołał tata.

Zrobiłam się czerwona. Miałam nadzieję, że nie słyszał, co mówiłam. Pomachałam jej kapeluszem przed mordą i wyszła. Ale to, co powiedziałam, było prawdą. Dostawały tylko jedną szansę, a jeśli im się nie udało, były skończone. Nie można było pozwolić, żeby zżarły całą trawę z pastwiska, skoro nie rodziły młodych. Po obcięciu ogona właściwie traciły wszelką wartość. Odsyłało się je do rzeźni. Nieważne, że miały miłą osobowość, poczucie humoru, umiały słuchać o czyichś problemach albo były naprawdę inteligentne. Jeśli zachodziły w ciążę, były wartościowe. Jeśli nie zachodziły, nie były.

W ósmej klasie mieliśmy młodego nauczyciela z miasta, zapomniałam, jak się nazywał. Kiedyś przypadkiem usłyszałam, jak mówił, że dziewczyny wychowane na farmach to straszne prostaczki. Boże, a jak tu nie być prostaczką? Odkąd pamiętam, patrzyłam, jak weterynarze wpychają ręce w krowie tyłki i macają im macice, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie są puste. Założę się, że ten nauczyciel nigdy nie musiał wyjmować nasion trawy z oczu czterystu owiec: całego tego śluzowatego świństwa o lekko zgniłym zapachu, od którego co chwila zbiera się na wymioty. Założę się, że nigdy nie musiał wyciągać martwego cielaka z rodzącej krowy - cielaka, który umarł tydzień wcześniej i rozkładał się w ciele matki. Poza tym zauważyłam, że nie wspomniał o prostactwie chłopaków. W porównaniu z niektórymi z nich przypominałyśmy stewardesy z Quantas Airways.

Następna pusta krowa najwyraźniej czytała mi w myślach, bo trochę się wściekła. Nie chciała się ruszyć, więc stuknęłam ją plastikową rurą. Nie lubiłam stosować nawet takich narzędzi, ale coś przecież musiałam zrobić, a nie sądzę, żeby plastikowe rury zostawiały siniaki. Krowa nadal stała w miejscu, więc trzepnęłam ją mocniej. Zaryła przednimi kopytami, opuściła łeb i spojrzała na mnie rozjuszona. W końcu musiałam pójść do toyoty Quentina po elektrycznego pastucha, ale nawet wtedy krowa okazała się uparta. Gdy w końcu zagoniłam ją do grona odrzuconych, przez dziesięć minut miotała się w przód i w tył jak rak w kociołku nad ogniskiem.

W zasadzie poranek okazał się nieciekawym, nie z powodu upału, ale dlatego, że było zbyt wiele pustych krów. Chyba z piętnaście na sto pięćdziesiąt sztuk. Kiedy skończyliśmy i pozwoliliśmy pozostałym zwierzętom wrócić na pastwisko, tata i Quentin oparli się o naszego land-rovera i zaczęli o tym rozmawiać.

- To pewnie przez tę suszę - powiedział Quentin. - Trochę straciły formę.

Nigdy nie lubiłam zadawać pytań, przez które wychodziłam na ignorantkę, ale już wieki temu zdążyłam się nauczyć, że jeśli się uważnie słucha, zazwyczaj można znaleźć odpowiedzi. Dzięki temu gdzieś po drodze dowiedziałam się, że krowy nie zachodzą w ciążę, jeśli tracą na wadze. Jeśli pasza jest słaba, cykl rozrodu zostaje przerwany i zanim ponownie się rozpocznie, krowy muszą osiągnąć odpowiednią wagę. Chyba w ten sposób natura uniemożliwia im rodzenie cieląt, których nie są w stanie wykarmić.

- Hmm - zamyślił się tata. - Może powinienem był dać im więcej czasu z bykiem? Miały tylko sześć tygodni. Pewnie przydałoby im się jeszcze ze dwa.

- Albo i miesiąc - podsunęłam.

Ostatecznie krowy zostały ułaskawione. Niełatwo spisać na straty aż piętnaście sztuk, więc wróciły do byka, żeby spróbować jeszcze raz. Nawet gdyby ostatecznie nie zaszły w ciążę, mogły przynajmniej dobrze się bawić, próbując.

Dzisiaj imprezujemy, jutro umieramy.

Dokładnie następnego dnia spadł deszcz, dobry ulewny deszcz, który wypełnił zbiorniki i okrył kraj zielenią, nawet jeśli było już za późno, by zapewnić nam urodzaj. Tyle że nigdy się nie dowiedziałam, czy tamte krowy zaszły w ciążę, bo niespełna miesiąc później nastąpiła inwazja i normalne życie skończyło się na zawsze. Nie było czasu na staranny ubój selektywny nieskutecznych osobników w ramach jakiegokolwiek długofalowego planu hodowli. Odkąd bombowce z warkotem przeleciały nam nad głowami, a na naszych autostradach zjawiły się czołgi i konwoje, mieliśmy czas tylko na jedno: na przetrwanie. Poświęciliśmy mu całą naszą energię.

Czasami wydawało się nawet, że to nie ma większego sensu. Po co cierpieć z powodu głodu, zimna, zmęczenia, oparzeń, ran postrzałowych, śmierci członków rodzin i przyjaciół, skoro koniec końców inwazja okazała się tak wielkim sukcesem, że nie mieliśmy co liczyć na odmianę naszego losu?

Codziennie zmieniałam zdanie na każdy temat. Jasne, wiem, że właśnie na tym polega bycie nastolatką, ale odkąd zaczęła się wojna, sprawa wyglądała tysiąc razy gorzej. Jednego dnia myślałam: „Nie jest tak źle, nadal pozostaje nadzieja, możemy wygrać”, a następnego dnia: „Boże, nie mamy szans, powinniśmy się poddać. Byłoby lepiej, gdyby od razu nas złapali”. To niesprawiedliwe: zostaliśmy obarczeni tak ogromną odpowiedzialnością tylko dlatego, że nas nie złapano. Mieliśmy niewiarygodnego fuksa, więc oczekiwano od nas, że będziemy ryzykować własnym życiem.

Ryzykować? Troje moich przyjaciół przekroczyło cienką granicę. Byli już martwi. Straciłam ich. Przyjaźniłam się z nimi, ale zniknęli z tej ziemi i wiedziałam, że już nigdy w życiu ich nie zobaczę - a wszystko przez tę przebrzydłą, podłą wojnę.

To wydawało się zupełnie przypadkowe. Nie wiem, dlaczego wybór padł akurat na Robyn, Corrie i Chrisa - o ile w ogóle można tu mówić o wyborze.

Najgłupsze było to, że wcale nie musieliśmy tu tkwić. Ciągle marzyłam o dniach spędzonych w Nowej Zelandii. Nie żebyśmy bez przerwy tam leniuchowali, oglądali telewizję, spali, jedli czekoladę i imprezowali. No dobrze, w porządku, faktycznie przez jakiś czas nie zajmowaliśmy się niczym innym, ale potem robiliśmy też pożyteczne rzeczy: ciężko pracowaliśmy, odwiedzając szkoły, organizując zbiórkę pieniędzy na wojnę i tak dalej. Do chwili, w której znowu wywarto na nas presję. Pułkownik Fin-ley, oficer z Nowej Zelandii, który z taką mocą opowiadał o tym, jak należy prowadzić tę wojnę, miał niezłą nawijkę. Nie winię

go za to, że skłonił nas do powrotu, ale żałuję, że nie wyszło lepiej. Nadal czułam niepokój, zastanawiając się, co spotkało nowozelandzkich żołnierzy, których zgubiliśmy niedaleko lotniska. Byłam dumna z tego, czego dokonaliśmy tam potem, oraz z tego, że przetrwaliśmy dzięki własnej pomysłowości i podjęciu ogromnego ryzyka, ale mimo to nie udało nam się odnaleźć Iaina, Ursuli i pozostałych.

A teraz znowu się ukrywaliśmy. Znowu. Połowa Stratton popadła w ruinę: wszędzie były leje po bombach, zaciemnione ulice i opuszczone domy. Przynajmniej dzielnica mojej babci nie ucierpiała aż tak bardzo i jej dom nadawał się do zamieszkania. Właściwie w ogóle nie został zniszczony, nie licząc odrobiny wandalizmu. Wiedliśmy tam jednak dość parszywe życie. Nie widywaliśmy zbyt wielu ludzi. Naszymi jedynymi sąsiadami były dzieci żyjące mniej więcej tak jak my. Wiedzieliśmy już, jak bardzo potrafią być agresywne i niebezpieczne. Czasami wyobrażałam sobie ulice miast i wiejskie pola wypełnione takimi wyobcowanymi ludźmi, mieszkającymi w norach i piwnicach, wychodzącymi nocą - mrocznymi, na wpół zdziczałymi stworzeniami.

Te dzieci bez wątpienia były równie przerażające jak żołnierze, którzy patrolowali przedmieścia na motocyklach.

W sumie wołałabym być z powrotem w Piekło. Jasne, najbardziej chciałabym być na farmie, pomagać Quentinowi i ojcu przeganiać krowy wąskim przejściem do boksu. Ale na to nie było szans, więc zadowolilabym się Piekłem. Tęskniłam za tą spokojną dziczą, za tym głęboko ukrytym schronieniem. Ale wiedziałam, że nie możemy tak po prostu tam wrócić. Musiałam to sobie ciągle powtarzać, zwalczając pokusę wybiegnięcia z domu i ucieczki ze Stratton. Wiedziałam,

że nie odważymy się jeszcze wrócić do lasu, że nie odważymy się podejść do Wirrawee. Czułam, że po naszym małym wyczynie na lotnisku będą nas szukali, dopóki się nie zestarzejemy.

Poza tym prawda wyglądała tak, że pozostając w Stratton, mogliśmy wnieść większy wkład w wysiłek wojenny. W tym mieście nadal było mnóstwo celów: wszędzie roilo się od żołnierzy. Miałam tylko nadzieję, że nie ma ich w Piekło.

Istniał jeszcze jeden powód, dla którego na razie nie chciałam wracać do lasu: tkwienie w kotlinie Piekła mogło nas przyprawić o klaustrofobię. Miałam wrażenie, że naszej piątce groziłaby tam potworna kłótnia. Do niedawna radziliśmy sobie na tej wojnie całkiem nieźle, ale teraz sytuacja była napięta. W Stratton mieliśmy okazję od siebie odpocząć i chyba nam się to przydało. Nadal chciałam mieć ich wszystkich w pobliżu, obok siebie. Potrzebowałam ich. Ale potrzebowałam też odrobiny przestrzeni.

Nie dogadywaliśmy się zwłaszcza ja i Lee. Byłam na niego strasznie zła. W naszym związku pojawił się problem. I w przeciwieństwie do problemów, które dotyczą banalnych spraw i na dłuższą metę nie mają większego znaczenia, ten był potworny i poważny. Nie wiedziałam, dokąd to wszystko zmierza. Wiedziałam tylko, że nasz związek wjechał na żwir, zaczął koziołkować i jeszcze się nie zatrzymał.

Więc mimo że od czasu do czasu robiłam sobie małe wakacje i wracałam pamięcią do tamtych utraconych dni sprzed wojny, nie potrafiłam się na nich skupić. Wspomnienia blakły. Specjalnie zaczęłam codziennie rozmyślać o rodzicach, żeby nie stracić z nimi kontaktu - z życiem, jakie kiedyś wiedliśmy. Tylko że było mi coraz trudniej. Bardzo często czułam

zbyt duży strach albo zmęczenie, a kiedy indziej po prostu zapominałam. Potem, kiedy nie potrafiłam sobie przypomnieć wyraźnych rysów ich twarzy, wpadałam w panikę i rozpaczliwie próbowałam odtworzyć z pamięci każdy najmniejszy szczegół naszego wspólnego życia. Tamten dzień z tatą i weterynarzem Quentinem macającym krowy, żeby sprawdzić, czy są w ciąży - z jakiegoś powodu zapamiętałam go tak realistycznie, że kiedy zamknęłam oczy, poczułam się tak, jakbym znów tam była. Ale tylko nieliczne wspomnienia udawało mi się odtworzyć w taki sposób. Większość pozostałych odpłynęła. Spiknięcie się ze Steve'em na imprezie w dziewiątej klasie, kopanie starej studni, próby dosięgnięcia jabłek rosnących na czubku drzewa, opieranie się o kuchnię Aga podczas rozmowy z mamą o paskudnych poletkach Nelsonów albo o problemach z Eleanor i naszą drużyną netballu, albo o tym, czy moja krótka srebrna sukienka nada się na imprezę u Robyn... Pamiętałam te chwile, ale nie czułam już ich zapachu, smaku, dotyku.

Inni ludzie brali pewnie środki uspokajające, pili alkohol albo sięgali po narkotyki, żeby się odciąć od paskudnej, szarej rzeczywistości. Ja niczego takiego nie miałam, ale i tak bym nie skorzystała. Kurczowo trzymałam się marzeń na jawie i starałam się robić z nich użytek. Na dłuższą metę nie mogły mi wystarczyć, ale lepsze to niż nic. W naprawdę przygnębiające dni pozostawały mi tylko one.

Marzenia na jawie bywały jednak niebezpieczne. Oceniając moje wyniki w szkole, nauczyciele zawsze podkreślali: „Ellie musi się bardziej skupić”. Wtedy aż tak się tym nie przejmowałam. Ale na tej wojnie koncentracja stała się kwestią życia lub śmierci. Nie usłyszysz trzasku łamanej gałązki i już po

tobie. Przeoczysz ciężarówkę zaparkowaną przy drodze i wpadasz w pułapkę. Stłumisz poczucie, że coś tu nie gra, i w następnej chwili leżysz na ziemi z lufą karabinu przyciśniętą do karku.

W dodatku nie tylko ty znikasz z powierzchni ziemi. Twój brak koncentracji może doprowadzić do śmierci przyjaciół.

Jasne, takie rzeczy zdarzają się nawet w czasie pokoju, kiedy zbyt nieuważnie prowadzisz samochód albo bezmyślnie obchodzisz się z bronią, ale tutaj ryzyko jest znacznie większe. W czasie pokoju nie ma ludzi, którzy cię szukają i chcą zabić.

Dlatego wzięłam się w garść i otrząsnęłam się ze wspomnień o krowach i cielakach w zagrodzie. Teraz snucie marzeń na jawie było tym, czym za dawnych czasów oglądanie telewizji - czymś, co się robi po skończonej pracy.

Przynajmniej teoretycznie.

Stałam obok zlewozmywaka w kuchni mojej babci w Strat-ton. Nappełniłam zlew do połowy wodą z wiadra, żeby obrać trochę ziemniaków. Myślałam o Bożym Narodzeniu, zastanawiając się, kiedy wypadnie. W zasadzie zupełnie straciłam poczucie czasu. Udało nam się przeżyć prawie cały rok, nie świętując niczyich urodzin. Niewiarygodne. Działo się tak głównie dlatego, że przeważnie nie mieliśmy pojęcia, jaki mamy miesiąc - nie wspominając o dniu. Czasami ktoś mówił: „Jest sierpień? Hej, w sierpniu mam urodziny”. Ale kiedy nasze dni wypełniły się ciągłymi atakami na wroga, ukrywaniem się w szkolnym budynku bez prądu albo zmianą wart o trzeciej w nocy, uwagi na temat urodzin odpływały na Drogę Mleczną, by ukazywać się przelatującym tamtędy kosmitom.

Poza tym cierpieliśmy na niedobór tortów.

Mimo wszystko smutno mi było na myśl, że przegapiłam własne urodziny. Kiedy byłam mała, nie przyszłoby mi do głowy, że coś takiego mogłoby się zdarzyć. Urodziny były przecież takie ważne. Nie, więcej niż ważne. Cały rok obracał się wokół urodzin i świąt Bożego Narodzenia. Miesiące oczekiwania, marzeń na jawie i nadziei. Zabawne było to, że potem nie wspominało się miesiącami tego cudownego dnia. W ciągu dwudziestu czterech godzin odchodził do przeszłości i pozostawało tylko myśleć o tym, jak długo przyjdzie czekać na następne wielkie wydarzenie.

Jedną z rzeczy, których nigdy nie rozumiałam u dorosłych, było to, że Boże Narodzenie ani urodziny nie sprawiały im już chyba przyjemności. Mówili oklepane formułki w rodzaju: „Najlepszym prezentem będzie dla mnie to, jeśli zaczniesz przynosić lepsze oceny” albo „W moim wieku nie chce się już żadnych prezentów”.

Nie chcieć prezentów! Nie potrafiłam sobie tego wyobrazić! Dla mnie taki dzień nigdy by nie nastał. Nigdy! Ale dorośli przemieniali to wszystko - zwłaszcza Boże Narodzenie -w koszmar. Tygodniami narzekali na takie sprawy jak zakupy, krewnych, niewysłane pocztówki, niekupioną jeszcze choinkę i niezainstalowane dekoracje. Wydawali się tacy zmęczeni, wkurzeni i zrzędliwi, kiedy chodzili i powtarzali: „Czasami żałuję, że nie obchodzimy Bożego Narodzenia co dwa lata” albo „To tylko jedno wielkie zdzierstwo”.

Czyżby nie zdawali sobie sprawy, że dla nas, dzieci, wcale tak nie było? Czy naprawdę zupełnie zapomnieli, jak to jest być dzieckiem?

Kiedyś w jakiejś książce znalazłam wiersz napisany przez dziecko. Jego fragment brzmiał tak:

Nikt nie może wejść Do naszego świata.

Otacza go ośmiometrowy mur, a dorośli mają tylko czterometrowe drabiny. Kurczę, święta prawda.

A mimo to obierałam teraz ziemniaki i myślałam: „No tak, jasne, że Boże Narodzenie przestało się dla nas liczyć. W tym roku nie będzie gwiazdki”.

Jaki tytuł nosiła ta książka doktora Seussa o stworze, który ukradł Boże Narodzenie? *Grinch: świąt nie będzie!* Nam ukradli je żołnierze.

To Homer jako pierwszy wpadł na pomysł podjęcia kolejnej próby nawiązania kontaktu z dzikusami. Tak nazywaliśmy gang dzieci, które biegały samopas po ulicach Stratton. Były naprawdę zdziczałe. Nie przypominały zwyczajnych małych łobuziaków. Były agresywne, niebezpieczne, przerażające. Napadły na nas, zaskoczyły nas skuteczniej niż żołnierze. Miały co najmniej dwie sztuki broni oraz łuk i strzały, które były pewnie równie śmiertelne jak kule, przy założeniu, że dzieci umiały się z nimi obchodzić.

Ale od jakiegoś czasu myśleliśmy o tym, żeby zrobić dla tych dzikusów coś dobrego. Potwornie było patrzeć na tak małe i tak stuknięte dzieci. Kiedyś Homer powiedział, że nie postawilibyśmy na nich krzyżyka, gdyby były naszym młodszym rodzeństwem. W jakimś nieokreślonym, abstrakcyjnym sensie wszyscy przyznaliśmy mu rację. Po prostu jeszcze się nie zebraliśmy, żeby cokolwiek z tym zrobić. Mieliśmy własne zmartwienia. Poza tym nie wiem jak w innych, ale we mnie te dzieciaki budziły cholerny strach. Po stresie i horrorach, przez jakie przeszliśmy, nie spieszyło mi się do kolejnych kłopotów.

Raz chciałam się z nimi podzielić jedzeniem. Zostawiłam je na ścieżce niedaleko ich kryjówek razem z karteczką z napisem: „JEDZENIE - CZĘSTUJCIE SIĘ”. Ale ku mojemu zaskoczeniu nawet go nie tknęły. Dziwne, bo na pewno były głodne. Kiedy napadły na nas w alejce, wydawały się marzyć o jedzeniu. Jeśli pochodziły z miasta - a właśnie tak podejrzewaliśmy - prawdopodobnie kiepsko im szło szukanie pożywienia. Przed wojną ich życie składało się pewnie z zakupów w supermarketach i z batoników czekoladowych. Otwierały lodówkę i częstowały się jogurtem, pomidorem albo marsem. Tak jak ci drugokla-siści z miasta, którzy biwakowali kiedyś na ziemi Mackenziech. Jeden z nich zapytał pana Mackenziego: „Jak nakładacie wełnę na owce?”

Tak czy siak, ktokolwiek zasugerował podjęcie kolejnej próby nawiązania kontaktu z tymi dziećmi, zdołał zaszczerpić tę myśl nam wszystkim. Zwłaszcza Fi bardzo zainteresowała się tym planem. Chyba minęło wystarczająco dużo czasu, żeby zapomniała, jak bardzo byliśmy przerażeni, kiedy znaleźliśmy się na ich łasce. Moje słowa o Bożym Narodzeniu naprawdę dodały jej energii. Podejrzewam, że od razu zaczęła sobie wyobrażać radosną bożonarodzeniową kolację ze wszystkimi zgromadzonymi przy udekorowanym stole i ze Świętym Mikołajem wpadającym przez komin z niespodziewaną wizytą. Na moim monitorze pojawił się inny obrazek: dzikusy pożerały renifery i dusiły Mikołaja. Ale nic nie powiedziałam. Nie chciałam niszczyć jej marzeń.

Fi to ostatnia z wielkich romantyczek.

Kevin nie był aż taki taktowny.

- Chyba żartujecie? - powiedział, kiedy zaczęłyśmy o tym mówić. - Przecież same mówiłyście, że te dzikusy o mały włos was nie wykończyły.

- Zgadzam się - dorzucił Lee. - Mamy wystarczająco własnych problemów. Wpakujemy się w poważne tarapaty, jeśli zacznie nam się wydawać, że możemy wszystkich ocalić.

Wprawdzie nie posunęliśmy się do głosowania, ale byliśmy wyraźnie podzieleni. Nasza dyskusja, która toczyła się w salonie babci, zakończyła się bez podjęcia decyzji.

Nie przyznałam się, że i tak mam oko na dzikusy. Ukrywały się w opuszczonym barze mlecznym przy Mikkleson Road. Ostatnio po cichutku przychodziłam tam nocą, przez park, zatrzymując się sto metrów od baru, żeby ich nie prowokować. Nie jestem pewna, dlaczego to robiłam - po prostu czułam niejasną potrzebę upewnienia się, że nic im nie jest. Zresztą i tak byłam w pobliżu, więc nie wymagało to ode mnie wielkiego wysiłku: prosta sprawa.

Potem na chwilę się do nich zbliżyłam, ale w inny sposób, niż mogłabym przypuszczać.

Było późne popołudnie. Nie widywaliśmy patroli na motorach między czwartą a szóstą, może miały wówczas zmianę warty. Sama wyruszyłam na mały patrol na drugim końcu West Stratton, niedaleko jednego z tych centrów handlowych, w którym jest tylko bar mleczny, smażalnia ryb, kiosk i apteka. W tym znajdowały się też punkt naprawy komputerów i sklep z używanymi rzeczami prowadzony przez Czerwony Krzyż, ale i tak było dosyć nudno, a poza tym w sklepach nie zostało oczywiście nic wartościowego.

Zarówno w Wirrawee, jak i w Stratton stały domy, które przyciągały uwagę. Można było mieć pewność, że każdy ładny budynek i każda okazała posiadłość zostały przetrząśnięte przez szabrowników. Dom mojej babci należał do największych w West Stratton, więc też został splądrowany, ale nie tak bardzo jak inne. Nauczyliśmy się, że nie ma sensu zawracać sobie głowy wielkimi budynkami, bo - podobnie jak w sklepach -nie pozostało w nich nic godnego uwagi. Sprawdzaliśmy przede wszystkim mniejsze domy.

Dlatego nie wiem, czemu weszłam do tego dużego domu przy Castlefield Street. Nie było konkretnego powodu. Po prostu się włóczyłam. Budynek wyglądał solidnie, wzniesiono go z ciemnej cegły i ciągnął się wzdłuż ulicy przez sto metrów. Nie wyglądał ładnie, ale z pewnością był duży. Na podwórzu był basen. Tak jak wszystkie baseny w tamtym okresie, okazał się brudny i pełen stojącej wody, która była tak ciemnozielona, że prawie czarna. Drzwi wejściowe były masywne, więc nikt nawet nie próbował ich sforsować. Tylne były naruszone, ale też nie ustąpiły. Za to boczne wejście nie stawiało większego oporu. Prowadziło do pokoju zabaw, dużego pomieszczenia z wypolerowaną drewnianą podłogą.

Weszłam do niego i usłyszałam czyjeś głosy. Przez chwilę myślałam: „Nie, to niemożliwe, pewnie gdzieś na zewnątrz ćwierkają ptaki albo bulgocze woda”. Oba te dźwięki zaskoczyły mnie wcześniej. Po chwili usłyszałam jednak cieniutki głos mówiący: „Teraz moja kolej”, i już wiedziałam, że nie mam do czynienia z żadnym ptakiem ani popsutą rurą. W środku było dziecko.

Instynkty, których nabyłam podczas wojny, wysłały mi wyraźną wiadomość. Wyraźną i niedającą się pomylić z niczym innym: „Uciekaj stąd!”. Te słowa krzyczały mi do uszu od wewnątrz. Nie mogłam udawać, że ich nie słyszę.

Ale ruszyłam naprzód. Przeszłam na paluszkach na drugi koniec sali i przykucnęłam przy drzwiach, tak żeby ktoś, kto wejdzie do środka, nie mógł mnie od razu zobaczyć. Głosy ucichły

i zaczęłam podejrzewać, że ich właściciele się wynieśli, ale po chwili usłyszałam je ponownie.

- Podnieś ją - powiedział ten sam głos co wcześniej.
- Zaczekaj, chcę ją przebrać - odpowiedziało inne dziecko.
- Pospiesz się.

Potem nowy głos, cichszy, mruknął:

- Ta szpilka jest złamana. Weź tę.

W dalszym ciągu nie słyszałam nikogo dorosłego. Drzwi były uchylone, więc zbliżyłam lewe oko do szczeliny. Nie zobaczyłam niczego z wyjątkiem długiego korytarza biegnącego w głąb budynku. Było w nim dość ciemno, a na podłodze zauważyłam te same wypolerowane deski co w pokoju zabaw.

Ostrożnie przeszłam przez próg i spojrzałam na korytarz. Na końcu były niskie schody, zaledwie trzy albo cztery stopnie, prowadzące do następnych uchylonych drzwi.

Największe niebezpieczeństwo tkwiło w moich butach, które mogły zacząć skrzypieć. Ruszyłam korytarzem, stawiając nogi ostrożnie i powoli. Kiedy byłam w połowie drogi, drzwi nagle się poruszyły, otwierając się w moją stronę. Zastygłam. Krew popłynęła mi do twarzy z taką prędkością, że miałam wrażenie, jakby paliła mi skórę. Drzwi przesunęły się o jakieś dwadzieścia centymetrów.

Potem pokonały tę samą odległość w przeciwną stronę, a ja odetchnęłam z ulgą. Po prostu był przeciąg.

Znowu rozległ się głos, tym razem wyraźniej. Pierwsze dziecko, dziewczynka, powiedziało bardzo zasmuconym tonem:

- Ale ona musi leżeć.

Zrobiłam jeszcze pięć kroków i znalazłam się na końcu korytarza. Zobaczyłam krawędź dywanu, był ciemnoczerwony i mniej więcej co dziesięć centymetrów zdobiły go zielone

herby. Dziewczynki szykowały się do kłótni. Rozpoznałam trzy głosy i byłam pewna, że wszystkie należą do dziewczynek.

- Połóż ją na łóżku - poleciała jedna z nich głośno i agresywnie.

- Nie - sprzeciwiła się druga. - Tak zrobiłyśmy poprzednim razem. Posadź ją na krześle. Potem tymi drzwiami mogą wejść żołnierze.

Usłyszałam wystarczająco dużo, by dojść do wniosku, że dziewczynki się bawią. Odgłosy bawiących się dzieci różnią się od wszystkich innych dźwięków. Nie sposób ich z niczym pomylić. Zabawy są bardzo wciągające i dzieci starają się mówić „dorosłymi” głosami. Właśnie tak zachowywały się te dziewczynki.

Nagle sprzeczka przerodziła się w zacieklą kłótnię. Jedna z dziewczynek, ta druga, powiedziała:

- Nie, nie dotykaj jej, ona jest moja!

- Właśnie, Brianna, przestań się rządzić - dorzuciła trzecia.

- Robicie to nie tak, jak trzeba! - krzyknęła w odpowiedzi Brianna. - Jesteście głupie. Dlaczego nie chcecie mnie chociaż raz posłuchać? Zawsze bierzecie stronę Casey.

Po chwili drzwi gwałtownie się otworzyły i stanęła w nich Brianna - to musiała być ona. Poznałam ją z zasadzki w alejce. Była jedną z tych najbardziej wyszczekanych. Ogniste maleństwo: rude, z poczerwieniałą ze złości twarzą. Miała mniej więcej dziesięć lat i nosiła fryzurę, która musiała być dziełem jakiegoś dziecka: niektóre kosmyki były za długie, inne za krótkie, a grzywka wyglądała tak, jakby przycięto ją podkaszarką. W rękę trzymała wielką jasnowłosą lalkę o głupkowatym wyglądzie, ubraną w brudną suknię ślubną.

Rzuciła na mnie jedno spojrzenie i rozdziawiła usta, jakby zobaczyła Kubę Rozpruwacza. Głośno przełknęła ślinę, mocniej ścisnęła lalkę i z powrotem wbiegła do pokoju.

- Tam jest ta dziewczyna! - krzyknęła do koleżanek, mijając je biegiem.

Od razu rzuciłam się w pościg, ale była za szybka. Otworzyła następne drzwi i zniknęła za nimi jak larwa komara przelatująca ci przez palce w korycie z paszą.

Odwróciłam się. Dwie pozostałe dziewczynki wybiegały drugimi drzwiami, równie szybko jak Brianna.

- Zaczekajcie! - zawołałam.

Skoczyłam ku tej, która była najbliżej, i chwyciłam ją za tył koszulki. Zaskakała i odwróciła się, żeby mnie uderzyć, ale nie trafiła. I tak ją wypuściłam, trochę dlatego, że koszulka wyslizgiwała mi się z dłoni, a trochę dlatego, że wcale nie chciałam jej zatrzymywać, nie chciałam jej brać do niewoli. Ale kiedy się uwolniła, wpadła prosto na otwarte drzwi i mocno się uderzyła. Jej czoło, nos, broda naprawdę ucierpiały.

Zatoczyła się do tyłu, trzymając się za buzię i płacząc, a ja złapałam ją po raz drugi.

- Już dobrze - powiedziałam - nie płacz. Nic ci się nie stanie. Tym razem się nie wyrywała. Stała i pozwalała się przytulać.

Głośno łkała, jak ktoś, kto nie płakał od lat, jakby ten płacz wydobywał się z jakiegoś miejsca głęboko w niej. Tuliłam ją chyba z minutę. Potem w drzwiach, bardzo ostrożnie, ukazała się trzecia dziewczynka. Najwidoczniej nie wiedziała, czego się spodziewać. Przez chwilę się w nas wpatrywała. Była ładnym dzieckiem, ciemnowłosą drobną dziewczynką o poważnych brązowych oczach. Wyglądała jak jesienny liść strącony lekkim wietrzykiem.

- Chodź, Casey - powiedziała niepewnym głosem.

Casey zawahała się, a potem się ode mnie odsunęła. Puściłam ją. Właściwie sprawiło mi to ból, dotkliwy ból. Ale nie mogłam jej zmuszać do pozostania. „Jeśli coś kochasz, pozwól temu odejść. Jeżeli nie wróci, to znaczy, że nigdy nie było twoje”. Nie darzyłam tych dzieci miłością, ale zrobiło mi się ich żal. Były urzeczywistnieniem *Władcy much*. W jednej chwili bawiły się lalkami, a w drugiej zmieniały się w okrutny uliczny gang, niebezpieczny i brutalny. Casey obejrzała się i spojrzała na mnie jakoś tak smutno. Wzruszyłam ramionami i powiedziałam:

- Nie zrobię wam krzywdy.

Wtedy ona zrobiła bardzo poważną, zdziwioną minę, jakby się zastanawiała, czy mi wierzyć.

- No, chodź - powiedziała po chwili druga dziewczynka, kładąc duży nacisk na drugie słowo.

I obie uciekły, nie patrząc już więcej w moją stronę.

Nie próbowałam za nimi iść, po prostu stałam i rozglądałam się po pokoju. Wyglądał na zwyczajny pokój dla dzieci. Wszędzie leżały porzucane zabawki. Podejrzewam, że dzieci przyniosły je z całego przedmieścia. Inwazja nastąpiła tak nagle, że przeciętne dziecko nie zdążyłoby zebrać takiej kolekcji. I chyba nadmiar zabawek nie jest niczym przyjemnym, bo te w pokoju wyglądały tak, jakby miały za sobą ciężkie przejścia. Naliczyłam sześć potłuczonych porcelanowych lalek i mnóstwo innych rzeczy. Na przykład domek na kółkach Barbie, który wyglądał tak, jakby ktoś na nim usiadł. Szczątki dwóch Głodnych Hipopotamów. Oraz rozbity na kawałeczki telefon. Widocznie zabawki na baterie robią się trochę wkurzające, kiedy te baterie się rozładują.

Poza tym było tam też sporo zabawkowych pistoletów i karabinów. Pomyślałam, że to dość interesujące. Zakładałabym raczej, że w obecnej sytuacji dzieci mają serdecznie dość broni

i nie będą chciały się nią bawić. Do tej pory powinny były ją naprawdę znienawidzić.

Na parapecie siedział jeden z tych poubieranych w różne stroje milutkich małych misiów z tworzywa przypominającego plastik. Ten miał na sobie garniturek z kamizelką oraz złoty zegarek na łańcuszku i teczkę. Wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie. Włożyłam misia do kieszeni, żeby podarować go Fi. Czasem my też potrzebowaliśmy zabawek.

Miałam przejąć wartę dopiero o północy, więc postanowiłam nie wracać od razu do domu babci. Był przyjemny wieczór, jeden z tych, podczas których światło gaśnie tak powoli, że nie zauważa się zapadającej ciemności. Jego natężenie zmienia się stopniowo, tracąc ostrość, jasność. Znika oślepiający blask. Znajdowałam się teraz w tej łagodnej fazie i znowu zapragnęłam uciec z miasta. Dla usprawiedliwienia postanowiłam poszukać grzybów. Spadło trochę deszczu, więc doszłam do wniosku, że powinnam znaleźć kilka sztuk.

Zabrałam dwie siatki z domu przy Castlefield Street i kluczyłam bocznymi uliczkami, aż w końcu dotarłam do dawnych terenów fabrycznych. Nadal stało tam kilka niezbombardowanych fabryk, które często pracowały w nocy, więc ominęłam je, okrążając zaplecze kręgielni.

Znalazłam mnóstwo grzybów wzdłuż drogi, ale tam było niebezpiecznie, więc zesłam na pola. W wilgotnej trawie też sporo ich rosło, tyle że przeważnie były to pieczarki karbolowe, które wyglądały jak wspaniałe polne grzyby, ale podrapane żółkły i od razu było wiadomo, że są trujące. No więc nie poszło mi tak dobrze, jak się spodziewałam. Mimo to znalazłam parę ładnych kepek, sześć grzybów zjadłam na miejscu, a resztę włożyłam do siatki, żeby podzielić się z przyjaciółmi.

Kiedy zbliżałam się do baru mlecznego i dzieliło mnie od niego jakieś sto metrów, poczułam coś dziwnego. Ktoś, kto nie pali, potrafi wyczuć dym papierosa z bardzo dużej odległości. Pozna jego zapach na czyimś ubraniu dzień po tym, jak ten ktoś zapalił na imprezie. Albo wyczuje go na własnym ubraniu, jeśli niedawno siedział obok kogoś palącego. No więc dolatywała mnie woń palonego papierosa.

„Nie mówcie mi, że te dzieci palą” - pomyślałam od razu, co było dość głupie, bo przecież wydawały się zdolne nawet do morderstwa. Kiedy na nas napadły, zastanawiałam się nawet, czy przypadkiem nie są pod wpływem narkotyków. Nie wiedziałam tylko, skąd miałyby je wziąć. Na tym etapie wojny wszystkie chodliwe produkty zostały już rozkradzione. Papierosy i alkohol zniknęły jako pierwsze.

Ale dzieci mogły przecież natrafić na jakieś ukryte zapasy.

Podkrađłam się dwadzieścia metrów bliżej i czekałam. Mijała minuta za minutą. Zapach papierosa zniknął, ale człowiek, który go palił, nadal musiał być w pobliżu. Przed wojną nie byłam cierpliwa, lecz teraz owszem. Wątpię, żeby niecierpliwi ludzie mieli szansę przetrwać. Nikogo nie widziałam. Sugerowałam się wyłącznie tym zapachem. W końcu zaczęłam dochodzić do wniosku, że mogłam się pomylić, że tylko mi się wydawało albo może poczułam zapach dymu z naszego kominka, albo że to dzieci, które teraz schowały się już w swoim barze mlecznym. Mimo to nie ruszałam się z miejsca. Minęła pewnie z godzina, może półtorej. Bolały mnie nogi - zwłaszcza łydki - stopy naprawdę dawały mi się we znaki i musiałam ciągle ruszać ramionami, żeby zlikwidować napięcie karku. Wykonałam mały taniec w miejscu, który tak naprawdę sprowadzał się do poruszania palcami u nóg, żeby przeszedł mi skurcz. Prawie zapomniałam, dlaczego tu jestem.

Aż nagle zauważyłam cień przemykający po trawniku przed bramą. Mignął mi tylko i natychmiast zniknął za rogiem. Nie widziałam go wyraźnie, ale mogłabym przysiąc, że należał do dorosłego mężczyzny. Zniknął, zostawiając mnie sam na sam z moimi myślami, obawami i wyobrażeniami.

A miałam ich wiele. W pewnym sensie łatwiej mi było stawić czoła patrolowi umundurowanych i uzbrojonych żołnierzy. Dokładnie wiedziałam, kim są. Wiedziałam, czego chcą. Ale jedna ciemna przyczajona postać skradająca się w krzakach? Nie miałam pojęcia, o co tu chodzi. Poruszyło mnie to - nawet bardzo. Szczerze mówiąc, okropnie się wystraszyłam. Nie wiedziałam, kto to może być ani czego chce.

Odczekałam jeszcze dziesięć minut, a w tym czasie mój umysł mnożył przeróżne możliwości. Wróciłam do domu babci i pobiegłam poszukać Homera. Potem dołączyli do nas Fi i Lee, a Kevin słuchał w milczeniu. Wszyscy byliśmy bardzo zaniepokojeni. Czuliśmy się trochę bezradni, wiedząc, co możemy albo co powinniśmy z tym zrobić. Zdziczałe dzieci nie chciały nas znać, ale z drugiej strony nie było żadnego sensownego powodu, dla którego miałby się przy nich kręcić ktoś dorosły, więc może powinniśmy byli je chronić bez względu na to, czy im się to podoba, czy nie.

Był środek nocy, więc pozostałym właściwie nie chciało się nic robić. Jasne, trochę dlatego, że nie mieliśmy żadnego planu. Ale szczerze mówiąc, głównym powodem było jednak to, że wszyscy czuliśmy się zmęczeni. Kiedy wróciłam, moi przyjaciele kładli się spać, a gdy człowiek myśli o śnie, trudno mu zmienić nastawienie.

To ja widziałam tego mężczyznę - i czułam zapach jego papierosa - więc chyba byłam w to bardziej zaangażowana,

bardziej świadoma niebezpieczeństwa i bardziej zaniepokojona. Bardziej niż inni czułam, że sytuacja wymaga szybkiego działania. Homer tylko rozłożył ręce i powiedział:

- Co możemy poradzić, Ellie? Moglibyśmy spróbować się do nich zbliżyć i je ostrzec, ale prawdopodobnie nas wtedy zastrzelą. Możemy podrzucić im do baru wiadomość albo coś w tym rodzaju. Ale z tym będzie identyczny problem. Jeśli zobaczą, że się zbliżamy, zaatakują. Musimy poczekać do rana.

- Myślałam, że jest ci ich żal - warknęłam.

- Bo jest, jasne, że tak. Ale to nie żaden program w telewizji, w którym pokazują, jak dziecko chore na raka jedzie do Disneylandu i wygląda jak aniołek, a ty masz siedzieć i ocierać łzy. Okej, to wojenne sieroty czy jak je tam zwą i gdyby pokazali je w telewizji, potrzebowałabyś całej ciężarówki chusteczek. Tylko że tu sytuacja wygląda inaczej, prawda? Jeśli nie będziemy ostrożni, te śliczne małe sierotki nas zabiją. Po prostu nie możemy tam iść w nocy.

Jeszcze kilka tygodni wcześniej Homer był zdecydowany pomóc tym dzieciom. Teraz, kiedy ja uznałam, że przyszła pora działać, zaczął się ociągać. A pozostali w zasadzie przyznali mu rację. Powiedzieli, że powinniśmy spróbować przekazać im wiadomość rano.

- Przecież nikt nie przyśle tu czołgów z powodu zgrai dzieciaków - powiedział Lee.

- Pewnie od dawna wiedzą, że one tu są - dodała Fi.

- Skąd wiesz, że szpiegował ich żołnierz? - zapytał Kevin. - Przecież to mógł być ktoś taki jak my.

W końcu się wkurzyłam i zniecierpliwiłam. Przez chwilę siedziałam naburmuszona jak małe dziecko. Potem, też jak małe dziecko, oświadczyłam:

- Dobra, jeśli nikt nie chce ze mną iść, pójdę sama. Łamałam wszystkie nasze zasady. Odkąd znaleźliśmy się

w Stratton, działaliśmy bardziej niezależnie, ale nie w sytuacji zagrożenia. Dotychczas tylko Lee złamał tę regułę i skończyło się to okropnie. Wiedziałam, że musimy trzymać się razem, ale nie umiałam się powstrzymać. Może byłam równie zmęczona jak pozostali. W każdym razie tak brzmi moje usprawiedliwienie. Zawsze się tak usprawiedliwiam. Reszta tylko na mnie spojrzała. Wszyscy wydawali się strasznie rozdrażnieni. Wreszcie Lee - o dziwo, właśnie on - powiedział:

- Ja z tobą pójdę.

- Nie tak szybko - wtrącił się Homer. - To dotyczy nas wszystkich. Co dokładnie zamierzacie zrobić? Zapukać do ich drzwi i zapytać, czy zechcą wam poświęcić kilka minut swojego cennego czasu?

- One mają paranoję - ostrzegła Fi. - Nas też uważają za swoich wrogów. Nie ufają nikomu.

To nie była dla mnie żadna nowina. Ale przyznaję, że w zasadzie tego nie przemyślałam. Miałam niewyraźny plan, że pójdę tam z szerokim głupim uśmiechem na twarzy, a dzikusy rzuca broń, uściskają mnie i poproszą, żebym je adoptowała jako starsza siostra albo matka. Chwila, w której Casey przyłgnęła do mnie w tamtym dużym domu przy Castlefield Street, zrobiła na mnie spore wrażenie. Poruszyła we mnie jakieś głębokie uczucia. Jeśli mam być szczerą, chyba właśnie dlatego zachowywałam się teraz inaczej niż pozostali. Ale poza tym miałam nadzieję, że dzieci przyjmą mnie lepiej, niż mogłyby przyjąć Homera albo Lee. Myślałam, że gdyby zobaczyły mnie tamte dziewczynki z Castlefield Street, nie spieszyłyby się aż tak bardzo z pociągnięciem za spust.

Z drugiej strony wojna zmuszała nas do improwizacji i ostatnio całkiem dobrze radziliśmy sobie na tym polu. Improwizacja stała się naszym stylem życia. Zaczynałam na niej polegać i mniej czasu poświęcałam na planowanie, jakby plany wcale nie były potrzebne. To była wielka zmiana.

Dlatego mimo że przez dwadzieścia minut siedzieliśmy w kręgu i próbowaliśmy znaleźć jakiś sposób na rozwiązanie tej sytuacji, w końcu Lee mógł powiedzieć tylko tyle:

- No tak, będziemy musieli coś wymyślić na poczekaniu.

Wszyscy byli już bardziej skłonni do współpracy. Moja uparta pogroźka, że pójdę sama, właściwie zdała egzamin. I nikt nie był na tyle niemiły, żeby wspomnieć o czekającej na mnie warcie.

Przez całą rozmowę coraz bardziej się denerwowałam, myśląc, że w barze mlecznym może się już dziać coś złego. Chciałam jak najszybciej tam pójść. Kevin mruknął, że postoi za mnie na warcie. Miałam co do tego pewne opory, ale za bardzo potrzebowałam jego pomocy, żeby robić zamieszanie. Poza tym nie byłam zachwycona, że idę sama z Lee - nie po tym, jak mnie zdradził ze swoją czarnowłosą dziewczyną. Mimo to wiedziałam, że brakuje innych możliwości. Więc z Lee u boku wymknęłam się w ciemność i ruszyłam prosto do baru mlecznego.

Dotarliśmy tam sześć albo siedem minut przed żołnierzami. Trzęsę się na samą myśl o tym, co by się stało, gdybyśmy spierali się przy kuchennym stole babci o pięć minut dłużej. Ale ostatecznie podkradliśmy się do baru mlecznego jak cienie wśród drzew. To też wychodziło nam już całkiem dobrze. Stanęliśmy za sosną i w milczeniu obserwowaliśmy teren. W barze panował zupełny spokój. Gdybyśmy nie wiedzieli, że one tam są, nigdy byśmy się nie domyślili. Ale ja byłam przekonana, że dzieci ukrywają się w środku - i że mają jakiś system bezpieczeństwa.

Nauczyło mnie tego doświadczenie nabyte przy okazji wcześniejszego kontaktu z nimi, kiedy ukrywały się niedaleko stajni. Zastawiły tam śliczną małą pułapkę: siatkę wypełnioną garnkami i rondlami, które narobiły prawie tyle samo hałasu co wylatujące w powietrze lotnisko. Dlatego uważnie wodziłam wzrokiem po ulicy i fasadzie budynku.

Mniej więcej cztery minuty później uszczypnęłam Lee w ramię i szepnęłam:

- Widzisz tamto ciemne miejsce?

Wskazałam odcinek ścieżki oddalony od baru o jakieś piętnaście metrów.

- Co z nim?

- Tam leży coś błyszczącego.

Wyteżyłam wzrok, próbując dojrzeć, co to takiego. Noc była bardzo ciemna, a miejsce, na które patrzyłam, znajdowało się w jednym z najciemniejszych odcinków ścieżki, osłoniętym rozłożoną markizą innego opuszczonego sklepu. Myślałam, że nie wzbudziłam tym zainteresowania Lee, bo najwyraźniej w ogóle nie patrzył w tamtą stronę, ale byłam w błędzie. Po chwili powiedział:

- Tam też jest coś takiego.

I wskazał ulicę po drugiej stronie.

Przesunęłam się, żeby lepiej widzieć, i podziałało: od razu zobaczyłam, skąd bierze się ten połysk. Te małe szczerwane lisy porozkładały duże arkusze blachy w różnych miejscach ścieżki, przede wszystkim od frontu budynku. Dzięki temu każdy, kto chciał się dostać do budynku, musiał nadepnąć na blachę, chyba że okazałby się na tyle sprytny, by ją podnieść i przesunąć. Tak czy siak, potworny hałas ostrzegłby dzieci o przybyciu intruza. Wystarczyło, żeby postawiły na czatach jedną

osobę, która dzięki arkuszom blachy zauważyłaby każdego nieproszonego gościa. I na pewno miały opracowaną jakąś drogę ucieczki.

Gdy tylko rozgryzłam ich strategię, usłyszałam ciche burczenie przypominające odgłos włączonej pompy. Ostatnio rzadko słyszeliśmy takie mechaniczne dźwięki, więc od razu zwróciliśmy na to uwagę. Znowu podeszłam do Lee. Nie musiałam nic mówić: najwidoczniej on też to usłyszał, bo obrócił głowę w stronę źródła hałasu i nasłuchiwał w wielkim skupieniu.

Gdy dźwięk przybrał na sile, zrozumiałam, co to takiego: nadjeżdżała jakaś duża ciężarówka z silnikiem Diesla, ale z małą prędkością. Zabawne, bo nie wydawała się mocno obciążona. To nie był jeden z tych chrzęszczących, zmęczonych odgłosów silnika zmuszanego do mozolnej pracy. Zaczęłam się poważnie niepokoić. Coś takiego nie powinno być tu dziać, na tych przedmieściach, o tej porze nocy. Jeśli ciężarówka może brzmieć podstępnie, ta z pewnością tak brzmiała.

- Co o tym myślisz? - zapytałam Lee nagłym tonem.

- Nie podoba mi się to - odpowiedział, rozglądając się trochę nerwowo. - Możliwe, że jadą tutaj. Albo do domu twojej babci.

Gdy wypowiedział to ostatnie zdanie, poczułam przerażenie. Nie przyszło mi do głowy, że mogą czyhać na nas.

Ale zanim zdążyłam cokolwiek zrobić w związku z tym nowym zagrożeniem, warkot ciężarówki nagle wydał się głośniejszy i bliższy. Nie miałam już żadnych wątpliwości, że jedzie tutaj, a poza tym nie przypuszczałam, że jest aż tak blisko. Dźwięk nadal brzmiał podstępnie i mógł się rozlegać zaledwie dwie przecznice dalej.

Zaniepokojeni wpatrywaliśmy się w ciemność. Kiedy już myślałam, że za chwilę ukaże nam się ciężarówka, pojazd się

zatrzymał. W jednej chwili słychać było cichy warkot silnika, a w następnej znowu otoczyła nas cisza nocnego powietrza.

- Co teraz zrobimy? - spytałam Lee szeptem.

Nie odpowiedział i zdałam sobie sprawę, że ma równie mało pomysłów jak ja.

- Ty spróbuj ostrzec dzieci - powiedziałam. - Ja pójde zerknąć na ciężarówkę.

Tym razem też nie odpowiedział, ale po chwili poszedł. Lee umiał się poruszać naprawdę szybko. Jego sylwetka mignęła mi trzy drzewa dalej, a potem połknął ją mrok.

Najszybciej, jak mogłam, ruszyłam na paluszkach w przeciwną stronę. Gdy już prawie dotarłam do skrzyżowania, ukrywając się w rzędzie drzew, zobaczyłam zbliżających się żołnierzy. Część szła gęsiego po przeciwnej stronie ulicy, a reszta po mojej. Cofnęłam się w głąb parku, jakbym sama była cieniem. Kiedy żołnierze się ze mną zrównali, zauważyłam, że wszyscy niosą karabiny. Serce boleśnie załomotało mi w piersi, a usta wypełniła żółć. Miałam rozpaczliwą nadzieję, że Lee zakończy swoją misję sukcesem. Miałam nadzieję, że dzieci go nie zaatakują.

Nie było ani czasu, ani sensu wracać w stronę baru mlecznego. Nie zdołałabym wyprzedzić żołnierzy w drodze do budynku. Doszłam do wniosku, że zamiast tego powinnam zrobić coś, co odwróci ich uwagę. Gdy tylko minął mnie ostatni żołnierz, pobiegłam szukać ciężarówki.

Nietrudno było ją znaleźć. Dotarłam na koniec parku. Obok niego był teren zniszczony podczas bombardowania: dom albo sklep został zredukowany do ruiny. Nadal stały dwie ściany, ale nic poza tym. Komin roztrzaskał się na ścieżce. Podkrađłam się do tych ruin, starając się nie skręcić kostki na jakiejś pękniętej cegle. Ciężarówka stała naprzeciw zburzonego budynku,

na skraju ulicy, pod wiązem. Zobaczyłam tylko jednego żołnierza. Mężczyzna stał obok pojazdu i w skupieniu wpatrywał się w drugi koniec ulicy. Widocznie ciekawiło go, jak sobie radzą jego kumple. Patrząc na niego, pomyślałam jednak, że chodzi o coś więcej. Zachowywał się tak, jakby w każdej chwili był gotów wskoczyć z powrotem do kabiny. Nie obserwował biernie - trzymał drzwi samochodu i wyglądał jak człowiek z misją.

Ciężarówka była jednym z tych solidnych pojazdów wojskowych z plandeką z tyłu. Bardzo przypominała tę, którą transportowano nas do więzienia w Stratton. Może nawet to była ta sama. Nagle zrozumiałam, na czym polega misja tego żołnierza. Czekał na sygnał od pozostałych. Otrzymawszy go, miał podjechać i zabrać jeńców - albo ich ciała.

Starłam się myśleć racjonalnie i spokojnie. Przerobiłam w głowie mnóstwo możliwości i większość z nich odrzuciłam. Pozostały tylko dwie, które wydawały się wykonalne. Jedna polegała na unieruchomieniu ciężarówki, a druga na przejęciu jej w bliżej nieokreślony sposób. Wolałam tę drugą. Problem z pierwszą polegał na tym, że nie uratowałyby dzieci z baru mlecznego. A problem z obiema na tym, że musiałam sobie poradzić ze stojącym przy ciężarówce żołnierzem.

Nie miałam broni. Pomyślałam, jednak, że jeśli będę wystarczająco szybka i brutalna, powinnam zdobyć nad nim przewagę. Postanowiłam działać na dwie ręce. Podniosłam kawałek odłamanej rury. Pewnie dawniej doprowadzała ciepłą wodę. Była z miedzi, ale wydawała się dość solidna. Wzięłam ją w lewą rękę, a prawą podniosłam połówkę cegły. Podchodząc do żołnierza, na chwilę zamknęłam oczy i przygryzłam wargę. Chciałam zmówić modlitwę, ale w moim umyśle zabrakło dla niej miejsca. Zbliżałam się do ciężarówki od tyłu. Bezszelestne poruszanie się

po asfalcie nie sprawiało większego problemu. Poza tym ten facet nadal był bardzo skupiony na akcji rozgrywającej się na drugim końcu ulicy.

Już wiedziałam, o co mi chodzi. Musieli się umówić na jakiś sygnał i chciałam się dowiedzieć na jaki. To oznaczało konieczność porozumienia się z żołnierzem po angielsku, ale były spore szanse, że zna ten język. Wymyśliłam, że jeśli pchnę go rurą w plecy i jednocześnie przyłożę mu cegłą, będzie tak bardzo wytracony z równowagi, zszokowany i oszołomiony, że powie mi to, co chciałam usłyszeć, zanim zdąży wykombinować coś innego.

Połapał się, kiedy brakowało mi do niego jeszcze trzech kroków. Uświadomiłam to sobie, widząc, że zaczyna się odwracać. Pędem pokonałam te trzy kroki i zrobiłam to, co ćwiczyłam w myślach. Pchnęłam go rurą z taką siłą, że chyba tylko cudem nie wyszła drugą stroną, i zdecydowanym ruchem - niezbyt mocno - uderzyłam go cegłą w głowę. Chciałam powiedzieć, żeby rzucił broń, ale zanim zdążyłam to zrobić, żołnierz padł na ziemię. Zdziwiłam się. Byłam pewna, że nie uderzyłam go aż tak mocno. Może zemdlał albo coś w tym rodzaju. Szczerze mówiąc, zmniejszyłam siłę uderzenia, zanim cegła dosięgła jego głowy, bo wystraszyłam się, że mogłabym mu wyrządzić zbyt wielką krzywdę. Sekundę później leżał na ziemi bez ruchu.

Pochyliłam się nad nim, nie bardzo wiedząc, co robić. Bałam się trochę, że udaje, że w każdej chwili może się zerwać i mnie udusić. Przypomniałam sobie, jak kiedyś Kevin mówił, że wystarczy lekkie stuknięcie w pewne miejsce na głowie, żeby zabić człowieka. Zadrżałam z obrzydzenia i strachu. Ale po chwili musiałam się skupić na czymś innym. Na drugim końcu ulicy rozległ się gwizd i ktoś trzy razy mrugnął w moją stronę latarką.

Nie musiałam już pytać żołnierza o umówiony sygnał. Równie dobrze mogliby urządzić pokaz sztucznych ogni.

Nadeszła pora na improwizację. Szybko podniosłam z ziemi czapkę nieprzytomnego żołnierza i wcisnęłam ją na głowę, a potem wskoczyłam do kabiny ciężarówki. Dzięki Bogu, kluczyk tkwił w stacyjce. To był diesel, ale silnik szybko zaskoczył. Jeszcze nie ostygł. Kiedy wrzuciłam bieg, rozległ się potworny zgrzyt, jakby łańcuch grzechotał w blaszanym silosie zbożowym. Miałam nadzieję, że żołnierze na końcu ulicy tego nie usłyszeli i że hałas nie obudził mężczyzny leżącego na drodze. W każdym razie ruszyłam prosto pod bar mleczny, włączając długie światła. Prawdopodobnie łamałam w ten sposób ich wszystkie zasady, ale musiałam podjąć ryzyko: należało ich oślepić, żeby nie zobaczyli mojej twarzy.

Dzięki światłom mogłam przynajmniej zobaczyć, co się dzieje. A nie był to piękny widok. Moim oczom ukazała się żalosna grupka dzieci, pięciorga albo sześciorga. Najmłodsze było naprawdę małe. Wszystkie trzymały ręce w górze. Pośrodku stał Lee. Górował nad nimi z powodu swojego wzrostu i wieku. To znaczy był od nich starszy, ale nawet jak na swój wiek wysoki. On też trzymał ręce w górze.

Otaczali ich czterej żołnierze, a dwaj kolejni stali poza zasięgiem światła.

Kiedy podjeżdżałam, nikt nawet nie spojrział w moją stronę.

W pewnej chwili wpadłam na pomysł, żeby przejechać tych żołnierzy, ale byli tak ustawieni, że okazało się to niemożliwe. Za bardzo się rozproszyli. Dlatego postąpiłam dokładnie odwrotnie: delikatnie zatrzymałam ciężarówkę tuż przed nimi, pocąc się jak mysz i mając rozpaczliwą nadzieję, że nie są w stanie mnie zobaczyć w tej wysokiej kabinie, a jeśli nawet są - to

że zmyli ich czapka. Nie wiedziałam, co robić: modliłam się o odrobinę inspiracji.

Przynajmniej spełniło się moje pierwsze życzenie: nie zajrzeli do kabiny. Od razu popchnęli Lee i dzieci do tyłu.

Obyło się bez hałasów i dramatyzowania. Dzieci wyglądały tak, jakby przed chwilą się obudziły. Wszystkie były blade

i zszokowane. Lee wydawał się wściekły, miał zaciśnięte usta i zmrużone oczy. Żołnierze w zasadzie nie musieli nic mówić. Nie wpadli w furję. Zachowywali się jak ktoś, kto odwała zwyczajną robotę. Ostatecznie wykonali to niewdzięczne zadanie bardzo skutecznie: żaden z ich kumpli nie został ranny ani zabity - nie wiedzieli jeszcze, co spotkało kierowcę - więc chyba czuli przede wszystkim ulgę.

We wstecznym lusterku widać było scenę rozgrywającą się z tyłu. Przyglądałam się uważnie. Żołnierze mi pomogli, przyświecając latarkami dzieciom, które wdrapywały się na pakę. Wiedziałam, że muszę trafić we właściwy moment, bo dostanę tylko jedną szansę.

Lee wszedł na końcu, tak jak przypuszczałam. W chwili gdy znalazł się na pace, gwałtownie wrzuciłam wsteczny i zwolniłam sprzęgło. Wolałabym wrzucić bieg wcześniej, ale nie odważyłam się tego zrobić, bo pomyślałam, że ciężarówka może zacząć pisać albo że zapali się światło cofania.

Rozległ się głuchy huk, a potem przekleństwo, bo Lee najpierw poleciał do przodu, a potem do tyłu. Usłyszałam też kilka dziecięcych okrzyków, które wyrażały zaskoczenie, strach i szok. Nie miałam czasu sprawdzić, czy nic im się nie stało, a zresztą i tak byłoby za ciemno, żeby cokolwiek dojrzeć. Miałam krzyknąć: „Na ziemię, na ziemię!”, bo spodziewałam się gradu kul, ale Lee już mnie wyreczył, więc przynajmniej mogłam

mieć pewność, że przeżył upadek. Kiedy cofaliśmy, dały się słyszeć dwa wyraźne huki. Chyba po drodze potrąciłam dwóch żołnierzy.

Cofałam dalej, bo zatrzymanie się i wrzucenie jedynki zajęłoby za dużo czasu - a także dlatego, że minęłam już żołnierzy i pomyślałam, żeby lepiej strzelali do mnie niż do dzieci. Zastanawiałam się, czy w pobliżu są jakieś boczne uliczki, w które mogłabym skrócić, ale żadnej nie mogłam sobie przypomnieć. Zamiast tego odbiłam w drugą stronę, przejechałam po krawężniku i - ciągle na wstecznym - wjechałam do parku.

Prowadziło się cholernie ciężko. Wyłączyłam światła, żebyśmy byli mniej widocznym celem, a to rzecz jasna znaczyło, że nie mam także tylnych świateł. Jechałam na oślep. Pamięć mi podpowiadała, że gdy minjemy pierwszy rząd drzew, dotrzemy do kawałka otwartej przestrzeni. Pozostawało mi mieć nadzieję, że pamięć mnie nie myli.

Minęłam drzewa i pojechałam trochę dalej, ale potem uznałam, że to zbyt niebezpieczne. Gwałtownie skręciłam kierownicą i weszłam w rajdowy zakręt o pełne sto osiemdziesiąt stopni. Na jego końcu w coś uderzyliśmy. Spojrzałam w boczne lusterko i dzięki światłom hamowania zobaczyłam huśtawkę z placu zabaw. Zauważyłam, że wolno się przechyla, ale nie było czasu patrzeć, jak upada na ziemię. Nawet nie słyszałam huku, bo sama robiłam więcej hałasu. Wrzuciłam dwójkę i mocno zwiększyłam obroty. Tylne koła zabuksowały w ziemi. Prawdopodobnie znalazły się na piasku placu zabaw. Nagle opony złapały przyczepność i ruszyliśmy z piskiem. Paką majtnęło na lewo i prawo jak ogonem uradowanego psa.

Nie wiem, czy na tym etapie ktoś do nas strzelał. Było zdecydowanie za ciemno, za nerwowo i za głośno, żeby wiedzieć,

co się dzieje. Teraz mogłam przynajmniej patrzeć przez przednią szybę i cokolwiek zobaczyć. To było o niebo lepsze niż kierowanie na podstawie widoku z bocznych lusterek. Ruszyliśmy w szaloną i pełną gwałtownych zwrotów podróż przez park. Gdy nasza rozpędzona ciężarówka skręciła w lewo i przejechała po dużej rabacie, na miejsce obok mnie wsunął się Lee. Zrobił to niezdarnie, najpierw głową i bokiem, ale już po chwili siedział wyprostowany i patrzył przez szybę równie zaniepokojony jak ja. Kątem oka zauważyłam jego białe knykcie na desce rozdzielczej. Przecieliśmy ścieżkę i staranowaliśmy małe niskie ogrodzenie. Musieliśmy jechać z prędkością osiemdziesięciu, a może nawet stu kilometrów na godzinę.

To było czyste szaleństwo, ale czasami jakaś myśl potrafi człowiekiem zawładnąć tak bardzo, że wszystko inne schodzi na dalszy plan. A mną zawładnęło pragnienie oddalenia się od żołnierzy z karabinami. Wszystkie zasady rozważnej, ostrożnej jazdy i zważania na dobro pasażerów zostały wymazane z mojej pamięci. Po prostu je wcięło.

Ruszyliśmy prosto na żelazny płot po drugiej stronie parku. Gdyby się udało przez niego przebić, znaleźlibyśmy się na ulicy o przecznicy od żołnierzy. Ciężarówka była wielka i ciężka, ale ogrodzenie wyglądało na solidne i twarde.

- Jezu Chryste - zawołał Lee. - Trzymajcie się tam! - wrzasnął do dzieci z tyłu.

Poczułam, że się pochyła. Pędziliśmy na płot. Przypomniałam sobie, z jaką łatwością przebiliśmy się przez ogrodzenie otaczające lotnisko, ale tym razem czekało nas zadanie o wyższym stopniu trudności. Jak dziewięć do dwóch.

Na chwilę przed zderzeniem zobaczyłam, że dolną część ogrodzenia tworzy betonowa podstawa. Zanosilo się na największe

ciężarówkowe bum, jakie kiedykolwiek widziałam. O żelaznych prętach nie wspomnę. Nawet pociągnęłam za kierownicę, jakbym siedziała za sterami samolotu. Potem nastąpiło uderzenie.

Kraksa była naprawdę potworna. Kolumną kierownicy wstrząsnął dreszcz, który wyrwał mi kółko z rąk. Nie wiem, co się stało z zawieszeniem, ale uszkodzenie na pewno było nieodwracalne. Przednia szyba rozprysła się w drobny mak i drobinki szkła spadły na mnie wodospadem. Oderwaliśmy się od ziemi. Nie tak jak w filmach, kiedy samochód leci nad otwierającym się mostem albo spada z krawędzi niedokończonych autostrady. Na takich filmach samochód wygląda jak mewa, z gracją unosi się w powietrzu. My frunęliśmy tylko sekundę, a kiedy znowu spadliśmy na ziemię, gruchnęliśmy tak mocno, że zaszczękały mi wszystkie zęby. Skuliłam się na siedzeniu, żeby nie uderzyć głową w sufit, ale z tyłu rozległy się krzyki, więc dzieci nie miały chyba tyle szczęścia co ja. Przed oczami stanął mi obraz, na którym to najmniejsze dziecko podskakiwało na pace jak piłka, i na tę myśl zrobiło mi się niedobrze. Uderzenie było potężne - bałam się, że rozpruje podłogę kabiny. Wszystko, co nie było przymocowane na stałe, zawirowało wokół: plan miasta Strat-ton i klucz nastawny uderzyły mnie przed spadnięciem na podłogę, a opróżniona do połowy butelka coli spadła skądś i leżała na siedzeniu, wylewając na nie swoją zawartość.

Ciężarówka wymknęła się spod kontroli i pędziła ulicą, kierownica telepała się na boki jak szalona. Musiałam ją obrócić z całej siły. To jednak nie wystarczyło: przecięliśmy chodnik po drugiej stronie ulicy i wpadliśmy na trawnik przed jakimś domem. Zdołałam tylko szarpnąć kierownicą wystarczająco mocno, żeby skrócić na podjazd. Nie trzymałam stopy na pedale gazu, ale nabraliśmy takiego rozpedu, że zasadzie nie robiło

to żadnej różnicy. Pedaly i tak były popsute, oklapły i leżały na podłodze. Na końcu podjazdu zauważyłam jakiś kształt. Nie widziałam, co to właściwie jest. Modliłam się, żeby to coś nie okazało się garażem z cegły. Bałam się zredukować bieg, bo gdyby mi się nie udało i wrzuciłabym luz, byłoby już po nas.

To nie był garaż, tylko wiata, za którą stała mała aluminiowa szopa. W ostatniej chwili dodałam gazu, dochodząc do wniosku, że lepiej spróbować zmieść te przeszkody z drogi. Uderzyliśmy mocno. Arkusze aluminium wystrzeliły w powietrze i zobaczyłam, że cały dach podskakuje wysoko nad nami jak lśniący srebrny latawiec. Przebiliśmy się na drugą stronę. Przez szopę i stojący za nią płot. Jechaliśmy coraz szybciej - taranuj albo zostaniesz staranowany - dziesięć ton mknęło z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Krzyki z tyłu mieszały się z piskiem rozrywanego metalu, aż w końcu przestałam odróżniać głosy dzieci od dźwięków dobiegających z zewnątrz. Ściskałam kierownicę, jakby była kołem ratunkowym, a mnie porwał wir. Mogłam jedynie trzymać ją prosto i jechać dalej. Ściskałam ją, aż w końcu straciłam czucie w dłoniach.

Potem znaleźliśmy się na następnym podjeździe, który graniczył tyłem z tym pierwszym, i dzięki Bogu nie było na nim żadnego garażu, żadnej wiaty - tylko stara zardzewiała taczka, która prawdopodobnie stała tam od początku inwazji. Ciężarówka ją unicestwiła. Nie przejęłam się tym. Ledwie to zauważyłam, bo pojawił się inny problem.

Tym innym problemem było wyprowadzenie ciężarówki z podjazdu i wyjechanie na ulicę, co wymagało zrobienia zakrętu ciasnego jak wygięta struna. Wróciło ciśnienie w układzie hamulcowym, ale nawet gdy już wciskałam pedał, wiedziałam, że to nie wystarczy. Za bardzo się rozpędziliśmy. Wiedziałam

też, że nie mogę tak gwałtownie hamować i jednocześnie skręcać, bo zaczniemy koziółkować. Zabiłabym nas wszystkich.

Dlatego musiałam zrobić szeroki łuk. A kiedy mówię szeroki, mam na myśli łuk kończący się na frontowej werandzie domu po drugiej stronie ulicy. Podtrzymały ją słupki, które skosiliśmy jak zapałki. Dach zaczął się osuwać, ale niewiele z tego widziałam, bo szybko staranowaliśmy ogrodzenie i z hukiem wypadliśmy z powrotem na chodnik. Dopiero wtedy mogłam zapanować nad ciężarówką i wyrównać tor jazdy. Potem mknęliśmy w ciemności, a świeże nocne powietrze słodko dmuchało mi w twarz.

3

Zatrzymaliśmy się pod domem babci. Napędziliśmy Homerowi, Fi i Kevinowi niezłego stracha. Wskoczyłam z kabiny i pobiegłam przez trawnik, ale zanim dotarłam do połowy, cała trójka wynurzyła się spomiędzy drzew.

- Co wyście nawyrabiali? - zapytała Fi. - Tylko posłuchaj, jak wyją syreny!

Słyszałam je doskonale. Wyło ich tak wiele, że całe powietrze wypełniło się zawodzeniem: nie sposób było powiedzieć, z której strony dobiega dźwięk. Brzmiało to tak, jakby syreny były dosłownie wszędzie. Ale słysząc, jak Fi pyta: „Co wyście nawyrabiali?“, omal się nie roześmiałam. Brzmiała zupełnie jak mój tata mówiący: „Coś ty zrobiła tym owcom? Dlaczego tak hałasują?”.

Akurat wtedy ujeżdżałam je w zagrodzie i jedna z owiec przewiozła mnie wzdłuż ogrodzenia z drutu kolczastego. Stałam w podziurawionych farmerskich spodniach, po nodze ciekła mi krew, a ja udawałam, że nic się nie stało i kłamałam jak z nut: „Ojej, nie mam pojęcia, może usłyszały, że szczekają psy albo gdzieś w pobliżu czai się lis”. Przez cały czas czułam taki

ból, jakbym w każdym zębie miała ropień, i bałam się, że wykrwawię się na śmierć.

- Później wam wytłumaczę - odpowiedziałam Fi. - A teraz zabierzcie, co się da. Musimy się stąd wynosić.

- Dokąd? - zapytała Fi.

- A jak myślisz?

Lee przebiegł obok i po chwili zastanowienia Fi popędziła za nim do domu. Dopiero kiedy zniknęli, usłyszałam chór cienkich, płaczkliwych głosików dobiegający z ciężarówki. Brzmiało to jak żłobek, w którym zabrakło mleka. Chciałam tam pójść i zajrzeć do środka, ale Lee wrócił ze swoim plecakiem.

- Co się dzieje? - zapytałam go.

- Chyba mamy tam kilka złamanych kończyn - powiedział. - Nie są tak przyzwyczajone do twojego stylu jazdy jak ja.

Dopadły mnie wyrzuty sumienia i dopiero po chwili doszłam do siebie. Pozostali byli w domu i zabierali swoje rzeczy, więc musiałam do nich dołączyć. Wbiegłam do domu, ale gdy tylko to zrobiłam, usłyszałam pisk opon, który rozległ się potwornie blisko, i zdałam sobie sprawę, że nie mogę sobie pozwolić na nic z wyjątkiem jak najszybszego wyniesienia się ze Stratton.

- Szybciej! - krzyknęłam w stronę domu i pobiegłam z powrotem do ciężarówki.

Niestety, kiedy wrzuciłam bieg, płacz dzieci przybrał na sile i pobrzmiwało w nim dwa razy większe przerażenie niż przed chwilą. Nigdy nie twierdziłam, że jestem najwspanialszym kierowcą na świecie, ale ich reakcja trochę mnie zniechęciła. Nie przypuszczałam, że idzie mi aż tak kiepsko.

Pozostali wynurzyli się z domu, taszcząc przeróżne graty. Ciężarówka już się toczyła, żeby ich ponaglić. Wiedziałam, że

Homer i Kevin są na mnie za to cholernie wściekli, ale sytuacja była rozpaczliwa: i tak straciliśmy za dużo czasu.

Może myśleli, że robię im ten głupi i wkurzający kawał tak lubiany przez niektórych dorosłych: każą ci otworzyć bramę, a potem przez nią przejeżdżają i już się nie zatrzymują. W zasadzie nie tylko dorośli tak robią. Homer bez przerwy wykręcał mi ten numer.

Biegli za ciężarówką, więc zwolniłam, a Lee wciągnął ich do środka. Gdy tylko stopy Homera oderwały się od ziemi, mocno wcisnęłam pedał gazu.

Pokonaliśmy dwie przecznice i daleko z lewej zauważyłam światła. Nie byłam pewna, czy to przednie światła samochodu, bo wysokie drzewa i wąskie uliczki natychmiast je zasłoniły. Ale po chwili, kiedy zadawałam sobie pytanie, czy przypadkiem mi się nie przywidziało, samochód wypadł ślizgiem na następnym skrzyżowaniu. Zarzuciło nim w bok, kierowca usiłował wyrównać tor jazdy. Pędził prosto na mnie.

Miałam tylko jedną szansę. Obok samochodu była mała luka. Dodałam gazu i ruszyłam na nią. Samochodem nadal mocno zarzucało. Kierowca pogarszał sprawę, bo gwałtownie skreślił kierownicą, żeby zawrócić i puścić się w dalszy pościg. Nie mam pojęcia, jak to się stało, że nie koziołkował. Samochód nie doszedł jeszcze do siebie po pierwszym zakręcie, a już musiał wejść w drugi.

Zmieściłam się. Spojrzałam na tamten samochód i zobaczyłam, że omal nie stanął na nosie. Kierowca znowu odzyskiwał kontrolę. Spod opon buchnął dym. Potem zniknęliśmy, skręcając na skrzyżowaniu prawie tak ostro jak wcześniej on. Dodałam gazu i popędziliśmy przed siebie. Na końcu ulicy odbiłam w lewo, ale w tylnym lusterku szybko zobaczyłam

światła goniącego nas wozu. Ścigał nas i nie dawał za wygraną. Zdziwiłam się, że nie jest bliżej. Musiał mieć małe kłopoty na zakręcie.

Wiedziałam, że pod względem prędkości i umiejętności rajdowych nie mamy szans. Dogoniłby nas przed następnym skrzyżowaniem. Musieliśmy go przechytrzyć.

Wykorzystałam każdą sztuczkę, jaką znałam, i wymyśliłam kilka innych. Nie było to łatwe zadanie, bo zarówno układ kierowniczy ciężarówki, jak i jej hamulce były w opłakanym stanie. Pojechałam ulicą, skręciłam w prawo i popędziłam pod prąd jednokierunkową. On skręcił w lewo i na chwilę go zgubiliśmy. Przecięłam inny park. Chyba zauważył nas w ostatniej sekundzie. Światła jego samochodu zwróciły się w stronę parku, kiedy pędziliśmy pod mostem.

Wjechałam na piach. Pewnie przed wojną trwały tam jakieś roboty drogowe. Problem polegał na tym, że wzbijaliśmy mnóstwo kurzu, który na pewno można było zauważyć w świetle reflektorów. Pod koniec tego piaszczystego odcinka gwałtownie zahamowałam, wrzuciłam wsteczny i szybko wycofałam na asfaltowy parking pod Bunningsem.

Pościg z warkotem przemknął obok. Silnik tamtego samochodu jakoś nietypowo zawodził. Dziwne.

Gdy tylko zniknął, ruszyłam w przeciwną stronę. Znowu przejechaliśmy pod mostem i tym razem skręciłam w lewo.

Pędziliśmy drogą biegnącą równoległe do autostrady, ale znacznie niżej. Jechaliśmy przez następne rozległe tereny przemysłowe. Bomby nie dokonały tu aż tak wielu zniszczeń, ale o tej porze działały tylko dwie fabryki. Z tyłu rozległ się krzyk Homera: - Znowu jest za nami!

Właśnie mieliśmy pokonać przejazd kolejowy. Nagle pomyślałam: „A właściwie czemu nie?“, i ostro skręciłam. Wjechaliśmy na tory. Jeśli po staranowaniu betonowej podstawy ogrodzenia zawieszenie dostało baty - a na pewno dostało - to po kilometrowej jeździe po torach musiało być naprawdę wykończone. Dzieci znowu zaczęły krzyczeć. Słyszałam, że Homer i reszta próbują je uciszyć, ale nie zwracałam na to zbyt wielkiej uwagi.

Skupiłam się na pociągu.

Na szczęście pociąg, podobnie jak samochód, miał włączone światła - a dokładnie mówiąc: jeden reflektor. Z daleka wyglądało to jak światło latarki, tyle że było mocniejsze niż to rzucane przez moją eveready. Nie potrafiłam ocenić, jak daleko jest pociąg, ale podejrzewałam, że dzieli nas od niego jakieś półtora kilometra i jedzie prosto na nas.

Problem w tym, że kiedy dwa obiekty suną na siebie z prędkością stu kilometrów na godzinę, półtora kilometra to bardzo niewiele.

Rozglądałam się w poszukiwaniu jakiejś drogi ucieczki. Trudno było cokolwiek zobaczyć w ciemności. Poza tym światło pociągu działało na mnie hipnotyzująco. Z tyłu znowu odezwał się Homer.

- On też jest na torach, Ellie! - zawołał.

Zrozumiałam, że ma na myśli samochód. Byli tak zajęci spoglądaniem do tyłu, że nie widzieli większego problemu z przodu. A ja zapomniałam o pościgu.

Z tego, co zauważyłam, zbliżaliśmy się do węższego odcinka torów. Byliśmy na straconej pozycji. Gdybym pojechała dalej, moglibyśmy skończyć na wykopie o ostrych zboczach, gdzie pozostawałoby nam jedynie czołowe zderzenie z pociągiem. Po

prawej miałam wzniesienie prowadzące nie wiadomo dokąd. Po lewej teren opadał - też nie wiadomo dokąd. Wątpiłam, czy ciężarówka dałaby radę wjechać na wzgórze. Skreśliłam w lewo i zaczął się zjazd.

Nie było łatwo. Przez pierwsze pięćdziesiąt metrów zsuwaliśmy się bokiem. Wiedziałam, że nie wolno hamować. Musiałam tylko trzymać kierownicę i próbować ustawić samochód przodem do kierunku jazdy. Jechałam prawie na stojąco i napinałam wszystkie mięśnie, żeby zmusić ciężarówkę do posłuszeństwa.

Przynajmniej z tyłu wszyscy się zamknęli. Chyba za bardzo się wystraszyli, żeby hałasować.

Prawie udało mi się zapanować nad ciężarówką, gdy nagle wypadliśmy na drogę. Nasz pojazd omal się nie przepołowił. Chyba poczułam, jak się wygina. Nad nami przejechał rozpedzony pociąg.

Nie wiem, czy zderzył się z samochodem. Gdyby tak było, prawdopodobnie zobaczylibyśmy i poczuli eksplozję. Ale zanim te dwa pojazdy miały szansę na siebie trafić, już nas nie było. Pędziliśmy drogą. Byliśmy przy granicy Stratton i wcisnęłam gaz do dechy. Po dziesięciu kilometrach pozwoliłam sobie pomyśleć, że chyba zgubiliśmy pościg.

Mimo to oczywiście nie zwolniliśmy. Niektóre odcinki pokonywałam, pędząc ponad sto na godzinę. Przynajmniej droga była teraz gładsza i chyba kilkoro dzieci się uspokoiło, ale dwoje innych brzmiało naprawdę nieciekawie i zastanawiałam się, jak trudna jest sytuacja na pace. Połamane kończyny byłyby naprawdę poważnym problemem.

Jednak to nie płacz z tyłu martwił mnie najbardziej, ale układ kierowniczy. Był strasznie zniszczony. Obracałam kierownicą w jedną stronę, a jechaliśmy w drugą. Pokonywaliśmy

zakręty tylko dzięki hamulcom i pedałowemu gazu, wchodząc w coś w rodzaju kontrolowanego poślizgu. Z każdym kolejnym zakrętem szło mi lepiej. To wymagało ogromnego skupienia. Nawet na chwilę nie mogłam się odprężyć, a co gorsza wiedziałam, że jeśli wyjdziemy z tego żywi, będę musiała się skupiać jeszcze przez wiele godzin. W moich rękach spoczywało życie sporej liczby osób.

Nie musieliśmy się zatrzymywać i zwoływać wielkiej konferencji na temat tego, dokąd jechać. W chwilach największego stresu i największego zagrożenia nasze myśli zawsze zwracały się ku jednemu miejscu. Dlatego nie zadałam sobie trudu, żeby odpowiedzieć na pytanie Fi.

Piekło. Kotlina pełna skał i krzaków, tak dzika, że nikt oprócz nas nie zdołał się do niej dostać. Nie licząc pustelnika, żaden inny człowiek tam nie zszedł.

Teraz, gdy już ruszyliśmy w drogę, nie mogłam się doczekać, kiedy znowu znajdę się w Piekle. Stratton miało swoje atrakcje - w czasie deszczu domy były znacznie lepsze niż namioty - ale nie znosiłam codziennego strachu towarzyszącego mieszkaniu tam. A może po prostu nie znosiłam życia w mieście. Tak czy siak, moje obawy, że w Piekle może nas dopaść klaustrofobia, że będzie tam zbyt niebezpiecznie, że w Stratton moglibyśmy zrobić coś ważniejszego - one wszystkie ustąpiły miejsca pragnieniu ponownego znalezienia się w tym miejscu.

Od czasu do czasu słyszałam, że pozostali starają się uspokoić dzieci. Ciężarówka robiła dużo hałasu, więc docierały do mnie tylko niektóre fragmenty, jakbym słyszała chór śpiewający piosenkę, ale nie konkretne słowa. Z pewnością wystraszyłam te dzieci, ale chyba nie tylko ja. Wystraszyło je wszystko, przez co przeszły. Zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem

nie zachowają się tak jak my po spotkaniu tego okropnego majora Harveya: padliśmy ze zmęczenia i porzuciliśmy swoją niezależność. Byliśmy wdzięczni dorosłym, że znowu przejęli kontrolę nad sytuacją, cieszyliśmy się, że możemy im ją oddać. Te dzieci mogły nas potraktować w taki sam sposób. Miałam tylko nadzieję, że spisujemy się lepiej niż major Harvey.

Mogłam jechać równą drogą zaledwie sześć kilometrów, a i to było potwornie ryzykowne. Potem wróciłam do skrótów, objazdów i improwizacji. Kreatywne prowadzenie pojazdu. Na wybojach kierowało się jeszcze trudniej. Dlatego odgradziłam się od chaosu panującego z tyłu. Skoro musieli cierpieć trochę dłużej, pocierpią trochę dłużej. Bez względu na wszystko nie mogliśmy zdradzić naszej kryjówki. Za nic na świecie nie pojechałabym prosto do Piekła. Musieliśmy zachować ostrożność. Ten dziki zakątek mógł być jedynym bezpiecznym terenem na powierzchni setek kilometrów kwadratowych. Bez Piekła byliśmy zgubieni.

Nie myślałam o tym, jak doprowadzimy te dzieci do Szwu Krawca. Jeśli odniosły poważne obrażenia, mogło to oznaczać spory problem. Ale trudno mi było uwierzyć, że jest z nimi aż tak źle. Co powiedział Lee? Złamane kończyny? Czyli nogi albo ręce. No cóż, jakoś to przeżyją. Będziemy się tym martwili później.

W linii prostej ze Stratton do Piekła jest niedaleko, ale po pierwsze nie jechaliśmy po linii prostej, a po drugie na pewno nie wybraliśmy najszybszej trasy. Jedna z pylistych dróg wyglądała tak, jakby nie używano jej od czasów gorączki złota. Prowadziła prosto do stromego żlebu, a na dole przecinała w bród wartką rzekę. Na chwilę włączyłam światła, żeby się rozejrzeć, ale nie potrafiłam ocenić głębokości. Musiałam po

prostu zaryzykować. W połowie drogi naszyły mnie wątpliwości. Rzeczka robiła się coraz głębsza, a dno coraz bardziej wyboiste i grząskie. Jeśli jego część została wypłukana przez wodę, byliśmy w tarapatach. Wjechaliśmy do paru sporych dołów i mocno nami zatrzęsło. Poczulałam kołysanie na boki. Mimo że ciężarówka miała wysokie podwozie, woda wlewała się do kabiny i z szumem sięgała kostek.

Myślę, że kiedy dotarliśmy na drugi brzeg, moje pachy były równie mokre jak podwozie.

Nie znałam tej okolicy, ale wiedziałam, gdzie mniej więcej jesteśmy. Góry za Piekiełm wznosiły się daleko z lewej, na wschodzie. Kiedy teren zaczął się lekko wznosić, pomyślałam, że pora bardziej zdecydowanie ruszyć w stronę domu. Skreśliłam z drogi w następny wjazd na pole, zatrzymałam ciężarówkę, wyskoczyłam z kabiny i otworzyłam bramę, klnąc pod nosem. Wiozłam całą ciężarówkę ludzi, a musiałam sama otwierać bramę. I potem ją zamknąć.

Powoli podskakiwaliśmy na polu, zakłócając spokój kilku he-refordom, które niezdarnie wstały i odwróciły się, żeby na nas popatrzeć. Potem była następna brama i następne pole. I jeszcze jedno. I kolejne. Teraz przynajmniej Homer otwierał i zamykał bramy.

Zanim dotarliśmy do następnej drogi, minęło czterdzieści pięć minut. Nadal nie poznawałam okolicy, więc trzeba było rozpocząć cały proces od nowa: kierowałam się instynktem, prowadząc wzdłuż ogrodzeń i po starych śladach kół. Za każdym razem, kiedy otoczenie robiło się za bardzo cywilizowane - na przykład gdy pojawiał się jakiś budynek w oddali albo małe i dobrze utrzymane pola - odbijałam w bok. Bez względu na to, jak bardzo byłam zmęczona i sfrustrowana, zawsze mogłam

się pocieszyć, że tutaj nikt by nas nie ścigał. Byliśmy bezpieczniejsi z każdą otwartą bramą, z każdym odległym pastwiskiem, przez które przejechaliśmy, z każdym pokonanym w bród strumieniem. Poza tym na pastwiskach nie musiałam się tak bardzo przejmować układem kierowniczym. Tam nie miało znaczenia, że zboczymy z kursu.

Ucieszyłam się, widząc, że niebo w końcu zmienia kolor z czarnego na szary. Dało mi to trochę więcej energii, ponownie się obudziłam. Przez całą noc używałam świateł postojowych albo i żadnych i teraz wreszcie wyłączyłam postojówki. Mocniej wcisnęłam gaz i zmusiłam ciężarówkę do szybszej jazdy. Wiedziałam, że zbliżamy się do Piekła, i ta świadomość była słodka. Wiedziałam też, że musimy dotrzeć do Szwu Krawca w ciągu najbliższej godziny, zanim zrobi się zbyt jasno, zanim ludzie zaczną się budzić, wychodzić z domów i wyjeżdżać na drogi. Dlatego wykorzystałam każdą kroplę tej nowej energii, pokonując zakręty ciaśniej, zmuszając ciężarówkę do szybszego wjeżdżania pod górki i nie zwalniając przed przejazdami kolejowymi. Dzięki całonocnemu treningowi całkiem dobrze mi szło wprawianie naszego pojazdu w kontrolowane poślizgi. Chwilami nawet mi się to podobało.

Byłam wyczerpana, kiedy w końcu dotarliśmy do drogi prowadzącej do Szwu Krawca. Zastrzyk porannej energii przestał już działać, moje powieki były zmęczone i obolałe, jakbym balowała przez całą noc. Zgasiłam silnik, wygramoliłam się z kabiny, rozprostowałam nogi i zmusiłam je do pracy. Podeszłam do paki od tyłu, nie wiedząc, co tam zobaczę. Od jakiegoś czasu panowała tam cisza. W pewnym momencie dotarły do mnie odgłosy torsji, więc nie czułam zbyt wielkiego optymizmu i nie wiedziałam, co mnie czeka.

Kiedy wreszcie ich zobaczyłam,omal się nie roześmiałam. Homer siedział i tulił w ramionach najmniejsze dziecko. Dziewczynka spała z odchyłoną głową i otwartymi ustami. Chyba nie było jej zbyt wygodnie. Homerowi też nie. Rzucił mi wściekłe spojrzenie, jakby chciał powiedzieć: „Zażartuj z tego, a cię zabiję”. Dlatego połknęłam to, co zamierzałam powiedzieć, i zajrzałam głębiej. Po obu stronach Fi siedziały dzieci, które kurczowo trzymały się jej koszuli. Lee siedział na podłodze obok chłopca, który wyglądał na chorego. Nawet Kevin podtrzymywał dziewczynkę, która zasnęła z głową na jego kolanach. Nie mogłam uwierzyć, że ktokolwiek zdołał zasnąć w takich warunkach. Myślałam, że mój styl jazdy każdego powstrzymałby od snu. Więcej - że utrzymywał wszystkich w stanie szoku. Wyglądało na to, że się pomyliłam. Czasami człowiek dociera do kresu wytrzymałości i jest taki wyczerpany, że nic go nie zmusi do czuwania. Pewnego razu w czasie strzyżenia owiec byłam taka zmęczona, że zasnęłam na motorze w samym środku zaganiań stada. To było trochę krępujące.

Na pace unosił się niezbyt przyjemny zapach. Miałam rację co do torsji. W ciężarówce choroba lokomocyjna jest chyba jeszcze gorsza niż w samochodzie. Większa skala. Tak czy siak, ktoś się pochorował. Jediną dobrą stroną tego wszystkiego było to, że nie musiałam się przejmować sprzątaniami. Miałam co do tej ciężarówki inne plany.

Wydobyliśmy wszystkich z paki, co nie było łatwe. Tak bardzo pochłoneło mnie pomaganie i wyjmowanie z ciężarówki naszych rzeczy, że w zasadzie nie wiedziałam, w jakim stanie są dzieci. Wydawały mi się jedynie gromadką białych, wygłodzonych istot o żalosnym wyglądem, znacznie mniej przerażającą niż w tamtej alejce, kiedy nas zaskoczyły. Wtedy sprawiały

wrażenie dość dobrze zorganizowanych. Teraz wyglądały na równie zdziczałe jak stadko głodnych osieroconych jagniątek.

Oczywiście było ich teraz mniej. Nie miałam czasu zapytać, co się stało z resztą. Wyjaśnienia musiały poczekać.

Zostawiłam wszystkich, żeby się pozbierali, a sama wróciłam do kabiny. Dokładnie wiedziałam, co chcę zrobić. Wrzuciłam bieg i odjechałam dwieście metrów drogą, potem skręciłam w lewo, pod zarośniętą skarpe. Przed wojną kilka razy byłam tu na motorze, kiedy nie miałam nic do roboty. Pewnie nikt inny nie słyszał o istnieniu tego miejsca, bo było tak zarośnięte, że wyglądało jak normalne krzaki. Ale ja wiedziałam, że pod pokrywą trawy i małych krzewów ciągnie się pasmo twardej skały. Wiedziałam, którądy biegnie, i wiedziałam, dokąd prowadzi.

Ciężarówka ledwie się zmieściła. Podjechałam prawie do samego końca, nie przejmując się tym, że drzewa drapią boki pojazdu, rysują karoserię, ani tym, że skały mogą rozpruć miskę olejową. Przy prędkości pięciu kilometrów na godzinę przynajmniej kierowanie nie sprawiało problemu. Skarpa kończyła się ciemną dziurą: przepaścią z widokiem na skały i czubki drzew. Nie było widać dna. Jeśli w australijskich lasach mieszkaly elfy i gobliny, to z pewnością można je było znaleźć właśnie tam. Dość przerażające miejsce. Niestety, za chwilę elfy i gobliny miały przeżyć gwałtowny szok.

Zatrzymałam ciężarówkę pięćdziesiąt metrów od tej dziury, wrzuciłam luz i zwolniłam hamulec ręczny. Potem stanęłam z tyłu i zaczęłam pchać. Nie trzeba było wielkiego wysiłku. To zadziwiające, jak łatwo można wprowadzić w ruch ciężki pojazd, gdy stoi na płaskim terenie i nic nie blokuje kół.

Wprawiłam ciężarówkę w ruch. Szybko złapała rytm i popędziła naprzód. Dotarła do krawędzi, na chwilę zastygła, jakby spoglądała na swoje przeznaczenie, a potem powoli spadła w przepaść. Runęła między czubki drzew, a potem aż na podszycie. Zdziwiłam się, że zniknęła tak cicho. Wcale nie narobiła wielkiego hałasu. Może dźwięk utknął w ścianach tej wielkiej dziury? W każdym razie ciężarówka wylądowała na dole. Patrząc za nią, zauważyłam chyba jej ciemny kształt, ale trudno powiedzieć, czy to naprawdę była ona.

Wróciłam do pozostałych. Dzieci chciały tu zostać, ale byliśmy za bardzo zdenerwowani, żeby się na to zgodzić. I od razu nastąpił pierwszy kryzys. Najzwyczajniej odmówiły ruszenia w dalszą drogę.

Aż do tej chwili trudno mi było uwierzyć, że to te same dzikusy, które na nas napadły. W mojej głowie, w małym fantazyjnym wyobrażeniu, które sobie stworzyłam, przestałam o nich myśleć jak o bezwzględnych kryminalistach i zaczęłam je uważać raczej za małe, biedne, bezradne istotki, które potrzebują naszej miłości i opieki. Z bohaterów *Władców much* zmieniły się dla mnie w obsadę *Annie*.

Zostało ich tylko pięcioro. Myślałam, że więcej. Ale nie były to dokładnie te same dzieci, które napadły nas w alejce. Rozpoznałam tylko dwoje z nich.

Kiedy spychałam ciężarówkę w przepaść, ktoś unieruchomił rękę jednej z dziewczynek szyną zrobioną z patyków i rękawów koszuli Homera. Wyglądało to całkiem profesjonalnie, więc miałam nadzieję, że jej pomoże. Wszystko wskazywało na to, że nie może liczyć na bardziej wyrafinowaną pierwszą pomoc. Przywódcą grupy wydawał się chłopiec w wieku dziesięciu albo jedenastu lat. Kiedy zapytaliśmy, co się stało z pozostałymi, tylko wzruszył ramionami i odwrócił wzrok.

- Większość z nich uciekła - powiedział Lee. - Byli zbyt szybcy dla tamtych żołnierzy. Chyba nawet nie spali. Tutaj mamy śpiochów.

Powiedział to z uśmiechem, jakby próbował ich rozbawić, ale jego trud poszedł na marne. Dzieci odwróciły się i każde skierowało wzrok w innym kierunku, jakby nie wiedziały, w jakim mówi języku.

- Nie macie nic do jedzenia? - zapytała mnie dziewczynka. Zdałam sobie sprawę, że to ta sama, która pytała o jedzenie w alejce.

- Mamy trochę w Piekło - powiedziałam. Dziewczynka skrzywiła się, jakby moje słowa ją wystraszyły.

- Co to jest Piekło? - zapytała znacznie bardziej nieśmiałym głosem.

Po raz pierwszy któreś z nich wykazało jakiegokolwiek zainteresowanie czymkolwiek, więc uznałam to za dobry znak.

- Tam się ukrywamy. To bezpieczne miejsce. Chcemy was tam zaprowadzić. Ale czeka nas mała wycieczka.

- Nie chcę iść do Piekła - odezwała się najmłodsza dziewczynka.

Znowu zaczęła płakać. W tym z pewnością była mistrzynią. Wyglądało na to, że ma nieograniczone zapasy łez. Ale była dość mała, mogła mieć z pięć albo sześć lat.

- Nie ma więcej złamań? - zapytałam Lee, kiwając głową w stronę dziewczynki z szyną.

- Chyba nie - powiedział. - Trudno stwierdzić. Dziewczynka jak na komendę oznajmiła:

- Nie mogę nigdzie iść. Za bardzo mnie boli ręka.

Ona też zaczęła płakać. Dopiero wtedy ją rozpoznałam. To była Casey, dziewczynka, którą przytuliłam w domu przy

Castlefield Street. Wtedy uważniej przyjrzałam się dwóm pozostałym dziewczynkom i w jednej z nich rozpoznałam trzecie dziecko z tamtego pokoju zabaw. Brianna, wyszczekany rudzielec, została w Stratton, radząc sobie sama - albo i nie.

- Nigdzie z wami nie idę - powiedział najstarszy chłopiec. Jego głos brzmiał nietypowo, był bełkotliwy jak po całej nocy pijaństwa. Wtedy drugi chłopiec, mniej więcej dziewięcioletni, powtórzył za nim jak echo:

- Ja też nie idę.

Nie miałam do tego siły. Wszyscy przeżyliśmy ciężką noc, a prowadzenie ciężarówki było trudną robotą. Nikt mi nawet nie podziękował za to, że ocalałam ich głupie, bezużyteczne tyłki. Podjęłam ogromne ryzyko, położyłam na szali własne życie, żeby pomóc tej zgrai płaczących bachorów. Szukałam w sobie odrobiny cierpliwości i zrozumienia, ale nie znalazłam.

Za to Fi stanęła na wysokości zadania. Fi to taka dziewczyna, którą małe dziewczynki uwielbiają. Przed wojną łączyły za nią na przyjęciach przy basenie, na grillach i imprezach bożonarodzeniowych. To jedna z takich osób, które mamy zawsze proszą o pomoc przy organizowaniu imprez urodzinowych, bo doskonale ustawiają wszystkie gry i zabawy.

Do mnie nie zwracano się w takich sprawach. Ja byłam dziewczyną, którą prosi się o podłączenie czegoś do wału odbioru mocy traktora albo o przejechanie łychą ładowarki po króliczych norach.

Dlatego teraz do pracy przystąpiła Fi, mimo że wyglądała na wyczerpaną. Nie powinnam upiększać sytuacji na pace. Musiała być okropna. Kołysanie, podskakiwanie, turlanie się z boku na bok, a potem podrzucanie w górę i opadanie z powrotem. Patrzenie na wymiotujące dzieci, czucie smrodu i własne mdłości,

a do tego zupełny brak pojęcia, co wyrabia ta kretyńka za kółkiem. No i obawa, że wrodcy żołnierze w każdej chwili mogą przygotować zasadzkę i zabić wszystkich, zanim w ogóle ktoś zauważy ich obecność. Nie, z pewnością nie było im tam wesoło. Twarz Casey, dziewczynki z poturbowaną ręką, zmieniła kolor z bladego na szary. Wyglądała jak u sześćdziesięciolatki.

Fi przyniosła trochę wody z płynącego kawałek dalej strumyka i kiedy dzieci piły, zaczęła je namawiać.

- Na końcu tej wycieczki czeka na nas pyszne jedzenie - powiedziała.

Trochę przesadziła z tą pysznością, ale rzeczywiście mieliśmy zapas liofilizowanej żywności z Nowej Zelandii i można było z tego przygotować dobry posiłek.

- W dodatku będzie ciepłe - ciągnęła Fi. - Od jak dawna nie jedliście pysznej kolacji? I nawet nie będziecie musieli jej gotować. Zrobimy to za was. Wy będziecie tylko siedzieć i jeść.

- Tak, a wujek Homer przygotuje dla was coś wyjątkowego - dorzucił Lee.

- Jasne, przygotuję to swoim scyzorykiem, kiedy tylko ci mali gówniarze raczą mi go oddać - mruknął do mnie Homer.

Trzeba oddać Fi sprawiedliwość: zdołała ich namówić. Zastosowała mieszankę chwytów w rodzaju: „Zobaczmy, kto pierwszy dobiegnie do zakrętu”, „Dla tych, którzy nie będą narzekać, może się nawet znaleźć trochę czekolady” i „Chyba nie chcesz tu zostać zupełnie sam, prawda?”. Tylko to ostatnie zdawało egzamin w wypadku Gavina, małego twardziela, który mówił pozostałym, co mają robić. Raz nawet wstaliśmy i przeszliśmy co najmniej trzysta metrów, podczas gdy on stał i patrzył, jakby nie wierzył, że ośmielimy się go zostawić. Dopiero kiedy już prawie zniknęliśmy za zakrętem, poddał się i ruszył za nami

ciężkim krokiem, jakby uczestniczył w strasznie przygnębiającym pogrzebie.

Zwolniłam kroku i szłam razem z nim, ale nie chciał odpowiadać na moje pytania i w ogóle się nie odzywał. Pytałam go, jak mają na imię pozostałe dzieci, ale w końcu dowiedziałam się tego tylko dzięki przysłuchiwaniu się ich rozmowie, kiedy już dogoniliśmy resztę. Najmniejsza dziewczynka, która powiedziała, że ma siedem lat, chociaż wyglądała na mniej, miała na imię Natalie, a ta, która ciągle pytała o jedzenie - Darina.

Chłopiec, który wyglądał jak cień Gavina, nazywał się Jack. Podobnie jak Gavin szedł sam i w ogóle się nie odzywał.

Co trzy minuty wybuchała kłótnia. I ze wstydem przyznaję, że najgorsze były dziewczynki. Ten cholerny Gavin, jak na upartego gnojka przystało, zachowywał się teraz zupełnie odwrotnie niż przedtem. Za każdym razem, kiedy przystawaliśmy, żeby wyklócać się z dziewczynkami o to, czy powinny iść dalej, ignorował całą aferę, wyprzedzał nas i szedł dalej. A Jack oczywiście za nim. Jednym okiem obserwowałam dziewczynki, a drugiego nie spuszczałam z Gavina i Jacka, pilnując, żeby nigdzie nie zniknęli. Nie spodziewałam się żadnych problemów ze strony wroga, nie przed dotarciem na odsłonięty szczyt Szwu Krawca, ale pomyślałam, że z takim duetem lepiej mieć się na baczności.

Żałowałam, że nie jestem w stanie okazać tym biednym dzieciom większego współczucia. Ale głód, strach i zmęczenie to niebezpieczna mieszanka. Zrobiłaby potwora z każdego człowieka. A część z tych dzieci miało osobowość, która zdołałaby przemienić pomarańcze w cytryny.

Jakimś cudem, groźbą, przekupstwem i szantażem, nakłoniliśmy dzieci do marszu i w porze lunchu dotarliśmy na Szew

Krawca. To znaczy byłaby pora na lunch, gdyby ktokolwiek miał coś do jedzenia. Potem pozwoliliśmy im się zatrzymać i odpocząć w tym samym miejscu, w którym jakiś czas temu czekaliśmy z nowozelandzkimi żołnierzami. Dziwnie było znaleźć się tam z powrotem. Poprzednim razem uważałam, że Iain i Ursula są zbyt ostrożni, każąc nam zwlekać do zmroku przed przejściem po Szwie w stronę Piekła. Tym razem też nie miałam wątpliwości, że trzeba działać szybko. Musieliśmy napełnić te małe brzuszki jedzeniem. Casey i Natalie wyglądały tak, jakby w każdej chwili mogły zemdleć.

Dlatego siedzieliśmy tam czterdzieści pięć minut. Nasza piątka cicho rozmawiała, a pięcioro dzieci zasnęło. Troje padło tak szybko i spało tak twardo, że na myśl o ich ponownym obudzeniu czułam przerażenie.

Najlepszą - i właściwie jedyną dobrą - rzeczą w tym wszystkim było to, że Kevin radził sobie całkiem dobrze. Chyba poczuł się ważny, mając pod opieką te małe dzieci, i być może nie mógł się doczekać bezpiecznego schronienia w Piekło. Tam raczej nie czyhało na nas żadne niebezpieczeństwo.

- No więc co robimy? - zapytał Homer.

- Mamy radio?

- Tak - powiedział Lee. - Nie zamierzałem go tam zostawić.

- W takim razie połączmy się jeszcze raz z pułkownikiem Finleyem.

Może zgodzi się zabrać stąd te dzieci. Jest nam winny przysługę.

- Albo i trzy - wtrącił Kevin, który niewiele zrobił, by zasłużyć choćby na jedną.

Pomysł najwyraźniej się spodobał. Nie zadałam sobie trudu, żeby wspomnieć o pewnej małej komplikacji z mojej strony.

- Mamy dla nich wystarczająco dużo jedzenia? - zapytał Kevin.

Nikt dokładnie nie pamiętał, co zostawiliśmy w Piekło.

- Chyba tak - powiedziała Fi. - W każdym razie wiem na pewno, że jest tam trochę czekolady.

- Masz szczęście - powiedziałam. - Zabiliby cię, gdyby na miejscu okazało się, że nie ma czekolady.

- Zostało tam całkiem sporo jedzenia - zapewnił Homer. - Mnóstwo liofilizowanej żywności. I trochę suszonej wołowiny. Nie pamiętam, co jeszcze, ale wypełniliśmy zapasami jeden z tych zielonych worków na śmieci. Pamiętam, że włożyliśmy do niego górę ziemniaczanego puree w proszku. Jeśli zabraknie innych rzeczy, mogę się nim żywić.

- Dalej przy Szwie Krawca jest jeszcze parę schowków z jedzeniem, które ukryliśmy na początku wojny, kiedy jeszcze mogliśmy zrobić zapasy - powiedziałam. - Przy tylu osobach jeden taki zapas starczy nam najwyżej na dzień, ale to i tak dobrze.

- Nie miałbym nic przeciwko zrobieniu kilku sideł na króliki - dorzucił Kevin. - Chyba dałbym radę. Słyszałem, jak rozmawiają o tym starsi faceci, ale sam nigdy nie próbowałem ich zastawiać.

- Poza tym moglibyśmy zrobić nalot na jakąś farmę - dodał Lee. - Przynieść więcej jagniąt. A nawet kilka kurczaków. Część gospodarstw na pewno nie jest za bardzo chroniona.

- A co zrobimy z ręką Casey? - zainteresowała się Fi.

- Myślisz, że jest złamana? - zapytałam.

- Chyba tak - powiedział Lee. - Tuż nad nadgarstkiem. Dłoń była zupełnie bezwładna i sflaczała. Moim zdaniem to złamanie.

- Naprawdę ją boli - dorzuciła Fi.

- Niewiele możemy z tym zrobić - powiedział Homer. - "W obozie mamy apteczkę, ale nie znajdziemy w niej żadnej morfiny ani środków znieczulających. Ani sprzętu do rentgena.

- Odkąd Fi założyła szynę, jest jakby lepiej - zauważył Lee. - Na dole możemy jeszcze bardziej się postarać i zupełnie unieruchomić tę rękę. Bo chodzi o to, żeby nią nie ruszała, prawda? To dlatego zakłada się gips?

- Chyba tak. Naprawdę nie wiem. Nikt inny też nie wiedział.

- Mam w namiocie środki przeciwbólowe - odezwał się Kevin. - Przydadzą jej się.

- Ummm - mruknęła Fi. - Jeśli zrozumie, że próbujemy jej pomóc, na pewno poczuje się lepiej.

- Oni wszyscy są mocno poturbowani - zauważył Homer. - Ten młodszy chłopiec, jak on się nazywa, Jack, ma siniaka biegnącego wzdłuż całej nogi. A Natalie mnóstwo ran, które wyglądają na zainfekowane.

Znowu usłyszałam płacz Casey, te ciche, zawodzące dźwięki, więc poszłam sprawdzić, co się dzieje. Nie spała. Siedziała, trzymając się za rękę, i przygryzała wargę.

- Bardzo boli? - zapytałam.

Pokiwała głową, nadal przygryzając wargę.

- Właśnie o tobie rozmawialiśmy - powiedziałam. - Jesteśmy prawie pewni, że w Piekło mamy panadol i trochę innych leków. Jeśli uda ci się tam zejść, chyba będziemy w stanie złagodzić ten ból.

Nie odezwała się, więc przez chwilę przy niej siedziałam.

Po czterdziestu pięciu minutach odpoczynku Lee i Fi zaczęli budzić dzieci, co jednak okazało się kiepskim pomysłem. Praktycznie dostały szału. Właściwie tym razem dziewczynki

zachowały się trochę lepiej niż chłopcy. Casey chciała iść z nami, Darina chyba też, ale pozostali nie byli zainteresowani. Natalie, ta najmłodsza, bez końca płakała i nikomu nie pozwalała się do siebie zbliżyć, a Jack wziął przykład z Gavina. Nie był to dobry pomysł, bo Gavin odwrócił się do nas i swoim śmiesznym, chropowatym głosem oznajmił:

- Dalej z wami nie idziemy.

Zacisnęłam dłonie w pięści i policzyłam do dwudziestu. Mogłabym liczyć nawet do dwóch tysięcy. Nic by to nie zmieniło.

Żadne z nas nie potrafiło niczego wymyślić. Patrzyliśmy na dzieci z przerażeniem.

- Chodźcie - powiedział Gavin i ku mojemu zdumieniu pozostałe dzieci wstały i ruszyły za nim.

Widocznie były gotowe wejść za nim do lasu, bez względu na to, co mogło je tam spotkać. Nie wydawały się zbyt uradowane ani szczęśliwe z tego powodu, ale przecież nic nie sprawiało im radości. Nie mam pojęcia, dokąd chciały pójść. Pewnie zamierzały dojść do drogi i poczekać na autobus.

Stały w małej gromadce i wpatrywały się w nas.

- Nie możecie tak po prostu odejść - powiedziałam. - Jesteśmy wiele kilometrów od cywilizacji. To środek lasu. Zabłądzicie.

- Po prostu wrócimy tą samą drogą, którą przyszliśmy - odparł Gavin.

- Chodźcie - powtórzył do pozostałych dzieci. -Idziemy do Stratton.

Ruszył po Szwie Krawca, w stronę szlaku. Byliśmy jeszcze pod grzbietem, więc dzieci czekała trudna wspinaczka na strome wzniesienie. Ale Jack od razu poszedł za Gavinem, potem Darina, a na końcu, z większymi oporami, Natalie i Casey.

- Stójcie! Zaczekajcie! - zawołała zaniepokojona Fi.

- Niech idą - powiedziałam.

Wiedziałam, co się stanie. Będą szły zgodnie z nachyleniem terenu i przez to nie trafią na szlak. Miały przed sobą boczną grań, która kusiła łatwym spacerkiem, ale stopniowo odbijała na południe. W końcu wiodła w gęsty, nieprzebyty las, w którym naprawdę można było się zgubić. To dopiero był las! Uwielbiałam go, ale wymagał nieustannej czujności. Jeśli przyłapał cię na odrobinie rozkojarzenia, w jednej chwili mógł ci zrobić psikusa.

- Oj, daj spokój, Ellie - powiedziała Fi. - Musimy je zawołać z powrotem.

- Niech idą - powtórzyłam. - Zejdą z wierzchołka i się zgubią, a wtedy może nas posłuchają.

Myślę, że Homer się ze mną zgadzał, chociaż nikt się nie odezwał. W milczeniu patrzyliśmy, jak dzieci odchodzą. Miałam rację. Nie wiedziały, co się dzieje, bo żadne z nich ani razu nie spojrzało w górę. Pasma łagodnie wiodło je w złą stronę, a one posłusznie poddawały się temu z opuszczonymi głowami. Trochę dziwnie było na to patrzeć. Musiałam się ugryźć w język. Nigdy wcześniej nie obserwowałam bez słowa kogoś, kto robi coś tak jawnie niewłaściwego. Niektórzy ludzie twierdzą, że w takich sytuacjach mam aż za dużo do powiedzenia.

Wkrótce dzieci zniknęły nam z oczu. Na chwilę przed tym zobaczyłam smutną twarz Casey spoglądającą w moją stronę i znowu usłyszałam płacz Natalie. Boże, to dziecko naprawdę umiało płakać. Z Natalie nigdy nie zabrakłoby nam wody, tyle że słonej.

- Nie lepiej za nimi pójść? - zapytała zdenerwowana Fi, gdy tylko dzieci zniknęły.

- Spokojnie - odparłam. - Nie zajdą daleko.

- Nie bądź taka pewna - powiedział Homer, a potem, przywołując zasłyszana gdzieś historyjkę, dodał: - Kiedyś, ze sto albo dwieście lat temu, tropili pewną pięciolatkę przez czterdzieści kilometrów, bo zgubiła się w lesie. A kiedy ją znaleźli, była już martwa.

- Sprowadzę je z powrotem - oznajmiła natychmiast Fi. Rzuciłam Homerowi wściekle spojrzenie i złapałam Fi za rękę.

- Fi - zaczęłam - nie mogę uwierzyć, że nadal nie potrafisz poznać, kiedy Homer robi sobie jaja. Po prostu pozwól im kawałek odejść. Wiem, że to się wydaje okrutne, ale muszą się czegoś nauczyć.

- Nie wiem, dlaczego tak strasznie chcemy im pomóc - odezwał się Kevin. Chyba był zły, bo dzieci nie chciały go otoczyć wianuszkami, żeby wypełniać jego polecenia. Przez kilka godzin myślał, że jest ich królem. - Niech idą, skoro same tego chcą. Mogą się wypchać.

Czekaliśmy piętnaście minut, a Fi coraz bardziej się denerwowała. Kiedy wstałam, żeby ruszyć za dziećmi, wystrzeliła do przodu jak pies na komendę „bierz ich”. Czasami mam wrażenie, że Fi nadal nie rozumie lasu. Nie należy się smucić, dopóki nie spadniesz z urwiska albo nie ukąsi cię wąż. Jasne, można się zgubić, ale wystarczy iść w dół i w końcu na pewno się dokądś dotrze. Jeśli znajdziesz ogrodzenie, możesz pójść wzdłuż niego. Bywa, że trwa to kilka dni, ale przez kilka dni nikt nie umrze z głodu. A wodę zawsze się znajdzie. Przecież nie mówimy tu o Pustyni Simpsona. W tych górach wszędzie są małe źródelka, nawet jeśli czasami woda jest stojąca albo brzeg stratowany przez bydło.

Według mojego taty większość historii o zaginionych dzieciach - takich, które zniknęły na zawsze i nigdy się nie odnalazły - bierze się stąd, że maluchy opadają z sił i wpełzają do dziupli albo powalonych pni, żeby się tam schronić. Bez jedzenia i wody zapadają w coś w rodzaju śpiączki i nie słyszą nawoływań tych, którzy ich szukają.

W każdym razie uznałam, że tym dzieciom nie grozi taki los. Doszłam do wniosku, że nic im się nie stanie. Dlatego nie poszłam za nimi tak szybko jak Fi. Na początku byłam przekonana, że żaden z chłopaków się do nas nie przyłączy, ale kiedy tylko weszłam między drzewa, usłyszałam za sobą tupot i dogonił mnie Lee.

- Małe gnojki - powiedział. - Mogłyby raczej okazać nam wdzięczność.

Nie odpowiedziałam. Musiałam z nim rozmawiać, kiedy razem staraliśmy się ocalić dzieciom życie. Ale teraz nie musiałam się do niego odzywać.

Zaczerwienił się i zmarszczył brwi jak dziewiarka, która zgubiła oczko. Wiedziałam, że nie podejmie następnej próby. Był na to zbyt dumny. Ja też byłam zbyt dumna. Nadal nie potrafiłam mu wybaczyć tamtego skoku w bok z czarnowłosą dziewczyną.

Skupiliśmy się na schodzeniu z grani. To było wkurzające. Wiedzieliśmy, że prędzej czy później trzeba będzie się wspiąć z powrotem, a to była nie lada wspinaczka. Nie znosiłam ot tak schodzić ze wzniesienia, na które weszłam z tak wielkim trudem.

Grań była bardzo skalista i wkrótce zrobiło się wąsko. Trzeba było pokonać trzy ostre uskoki, z których żaden nie był niebezpieczny, ale i żaden nie okazał się łatwy. Przy trzecim trzeba

było się odwrócić twarzą do urwiska i zsunąć się w dół, więc naprawdę było ciężko. Muszę przyznać, że byłam zaskoczona, że dzieciom udało się zejść tak daleko, i zaczęły mnie prześladować słowa Homera. Wkrótce usłyszałam jednak cienki, denerwujący płacz Natalie, a po chwili podniesiony głos Jacka, który ze złością się z kimś kłócił.

Wtedy ja i Lee dogoniliśmy już Fi, więc podeszliśmy do dzieci we trójkę. Mimo że te maluchy przez cały dzień działały mi na nerwy, muszę przyznać, że były twarde. Zaszły znacznie dalej, niż przypuszczałam. A nawet kiedy się zjawiliśmy, nie chciały się poddać. Gavin właśnie mówił: „Za dwie minuty ruszamy”, ale wtedy nas zauważył. Troje dzieci stało, Natalie i Casey siedziały i cała piątka podejrzliwie się nam przyglądała. Żadne z nich do nas nie podbiegło. Najwidoczniej traktowali nas jak kolejną komplikację w skomplikowanym dniu. Były bardzo zmęczone. Jak stado owiec, które źle traktowano i teraz na widok człowieka rzuca się do ucieczki.

Pomyślałam, że być może Gavin robi im pranie mózgu, budząc w nich podejrzliwość w stosunku do naszych zamiarów.

Mówiłam do nich cicho, jak do stada owiec. Pracując z bydłem, zakłada się, że zwierzęta nie rozumieją naszego języka, więc ważniejsze jest to, jak się mówi, niż co się mówi. Do tych dzieci próbowałam się zwracać łagodnym głosem i mówiłam głównie o jedzeniu. Coraz bardziej nabierałam przekonania, że sekret tkwi w jedzeniu. Droga do ich serc prowadziła przez żołądki. Może nie miało to większego sensu od strony naukowej, ale od emocjonalnej chyba tak. Kiedy spojrzałam na małą, wygłodniałą twarzyczkę Jacka, zapragnęłam postawić przed nim trochę jedzenia. Więc zanim się spostrzegłam, zaczęłam zawierać z nimi układ:

- Słuchajcie, jeśli obiecacie, że zostaniecie tu na noc, zejść do Piekła i przyniosę wam coś do jedzenia. Coś, co ugotujemy, gorący posiłek.

Jednocześnie myślałam: „O nie! Co ja wygaduję!”.

- Nie możemy tu zostać - jęknęła Natalie. - Gdzie będziemy spać?

Te dzieci z pewnością pochodziły z miasta.

- To będzie przygoda - powiedziała Fi swoim najbardziej kuszącym tonem.

- Poza tym tutaj nie ma żołnierzy - dodał Lee.

- Zaopiekujemy się wami. Będziecie bezpieczni - zapewniła Fi.

Uznałam, że z najmłodszymi nie powinniśmy mieć większych problemów, ale Gavin mierzył mnie morderczym spojrzeniem, jakbym miała przepuścić jego misia przez maszynkę do mielenia mięsa.

- Posłuchajcie - powiedziała Fi. - Zbudujemy wam tu kącik, w którym będziecie mogli spać.

Pospiesznie wzięła się do zbierania większych patyków. Lee podchwycił pomysł i zgromadził stos kory. Miałam już dość przymilania się do tych dzieci, żeby łaskawie pozwoliły nam się ocalić, ale po chwili też się przyłączyłam. Uznaliśmy, że łatwiej zbudować dwie małe klitki niż jedną większą, więc umocowałam długi kij na gałęziach sąsiednich drzew, a potem oparłam o niego kilka patyków. Żaden z tych cholernych gnojków nie kiwnął palcem, żeby nam pomóc.

Zbudowanie szkieletu zajęło nam mniej więcej piętnaście minut, a przez następny kwadrans pokrywaliśmy go korą i wyschniętą trawą. Pod koniec dzieci nawet się zainteresowały, bo zobaczyły, jak będą wyglądały gotowe domki. Dziewczynki

trochę się przysunęły, a Jack stanął tuż obok i zajrzał przez właz.

Potem ja i Fi wdrapałyśmy się z powrotem na grań, zostawiając Lee w roli niańki. Byłam trochę zaskoczona, że Fi chciała ze mną wyruszyć w tak trudną drogę - Lee chyba też się zdziwił -ale gdy tylko zniknęłyśmy im z oczu, zdradziła mi powód. Nigdy w życiu nie przeżyłam takiego szoku.

Fi była wściekła. Przed wojną nie miała pojęcia, czym jest złość. Czasami mogła się najwyżej lekko zdenerwować - na przykład wtedy, kiedy gospośia zapomniała zmienić pot-pourri w jej pokoju albo kiedy na kort tenisowy spadł liść - ale złość zdecydowanie nie była elementem jej życia.

No cóż, ta wojna zmieniła nas wszystkich. Wiem, że Fi nie była wyjątkiem, i wkrótce odkryłam też zmiany, jakie zaszły we mnie samej.

To była zabawna rozmowa, bo prowadziłyśmy ją, sapiąc i dysząc, podczas wspinaczki na grań. Okropnie męcząca sprawa. Byłoby ciężko w każdych okolicznościach, ale czułyśmy potworne zmęczenie i głód. Brakowało nam energii. Między sapaniem i dyszeniem Fi powiedziała mi kilka ostrych słów.

- Ellie - zaczęła. - Są pewne sprawy, o których przyjaciele powinni sobie mówić, prawda?

Nawet nie odpowiedziałam. Wiedziałam, że mam kłopoty. Są pewne sprawy, o których nie chcę słuchać, nawet z ust przyjaciela.

Fi rzuciła mi szybkie, zatroskane spojrzenie, ale najwyraźniej już postanowiła, że powie, co ma do powiedzenia, i będę

musiała jej wysłuchać, chyba że postanowię rzucić się w przepaść.

- Ellie, wiem, że robisz mnóstwo wspaniałych rzeczy, nawet w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin... - Przerwała, żeby przejść nad wielkim kamieniem, co niestety dało jej wystarczająco czasu na ponowne zastanowienie się i kiedy tylko znalazła się po drugiej stronie, podjęła wątek: - Nie, nie zamierzam ci mówić, jaka jesteś cudowna. Zawsze to robię i w końcu zapominam, co naprawdę chcę powiedzieć. Ellie, ostatnio zachowujesz się okropnie. Taka jest prawda i jeśli ja ci tego nie powiem, nikt inny też się nie odważy. Nie rozumiesz, co się z tobą dzieje? Jak bardzo się zmieniłaś. Przez tę wojnę stajesz się uciążliwa i okropna, chwilami ledwie cię poznaję. Jakbyś traciła całą swoją życzliwość, wyrozumiałość i uprzejmość. Sposób, w jaki zwracasz się do tych dzieci, jest tego idealnym przykładem. Nie powiedziałaś im ani jednej miłej rzeczy. Zachowujesz się tak, jakby przyszły tu tylko po to, żeby cię denerwować. Wiem, że niełatwo się z nimi dogadać i że w Stratton cię obrabowały, ale naprawdę nie możesz ich za to winić. To tylko dzieci. Wojna to nie ich wina. To nie one ją zaczęły. Nic nie poradzą na to, co się stało.

Wzięła głęboki oddech, żeby przeleźć przez pień dużego powalonego eukaliptusa. Mimo że leżał na ziemi, nadal rósł. Widocznie zachował wystarczająco dużo korzeni, żeby pompowały wodę do gałęzi. Tak czy siak, dziwnie to wyglądało: poziome drzewo.

- I jeszcze jedno, Ellie.

Wiedziała, na co się zanosi, i zdecydowanie nie chciałam tego słuchać. Zaciśnęłam usta i wpatrywałam się w dal, w błękitną grań na drugim końcu Szwu Krawca. Chciałam

powiedzieć Fi, żeby przestała, ale nie ufałam własnym słowom. Nie da się ukryć prawdy - i taka jest prawda. W końcu z ust Fi padły słowa:

- Nie jesteś w porządku wobec Lee.

Nadal milczałam. Wyjmowałam trawę, która przebiła mi się przez skarpetkę i dowiecała się do nogi. Wyjęłam ją, wyprostowałam się i odwróciłam w stronę góry.

- Kręcił z inną dziewczyną!

Te słowa wyrwały mi się z ust. Nie rozmawiałam na ten temat z Lee, ale w jakiś sposób doszliśmy do porozumienia, że żadne z nas nie powie pozostałym, co się stało. To była nasza tajemnica.

- I co z tego?

Byłam zdumiona, że moja wiadomość wcale nie zaskoczyła Fi.

- Chcesz powiedzieć, że wiedziałaś? Wzruszyła ramionami.

- Domyśliliśmy się.

- My to znaczy kto?

- Ja i Homer.

Głośno przełknęłam ślinę: nie wiedziałam, że tych dwoje prowadzi za moimi plecami poufale rozmowy.

- W każdym razie - ciągnęła, zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć - Lee nie miał wobec ciebie żadnych zobowiązań. Nie byliście razem od wieków. Nie powinien był kręcić z wrogiem, to prawda, i jestem pewna, że szybko sam doszedł do takiego wniosku, ale nie był ci nic winny. Więc dlaczego go karzesz?

- Bo zawiódł nas wszystkich - powiedziałam. - Zdradził nas. - Właśnie o tym mówię. Popełnił błąd. Duży błąd. Od tamtej pory się tym zadrecza. Nie ma potrzeby, żebyś i ty mu

dowałała. Ellie, był czas, że ty pierwsza zrozumiałabyś, że coś takiego może się zdarzyć, i robiłabyś wszystko, żeby go pocieszyć. Ale teraz stałaś się wielką twardzielką, która myśli, że nikomu nie wolno popełnić najmniejszego błędu, a jeśli ktoś go jednak popełni, karzesz go przez... właściwie sama nie wiem, jak długo, bo nie przestałaś karać Lee, odkąd to się stało. I Kevina, tylko dlatego, że ma problemy z poradzeniem sobie z tym wszystkim...

- Przecież Kevin doprowadza do szalu wszystkich. Ciebie też.

- Ciebie bardziej niż innych.

Byłam czerwona jak burak — i to nie z wysiłku towarzyszącego wspinaczce. Ale Fi nie przestawała.

- Chyba nie powiesz, że sama nigdy nie popełniłaś żadnego błędu. Na przykład wtedy, kiedy zostawiłaś otwarte drzwi do sklepu albo kiedy nie...

- Dobrze, już dobrze, pamiętam wszystkie błędy, jakie popełniłam od początku wojny. Nie musisz mi przypominać.

Bałam się, że wspomni o tym, jak krzyknęłam na widok żołnierza w Wirrawee, o moim okropnym błędzie, który nowozelandzcy żołnierze mogli przypłacić życiem. Zamiast tego wymieniła imię, które starałam się wymazać z pamięci.

- To, co zrobiłaś z Adamem w Nowej Zelandii, było dokładnie takie samo jak to, co Lee zrobił z tamtą dziewczyną.

- Wcale nie - zaprzeczyłam zaciekle.

- Jeśli pominąć to, że ona była naszym wrogiem, co w równym stopniu dotyczy nas wszystkich, zostanie coś, co jest dokładnie takie samo jak twoja przygoda z Adamem.

-Ale...

Nie potrafiłam wymyślić żadnej odpowiedzi. Chciałam jej wyjaśnić, że wtedy w Nowej Zelandii za dużo wypiałam i że Adam właściwie mnie do tego zmusił, że nie miałam odwagi ani

energii, żeby mu się oprzeć po tym wszystkim, co nas wcześniej spotkało. Ale wiedziałam, że to zabrzmiałoby zbyt słabo.

- W każdym razie - ciągnęła Fi - to, co zrobił Lee, w pewnym sensie nie ma znaczenia. Liczy się to, jak długo zamierzasz mieć do niego żal. Mamy tu tylko siebie, dobrze o tym wiesz, więc jeśli będziemy chować urazę, w ciągu tygodnia wszyscy przestaniemy się do siebie odzywać. Ale właściwie nie to jest dla mnie najważniejsze, Ellie. Przede wszystkim chcę powrotu dawnej Ellie. Tej, która zawsze pomagała ludziom w potrzebie, na którą przyjaciele zawsze mogli liczyć. Jeśli wojna zabiła tę Ellie, to dla nikogo z nas nie ma już nadziei.

Nadal nie patrzyłam jej w oczy. Z czerwoną twarzą wdrapałam się po ostatnich skałach i ruszyłam w stronę miejsca, w którym zostawiliśmy Homera i Kevina. Potrafiłam myśleć jedynie o rozmowie, którą przeprowadziłam z Fi tysiąc lat temu w Piekło, kiedy mi powiedziała, że dobrze sobie radzę i że kłótnie wybuchają wyłącznie z powodu mojej silnej osobowości. Coś w tym rodzaju. Wyglądało na to, że od tamtej pory trochę zmieniła o mnie zdanie. Albo to ja się zmieniłam.

Nie byłam w stanie się odezwać, kiedy Fi wyjaśniała układ, jaki zawarliśmy z dziećmi. Homer i Kevin nie byli zbyt uradowani, że ktoś musi zejść do Piekła po jedzenie.

- Na miłość boską - powiedział zniesmaczony Kevin. - Dlaczego musimy robić sobie taki kłopot?

- W porządku - odparłam. - Pójdę sama. Nie potrzebuję niczyjego towarzystwa.

W zasadzie byłam pewna, że ktoś zaoferuje mi wsparcie, ale nikt się nie odezwał. Myślę, że to był mój najgorszy okres od początku wojny. Czułam się okropnie nielubiana. Nikt z nich nie miał nawet ochoty ze mną iść, nie chcieli mieć ze mną nic

wspólnego. Ruszyłam w stronę Wombegonoo, czując, że jeszcze nigdy nie było tak źle. Dotarłam aż do rozwidlenia i dopiero wtedy usłyszałam za sobą chrzęst żwiru. Obejrzałam się.

- Mogłaś poczekać - powiedziała Fi.

- Nie wiedziałam, że idziesz.

- Poszłam zrobić siusiu, a kiedy wróciłam, już cię nie było. Zrozumiałam, że nie było jej za mną, kiedy myślałam, że tam stoi.

Dlatego humor trochę mi się poprawił - Fi nie miała nic przeciwko mojemu towarzystwu - ale nadal martwiło mnie to, co powiedziała. Mój żołądek przypominał kłębowisko walczących węży.

Szybko przemknęłyśmy na drugą stronę, na wypadek gdyby ktoś w oddali akurat patrzył w naszym kierunku, i dałyśmy nura ku dużemu drzewu, które skrywało początek szlaku. Teraz przynajmniej droga wiodła w dół. Objęłam prowadzenie, pozwalając, by nogi pracowały, podczas gdy głowa i serce próbowały się uporać z wielkim bałaganem uczuć pozostawionym przez Fi. Byłam okropnie nieszczęśliwa i zła, ale jednocześnie przysłała mi do głowy potworna myśl, że Fi nie do końca była w błędzie.

„Przecież tak bardzo się staram - myślałam - w Stratton byłam dla wszystkich miła. Dbałam o to, żeby więcej rozmawiać z ludźmi. Nawet ozdabiałam dom kwiatami. Tego nie zauważyła. No i odwałam kupę roboty, więcej niż inni. Ciągle chodziłam po grzyby, warzywa i owoce. Nikt nigdy tego nie docenia. Nikt mi nawet nie podziękował, że wczoraj w nocy wywiozłam ich ze Stratton. Uratowałam im życie”.

Z drugiej strony... no cóż, z drugiej strony możliwe, że byłam do nich nastawiona zbyt krytycznie, a dzieci potraktowałam

trochę szorstko. A ponieważ tak się czułam, to pewnie trudno mi było to ukryć. Może nawet nie zauważyłam, jak te emocje ze mnie wysiłekają. Ton mojego głosu, inne nastawienie do ludzi. Ale zawsze byłam wobec wszystkich krytyczna. Może przed wojną Fi tego nie zauważyła. Przyjaźniłyśmy się naprawdę blisko, ale w tamtych czasach otaczało nas mnóstwo ludzi. Nie znałyśmy się tak dobrze jak teraz.

Mimo to unikałam pewnych spraw, o których wspomniała Fi. Czy ostatnio naprawdę zachowywałam się gorzej? Czy byłam surowa? O tak. Tak. Jak my wszyscy. Bo czy mogło być inaczej? Robiłam rzeczy, o których nie potrafiłam potem myśleć. Często i bardzo wyraźnie czułam, że moje życie popadło w ruinę. A jednak czasami zaskakiwałam samą siebie śmiechem, uczuciem zakochania, podziwem dla pajęczyny, puszczeniem kaczek na wodzie, radością na widok młodego jagniątka na chybotliwych nóżkach.

W chwilach przygnębienia pozostawała mi jedynie wątła wiara, że dzięki temu, co zrobiliśmy, komuś będzie się żyło lepiej. Inaczej mówiąc, że odwalamy za kogoś brudną robotę.

Ale im dłużej o tym myślałam, schodząc po kolejnej śliskiej skale, tym bardziej czułam się zmuszona przyznać, że pozostali - w każdym razie Fi i Homer - zachowali coś, co ja zgubiłam. Stałam się bardziej ponura, straciłam humor. Oni nadal mieli w sobie pewien urok. Niedawno Homer przez pół godziny zaplatał włosy Kevina w warkoczyki. Mój umysł wrócił na moment do słowa, które przemknęło przez niego chwilę wcześniej. Humor. Straciłam humor. Tego jednego zdecydowanie mi dzisiaj brakowało: poczucia humoru. Nie pamiętałam, kiedy po raz ostatni zdarzyło mi się zażartować. To znaczy naprawdę zażartować. Nie rzucić jakiś cierpki, kąśliwy dowcip, ale powiedzieć

coś głupkowatego i zabawnego, po czym nikt nie może powstrzymać się od chichotania.

A jeśli chodzi o sposób, w jaki traktowałam Lee... No cóż, nie byłam w stanie się z tym zmierzyć. Kiedy myślałam, co zrobił, całe ciało płonęło mi wielkim poczuciem straty i bólem. Fi zbyt łatwo to zlekceważyła. Czułam się zdradzona. Czułam złość. Czułam, że go straciłam.

Dotarliśmy do naszego dawnego obozu, ale nie udało mi się podjąć żadnej decyzji. A kiedy weszliśmy na tę małą polanę, tocząca się w mojej głowie bitwa myśli i uczuć nagle utonęła w powodzi emocji. To miejsce stało się centrum mojego świata, jedynym stabilnym punktem, jaki pozostał we wszechświecie. Teraz tu był mój dom. Wracając, czułam się dobrze.

Rozejrzałam się czule, z miłością. Chciałam, żeby wszystko wyglądało tak jak wtedy, kiedy stąd wyruszaliśmy. Żeby pod naszą nieobecność ani jeden listek nie spadł z drzewa.

I w zasadzie nic się nie zmieniło. Najwyższa pora, żeby w naszym życiu pojawił się przynajmniej jeden przewidywalny element. Jasne, leżała jakaś strącona gałąź, na ziemi widać było więcej porzrzuconych kawałków kory, a w miejscu, gdzie ja i Fi lubiliśmy się opalać, znalazłam świeże kupki oposa. Ale nasz skromny dobytek pozostał nietknięty: rzeczy należące do mnie i do Fi leżały razem, a chłopaków na osobnych stertach. A niedaleko paleniska czekał większy stos złożony z kociołków, patelni, talerzy, kubków i sztućców oraz zapasów jedzenia. Po raz pierwszy od czasu szalonej ucieczki ze Stratton zdałam sobie sprawę, że będziemy musieli zapewnić tym dzieciom jakieś schronienie. Na szczęście było lato. Nadal mieliśmy rzeczy Chrisa i Corrie oraz część rzeczy Robyn, które zostawiła podczas pakowania się. Były więc dwa śpiwory i cztery namioty, a także trochę ubrań.

Czy kiedykolwiek powiemy dzieciom, że te rzeczy należały do osób, które zginęły? Sama nie miałabym nic przeciwko noszeniu ubrań Robyn i Corrie, ale dla tych maluchów Robyn i Corrie były obcymi ludźmi, a ja nie paliłabym się do noszenia ubrań martwych obcych osób.

Ale na razie nie musieliśmy się o to martwić. Najważniejsze było jedzenie. Zdziwiłam się, że tak dużo go zostało. Mieliśmy szczęście. Przy dziesięciu gębach do wyżywienia musieliśmy znacznie ostrożniej korzystać z tych zapasów.

Wybrałyśmy ładny zestaw liofilizowanej żywności, trochę herbatników i resztę czekolady, a potem przejrzałyśmy nędzny zapas lekarstw zgromadzony przez Kevina: najsilniejszym środkiem, jaki znalazłyśmy, był antydol. W wypadku złamanej ręki niewiele mógł pomóc, ale był lepszy niż panadol i zdecydowanie lepszy niż nic.

Potem przyszła pora, żeby zawrócić i wyjść z Piekła po stromym zboczku kotliny. Nie zrobiłyśmy odpoczynku, bo wiedziałyśmy, że dzieci są już pewnie zrozpaczone. Podobnie jak Lee, który się nimi opiekuje. Miałam pewne opory, nie chciało mi się iść. Zużyłam całą energię, do ostatniej krztyny. W moim baku zrobiło się pusto. Zupełnie jakbym otworzyła dwustulitrowy zbiornik i zobaczyła, że jest pusty. A jednak musiałam się wdrapać na to urwisko. Z ponurą miną ruszyłam noga za nogą.

Kiedy już zaczniesz trudną wspinaczkę, najlepiej iść aż do końca. Nigdy nie należy przystawać w połowie drogi. Oczywiście to kwestia psychiki. Jeśli się zatrzymasz, strasznie trudno znowu się ruszyć. Po prostu trzeba sobie obiecać odpoczynek dopiero po dotarciu na szczyt.

Zawsze postępowałam w ten sposób. Zwłaszcza w ciągu ostatniego roku.

Ale teraz mój hart ducha mnie zawiódł i przy pierwszym wielkim głazie musiałam się zatrzymać. Oparłam się o skałę, pochyliłam się i z trudem łapałam powietrze. Fi usiadła po drugiej stronie szlaku i włożyła głowę między kolana. Chyba obie byłyśmy wykończone.

Przez chwilę żadna z nas się nie odzywała. Potem Fi zapytała, czy wszystko w porządku, a ja potwierdziłam skinieniem głowy.

- Chodźmy - powiedziałam po chwili.

- Poczekaj trochę - poprosiła Fi.

Nie byłam pewna, czy mówi to przez wzgląd na mnie, czy na siebie. Ale zaczęłam.

- Nic nie mówiłaś, odkąd... - zaczęła Fi. Wiedziałam, o co jej chodzi. Nie odpowiadałam na wszystkie zarzuty, jakimi mnie zasypała.

Nie żebym nie chciała. Po prostu nie umiałam. Za każdym razem, kiedy próbowałam jej odpowiedzieć, jakiś kwas wypalał mi wnętrzności i wyłączał mózg, a kiedy otwierałam usta, nic się z nich nie wydobywało - może z wyjątkiem dymu. Chciałam coś powiedzieć, ale nie ufałam sobie.

Wstałyśmy więc i poszłyśmy dalej. Chyba żadna z nas nie była zadowolona z postawy swojej towarzyszki.

Boże, jaka to była mordęga. Krótki odpoczynek sprawił, że ochłonełam, i teraz każdy kolejny metr oznaczał okropną walkę. Ból wędrował w górę po tylnej części moich nóg. Czułam, jak mięśnie naciągają się i kurczą. Moje chore kolano przeszywał ból. Kusiło mnie, żeby połknąć kilka tabletek przeciwbólowych niesionych dla Casey. Stawiałam coraz krótsze kroki i coraz mniej podnosiłam nogi, więc potykałam się o każdy korzeń i kamień. Zanim dotarliśmy na górę, musiałam się zatrzymać jeszcze cztery razy.

To nie było tylko wyczerpanie po niedawnej ucieczce z miasta, ale i skutek długiego leniuchowania w Stratton.

Na szczęście po dotarciu na Szew Krawca poszło już stosunkowo łatwo. Potem droga wiodła w dół. Najtrudniejsze okazało się obudzenie Homera i Kevina. Mieli na tyle przyzwoitości, żeby ponieść za nas jedzenie. Powłócząc nogami, zsuwaliśmy się po stromych odcinkach. W końcu znowu zobaczyliśmy dzieci. Wszystkie spały, tak jak wcześniej Kevin i Homer. Czuwał tylko Lee. Siedział pod akacją i wpatrywał się posepnie w swoje małe przedszkole.

5

Na początku byłam pod wrażeniem skuteczności Lee w roli niańki. Wyglądało na to, że pilnowanie dzieci dobrze mu idzie. Może zawdzięczał to swoim doświadczeniom z młodszym rodzeństwem. Wkrótce jednak odkryliśmy, że wcale nie spisał się aż tak dobrze.

Przez chwilę wydawało się, że wszystko jest w porządku. Jeśli pojawił się jakiś znak zwiastujący niebezpieczeństwo, to chyba był nim sposób, w jaki Casey i Darina zachowywały się podczas jedzenia. Kilka razy wyglądały tak, jakby chciały coś powiedzieć, ale wahały się, spoglądały na siebie, potem patrzyły na Gavina i dalej milczały. Nie zwróciłam na to większej uwagi, ale pamiętam, że skrzywiłam się z niesmakiem, widząc, jaką kontrolę ma nad nimi ten chłopiec. Zupełnie jakby je nadzorował.

Casey trochę mniej skarżyła się na ból ręki. Szyna zdawała egzamin i prawdopodobnie pomogły też proszki. Twarz dziewczynki straciła szary odcień.

Przynajmniej na widok jedzenia wszyscy się rozchmurzyli. Rozpaliliśmy ognisko i podłożyliśmy suchego drewna, żeby dym był praktycznie niewidoczny. Ugotowanie posiłku zajęło nam

zaledwie dwadzieścia minut. To liofilizowane jedzenie jest naprawdę dobre. Smakuje jak normalna żywność. Nie miałam pojęcia, kiedy te dzieci po raz ostatni jadły coś ciepłego. Pałaszowały, aż im się uszy trzęsły. Domagały się więcej, ale nic nie zostało, a poza tym byłam pewna, że po takim głodzie obfity posiłek by im zaszkodził.

To, co wydarzyło się później, jest jeszcze bardziej zadziwiające, kiedy się pomyśli, ile ten posiłek musiał dla nich znaczyć. Dowodzi, jak ogromną siłę woli miały te gnojki. Ale przecież bez niej nie przetrwałyby w Stratton.

Postanowiliśmy poczekać do późnego popołudnia i dopiero wtedy ruszyć na Szew Krawca. Dzięki temu dotarlibyśmy do Piekla po zmroku i moglibyśmy przejść po grani niezauważeni przez nikogo. Teraz, kiedy dzieci się posiliły, uznaliśmy, że możemy sobie pozwolić na luksus czekania. Zresztą im bardziej by wypoczęły, tym lepiej. Nie przyszło mi do głowy, że po szalonej i przerażającej ucieczce ze Stratton została im jeszcze jakaś energia.

Dlatego oddaliłam się od reszty i usiadłam na skale, z której roztaczał się widok na czubki drzew w dole. Wyglądały jak miła, miękka poduszka. Zastanawiałam się, czy mogłabym skoczyć i na niej wylądować - czy pochwyciłaby mnie lekko i delikatnie, ukołysała na słabym wietrze. Myślałam o tym, co powiedziała Fi, i zastanawiałam się, czy kiedykolwiek odzyskam poczucie humoru. A może z poczuciem humoru jest tak jak z zaufaniem, dziewictwem i z zębami stałymi: może traci się je na zawsze?

Zastanawiałam się, co porabiają pozostali.

W zasadzie nie robili nic konkretnego. Tak samo jak ja. Lee i Fi spali. Homer i Kevin znaleźli drzewo z gniazdem os, w które rzucali kamieniami. Z bezpiecznej odległości. Przed wojną często strzelałam z Homerem w gniazda os, ale odkąd zaczęła

się inwazja, nie czułam najmniejszej potrzeby niszczenia czegokolwiek poza tym, co należało do wroga. Nie wiem, dlaczego miałabym gnębić biedne osy.

Podsumowując, nie zwracaliśmy uwagi na dzieci. Chyba każde z nas myślało, że ktoś inny ma je na oku. Albo że nie wymagają opieki. Ja zakładałam, że większość z nich znowu zaśnie.

Okolo piątej wróciłam na polanę. Zostałam na niej tylko Lee, który właśnie się obudził i siedział na kamieniu bardzo zaspany, jak większość ludzi tuż po przebudzeniu. Po chwili zobaczyłam Fi, która zbliżała się od strony drzew na południu. Nigdzie nie było widać Homera, Kevina ani dzieci.

- Gdzie reszta? - zapytałam.

- Nie wiem - powiedział Lee. - Może wybrali się na wycieczkę krajoznawczą. Poznają faunę i florę.

Odgadł lepiej, niż mu się wydawało.

Nie przejmowałam się, dopóki dwadzieścia minut później nie zjawili się Homer i Kevin. Spojrzałam na nich dość mocno zaskoczona i zapytałam:

- Gdzie dzieci?

- Nie wiem - powiedział Homer. - Myślałem, że tutaj. Od razu się zaniepokoił.

- Kiedy je widziałeś po raz ostatni? - zapytałam Lee.

- Przed zaśnięciem. Wtedy tutaj były. Siedziały na tej zielonej trawie na drugim końcu polany. Chyba po prostu rozmawiały. W zasadzie nie zwróciłem uwagi.

Fi pobiegła, żeby się rozejrzeć, jak detektyw szukający śladów. Homer stanął na środku polany i wydał kilka aborygeńskich okrzyków. To mi się nie spodobało, bo robił za dużo hałasu. Nie mogliśmy dłużej zakładać, że w lesie jest bezpiecznie, że nie usłyszą nas żadne wrogie uszy.

Po kilku próbach Homer się poddał i wrócił do nas.

- Gdzie oni się, do cholery, podziali? - zapytał rozdrażniony.

- Pewnie poszli na spacer - podsunęła Fi.

- Poszli na spacer! - oburzyłam się. - Jak mogliby być aż tak głupi?

- Myślisz, że zabłądzili? - zapytała Fi.

- Nie mam zielonego pojęcia. Ale to bardzo dziwne. Chyba nie postanowili znowu się od nas odłączyć?

- Może zostali porwani przez kosmitów? - podsunął Kevin. Nie zwróciłam na niego uwagi. Byłam strasznie wkurzona i zmartwiona. Usiłowałam myśleć.

- No więc co zrobimy? - zapytał Lee.

- Będziemy musieli ich poszukać - powiedziałam. Zapadła cisza, bo wszyscy myśleliśmy o tym, co to dla nas oznacza.

- Moglibyśmy trochę poczekać - zaproponowała Fi. - Zobaczymy, czy wrócą.

- Nawet nie wiemy, od jak dawna ich nie ma - zauważyłam.

- Która godzina? - zapytał Homer.

- Wpół do szóstej - powiedział Kevin.

- Raczej nas nie stać na zwlekanie - powiedziałam. - Musimy ich znaleźć przed zmrokiem, bo inaczej naprawdę będą kłopoty.

- Głupi gówniarze - wkurzał się Kevin. - Jak ich znajdziemy, przerobię ich na kotlety.

Nikt więcej się nie odezwał, więc uznałam, że wszyscy się ze mną zgadzają. Właśnie miałam zaproponować, żebyśmy się rozdzielili i poszli w różnych kierunkach, ale uznałam, że chyba lepiej najpierw się zastanowić. „Czas przeznaczony na rekonesans nigdy nie jest stracony”.

- Jak myślicie, dokąd mogliby pójść? - zapytałam przyjaciół, ale przede wszystkim Homera.

I to właśnie on odpowiedział:

- Myślę, że znowu od nas uciekli.

- Dlaczego mieliby to robić? - zapytałam zrezygnowana. -I dokąd tym razem mieliby iść? - Zaczęłam uderzać pięścią w pień najbliższego drzewa. Nagle krzyknęłam: - Cholerni, głupi gówniarze! Gdzie jesteście? Wracajcie!

Narobiłam więcej hałasu niż Homer swoim nawoływaniem. Nikt się nie odezwał. Wszyscy tylko na mnie patrzyli. Przyglądali mi się jak naukowcy obserwujący nowy, ciekawy okaz. Wzięłam się w garść i odzyskałam panowanie nad sobą.

- Po tym co się wydarzyło dzisiaj po południu, nie przyszło mi do głowy, że mogą jeszcze raz spróbować ucieczki - powiedziałam do Homera. - W ogóle nie znają tych terenów.

Nie odpowiedział, wzruszył tylko ramionami. Fi wróciła z niczym.

- Nie rozumiem, dlaczego uciekli do lasu. Przecież nie mają żadnej opieki.

Chcąc nie chcąc, pomyślałam, że Fi mówi raczej o sobie. Te dzieci były wystarczająco odważne, żeby zrobić każdą rzecz, ale poza tym nie miały pojęcia o przetrwaniu w lesie. Odwaga w połączeniu z głupotą to wielki problem. Kiepski zestaw.

W każdym razie nie doszliśmy do żadnych wniosków, a czas uciekał.

- No tak, przynajmniej wiem, że nie poszły w tamtą stronę - powiedziałam, wskazując miejsce, w którym wcześniej siedziałam.

- I nie weszły na grań - dodał Kevin.

- Ani tam - dorzuciła Fi. - Opalałam się na tamtych skałach.

Właśnie to chciałam usłyszeć. Gdybym miała wybrać najbardziej prawdopodobną trasę ucieczki dzieci, wskazałabym wąską ścieżkę wydeptaną przez zwierzęta i wiodącą na południe. Postawiłabym na nią, bo biegła w dół, przypominała szlak i zdawała się prowadzić ku mniej zalesionym terenom. Zmęczonym i zdezorientowanym dzieciom wydała się pewnie bardziej atrakcyjna niż wspinaczka albo gęsty las.

Ruszyłam w tamtym kierunku, a reszta poszła za mną. Nadal było widno, więc wcieliłam się w postać Aborygena tropiciela i szukałam najdrobniejszych śladów. Szlak był bardzo wąski, chwilami zanikał, ale przeważnie był wydeptany, czasami nawet wrzynał się w trawę jak rów.

Szliśmy piętnaście minut, ale nigdzie nie było śladu dzieci, i zaczęłam się martwić. Jeśli wybraliśmy złą drogę, straciliśmy mnóstwo czasu.

Nagle twarde, suche podłoże się zmieniło. Szlak przeciął skrawek błotnistej ziemi, bo niedaleko było źródło. Zobaczyłam ślady kopyt, racic i łap. Oraz parę wyraźnych wgłębień pozostawionych przez obcasy małych butów.

Teraz nie mieliśmy już wątpliwości. Pochyliłam głowę i przyspieszyłam. Dopóki byliśmy na szlaku, w zasadzie mogliśmy mieć pewność, że idziemy właściwą drogą. I zaczęłam myśleć, że Homer miał rację: dzieci od nas uciekły. Bo jak inaczej wyjaśnić to, że oddalały się od Szwu Krawca?

Znaleźliśmy się w gęstych zaroślach. Prawdopodobnie rozrosły się dzięki podziemnemu źródłu. Drzewa były wysokie i proste, ich białe pnie pokrywała obłaząca kora, jakby rozbierały się od góry do dołu. Chodzenie po tej korze robiło niewiarygodnie dużo hałasu. Kilka razy zgubiłam szlak w gęstym poszyciu, kiedy znikał pod niską roślinnością. Potem Homer mnie

wyprzedził i wspiał się na wzniesienie. Wiedziałałam, co chce zrobić: miał nadzieję, że zauważy szlak kawałek dalej i zaoszczędzi nam czasu. Dla pewności nadal baczenie się rozglądałam - na wypadek gdyby sposób Homera zawiódł - ale naprawdę się ucieszyłam, kiedy kilka minut później zawołał: — Widzę go!

Praktycznie nie zwracaliśmy uwagi na pozostałych. W lesie z Lee i Fi było tyle pożytku co z lalki Barbie, a Kevin wlekł się i za dużo gadał, zamiast korzystać z oczu i uszu. Wbiegłam na stok, żeby dołączyć do Homera, i razem ruszyliśmy ścieżką z głowami pochylonymi jak psy, które wyczuły zapach królika.

Szliśmy szybkim krokiem, od czasu do czasu biegliśmy. Przez pół godziny nie było widać żadnych śladów. Nawet nie zauważyliśmy, jak gęsty las ustąpił miejsca bardziej płaskiemu terenowi, nadal zalesionemu, tyle że w znacznie mniejszym stopniu. Widok małego stada angusów pasącego się na drugim końcu ogromnej polany wcale mnie nie zaskoczył. Wokół było mnóstwo dobrej paszy i było następne źródło, z którego zwierzęta mogły się napić czystej wody. Polana była w połowie błotnista i poprzecinana kopytami, a teren rozległy, prawdziwe grzęzawisko. Te zwierzęta prawdopodobnie należały kiedyś do Colina McCanna, który nadal korzystał ze starej dzierżawy pozwalającej wypasać bydło na domenach królewskich. Mimo to owce zdążyły zdziczeć, podobnie jak większość zwierząt domowych pozostawionych bez opieki po inwazji. Te pasące się najbliżej nas podniosły głowy i przez chwilę obserwowały nas z niepokojem. Potem zabeczały, dzieląc się swoimi obawami z pozostałymi, i szybko uciekły w las. Staliśmy co najmniej dwieście metrów od nich, więc wykazały wielką ostrożność. Współczułam nieszczęśnikowi, któremu

pewnego dnia przyjdzie je z powrotem oswoić. Czekало go nie lada wyzwanie.

Problem polegał na tym, że na polanie kończył się nasz szlak. W zasadzie można było się tego spodziewać - kangury, wombaty i walabie, które z niego korzystały, nie potrzebowały już ścieżki. Mogły się rozejść i pożywić soczystą zieloną trawą. Zrozpaczona spojrzałam na Homera.

- Co teraz?

- Zaczekamy na pozostałych. Musimy odpocząć.

Szliśmy już od jakiegoś czasu, Homer był czerwony i zgrzany. Nie widzieliśmy reszty, ale po chwili nasi przyjaciele pojawili się w wysokiej trawie. Prowadził Lee. Czekając, zastanawiałam się, dokąd bym poszła, gdybym była na miejscu tych dzieci. Homer spojrzał na mnie i najwidoczniej odgadł, o czym myślę.

- Na pewno nie poszliby przez to błoto - powiedział.

- Racja.

Od razu się rozchmurzyłam, uznając, że powinniśmy skrócić w prawo i ruszyć w przeciwną stronę. Ale Lee, który zjawił się w samą porę, żeby usłyszeć słowa Homera, powiedział:

- Zaczekajcie chwilę. Jeśli faktycznie dali nogę, to w pewnej chwili spróbują zrobić jakiś manewr, żeby nas zmylić. Nie zakładajcie, że zawsze będą całkowicie przewidywalni.

Oczywiście miał rację. No więc pojawił się pewien problem. Nigdy nie słyszałam o kimś, kto tropił ludzi, którzy nie chcieli zostać znalezieni. Pewnie czasami zdarzało się to policji, ale trudno to było uznać za element codziennego życia w Wirrawee.

- Co o tym myślisz? - zapytałam Homera. Odpowiedział powoli.

- Ściganie ich złą drogą nie przyniesie nam niczego dobrego. Powinniśmy albo się rozdzielić, albo poszukać następnego tropu.

Zbliżał się wieczór, więc pomysł rozdzielenia się przestał mi się podobać. Pewnie byłoby to logiczne rozwiązanie, ale musieliśmy myśleć także o sobie. Dlatego powiedziałam:

- Rozejrzyjmy się tutaj uważnie. Zobaczmy, czy uda nam się znaleźć jakiś ślad.

Ja i Fi poszłyśmy na południowy kraniec polany. Lee i Kevin ruszyli w przeciwną stronę, na grzędawisko. Jeśli ktoś zostawił tam jakieś ślady, to na pewno nietrudno będzie je zauważyć. Homer zaczął przeszukiwać stok na wschodzie.

Rozglądałam się i rozmawiałam z Fi.

- Jak myślisz, co oni wyprawiają? - zapytała mnie.

- Nie mam zielonego pojęcia. Chyba po prostu chcą działać na własną rękę. Ale to naprawdę wkurzające. Nie możemy pozwolić, żeby biegali tu samopas. Zwłaszcza ta biedna Casey.

Nagle Fi zmieniła temat:

- Przepraszam za to, co powiedziałam, kiedy schodziłyśmy do Piekła.

- Zostawmy to na później. Nie chcę teraz o tym myśleć.

Mówiłam szczerze. To wszystko było ponad moje siły. Szukałyśmy dalej, ale już w milczeniu. Skupiłam się na wypatrywaniu jakichś drobnych śladów obecności ludzi.

Byłyśmy poza zasięgiem wzroku pozostałych i kiedy wchodziłyśmy w gęstszy las, znalazłam to, czego szukałam. Doskonały ślad małego buta w krowim placku, a dalej ślady gnoju, który odkleił się od podeszwy i ułożył w linię biegnącą na południowy wschód. Mieliśmy więc nie tylko dowód, że dzieci tędy szły, ale nawet ślad wskazujący kierunek, jaki obrały.

Powiedziałam Fi, żeby zawołała resztę, a sama ruszyłam naprzód najszybciej, jak umiałam.

Nie było ścieżki, ale chyba już wiedziałam, dokąd poszły dzieci. W oddali stał stary czarny pniak przypominający latarnię morską. Tkwił na grzbiecie grani, z dala od roślinności, a za nim rozciągało się bezchmurne niebo. Pomyślałam, że pewnie przyciągnął uwagę dzieci. Ruszyłam więc w jego stronę, a *wkrótce* dołączyli do mnie pozostali.

Ale pniak nas zmylił. Od jasnego nieba dzieliła nas bardzo długa droga. Zamiast niego mieliśmy przed sobą mnóstwo żlebów pełnych paproci i powalonych drzew. Zdawały się ciągnąć w nieskończoność, jak fale przy plaży. Kevin zaklął.

- Mamy tędy iść?

- Chyba czas na naradę - powiedział Homer. - Raczej nie uda nam się ich złapać dziś wieczorem. Zamierzamy iść po zmroku?

- Nie - odpowiedzieli chórem Lee i Kevin.

- Chce mi się jeść - dodał Kevin. Homer spojrzał na mnie.

- Jak myślisz?

Zrozumiałam, że naprawdę pyta o zdanie przede wszystkim mnie. To, co myśleli albo chcieli robić pozostali, było w zasadzie nieistotne.

- Kiedy się ściemni, prawdopodobnie się zatrzymają - powiedziałam. - Więc tym bardziej powinniśmy iść dalej. Trzeba się tylko upewnić, że jesteśmy na właściwej drodze.

Nikt więcej się nie odezwał.

Przyjrzałam się pierwszemu żlebowi. Rosła w nim taka gęstwina, że nie było widać żadnego przejścia. A przecież dzieci, zmęczone i niepewne, najprawdopodobniej szukały łatwej drogi. Musiałam się wczuć w ich sytuację. W połowie pierwszego żlebu leżało powalone drzewo, ustawione równolegle do jego

krawędzi. Możliwe, że przyciągnęło uwagę dzieci jako miejsce, gdzie można by przystanąć i złapać oddech. Pozostali patrzyli, a ja przedarłam się do żlebu i ruszyłam w stronę tego drzewa. Miejscami paprocie były tak wysokie, że czułam się, jakbym pływała w morzu roślin. Dzieci całkiem by wśród nich zniknęły. Mogły się w nich chować choćby dziesięć metrów ode mnie. Wystarczyłoby, żeby przykucnęły i zaczekały, aż się oddalimy. Oczywiście pogodziłam się już z tym, że od nas uciekły. Nie wiedziałam, dlaczego podjęły taką decyzję, ale musiały mieć jakiś powód.

Dotarłam do pnia i stanęłam na nim. Prawie u swoich stóp zauważyłam świeże białe zadrapanie, gdzie coś wyrwało dużą drzazgę mniej więcej wielkości grzebienia. Drobnny ślad, ale zawsze coś. Uważnie obejrzałam resztę pnia. Dalej po lewej zauważyłam porysowane miejsce, które też wyglądało na świeże. Możliwe, że podrapał je czyjś but. Podeszłam do czubka drzewa i rozejrzałam się. Nic. Nadal nie miałam wystarczającej pewności, żeby zawołać pozostałych, i czułam, że tracimy czas, ale ruszyłam na drugi koniec i w pośpiechu omal nie straciłam równowagi. Spojrzałam w dół. I prawie się uśmiechnęłam, choć jednocześnie zrobiło mi się trochę niedobrze. Na ziemi pod dużą podstawą pnia leżał wyraźny dowód, że bardzo niedawno przechodzili tędy ludzie. Mała brązowa kupka, do której już zlatywały się muchy. Fuj. My ustaliliśmy własne zasady dotyczące załatwiania się w lesie: najważniejsza z nich głosiła, że wszystko należy przykryć, a najlepiej zakopać. W niektórych miejscach było to łatwe, ale w innych, tam gdzie ziemia była twarda albo skalista, mieliśmy z tym prawdziwy problem. To dziecko nie zaprzętało sobie tym głowy.

- Byli tu! - zawołałam do pozostałych.

- Skąd wiesz? - krzyknęła w odpowiedzi Fi, kiedy zaczęli się przedzierać przez paprocie.

- Lepiej nie pytaj.

Przedostali się przez zarośla i dołączyli do mnie.

- Wyobraź sobie, że oni też musieli się tak męczyć - powiedziała lekko zdyszana Fi.

- Pytanie brzmi: dokąd poszli później? - zauważył Homer.

- Myślę, że najprawdopodobniej przedzierali się dalej przez te żleby - powiedziałam. - Jeśli już zaczęli, na pewno nie chcieli wracać. Ale im bardziej będą zmęczeni, tym chętniej będą się kierowali w dół. Nawet tego nie zauważą. Założę się o marsa, że od tej pory będą szybko schodzili na niższe tereny.

Nikt się z tym nie spierał. W wymiarze praktycznym oznaczało to, że być może uda nam się zyskać trochę czasu, ruszając prosto na dno pierwszego żlebu i przechodząc na łatwiejszy grunt.

Dość sprawnie przedzieraliśmy się przez zarośla i przez mniej więcej piętnaście minut utrzymywaliśmy dobre tempo. Tyle że robiło się coraz ciemniej. Znowu przyszło mi do głowy, że dzieci mogą się przed nami ukrywać. Numer ze starym wydrążonym pniem albo z powalonym drzewem. Możliwe, że już dawno je minęliśmy.

Homer zarządził następny postój. Było już tak ciemno, że widziałam tylko pnie drzew: kilka razy omal nie straciłam oka przez ostre gałęzie niewidoczne w mroku.

- Co teraz? - zapytał mnie znowu Homer.

Tym razem miałam gotową odpowiedź. Zastanawiałam się nad nią przez ostatnie dwadzieścia minut.

- Ty i Lee wróćcie na Szew Krawca i przyniesiecie dwa plecaki. Kiedy już ich znajdziemy, powinniśmy mieć wystarczająco sprzętu, żeby robić obóz na noc. Kevin może zostać tutaj

i rozpalić małe ognisko. Ja i Fi pójdziemy jeszcze trochę dalej i poszukamy kolejnych śladów. Chyba nawet moglibyśmy wołać ich po imieniu? Jeśli są wystarczająco zmęczeni, wystraszeni i głodni, pewnie się odezwą. Podejrzewam, że Casey czuje teraz okropny ból. Natalie płacze.

- Moim zdaniem lepiej ich nie wołać - powiedziała Fi. -Mamy większe szanse, jeśli nie wiedzą, że ich szukamy. Nie zapominajcie, że prawie przez rok ukrywali się w Stratton. Muszą być w tym dość dobrzy.

- Wszystko przez Gavina - powiedziałam ze złością. - Założę się, że to był jego pomysł.

Nikt tego nie skomentował i, o dziwo, nikt nie sprzeciwił się mojemu planowi. Od plecaków dzielił nas kawał drogi, ale Homer i Lee ruszyli bez narzekania. W ciemności, na nierównym terenie, czekała ich długa wyprawa, zwłaszcza że na niebie nie było jeszcze księżyca.

- No to jak, czujesz się na siłach? - zapytałam Fi.

- Chyba tak. Wątpię, że ich znajdziemy, ale co nam szkodzi spróbować. Postaramy się.

- Ty mała australijska wojowniczo - powiedziałam. Raczej tego nie usłyszała. Zebrałyśmy trochę chrustu dla Ke-

vina i wyruszyłyśmy w ciągu dwóch minut. Nie miałam w głowie żadnego konkretnego planu, tylko nadzieję, że znajdziemy kolejny ślad, oraz poczucie, że nie powinniśmy się poddawać. Noce w lesie bywają długie.

Powoli i ostrożnie przemierzaliśmy się wzdłuż krawędzi żlebów. W tej części rosnęło niewiele drzew, więc ostre gałęzie nie zagrażały już moim oczom. Ale teren robił się coraz bardziej nierówny i przeważnie opadał. Szłyśmy po czymś, co coraz bardziej przypominało koryto strumienia.

- Musimy pójść z powrotem aż na to wzgórze - mruknęła Fi.

Nie odpowiedziałam. Nie zostało nic do powiedzenia, a poza tym byłam zbyt zajęta patrzeniem pod nogi i szukaniem jakiegoś śladu w ciemności.

Kiedy wróciliśmy do chłopaków, była już prawie północ. Chciałyśmy szukać tak długo, jak się da, ale czas płynął, a nie znajdowałyśmy żadnego śladu dzieci, niczego, co by nas zachęciło, więc stopniowo traciłyśmy zapął. Ostatnie pół godziny poszukiwań w zasadzie nie miało sensu. Wlekłyśmy się noga za nogą i chyba miałyśmy nadzieję, że promień światła wystrzeli z nieba, wskazując nam drogę do dzieci.

Traciłam pewność, że w lesie nie grozi nam żadne prawdziwe niebezpieczeństwo. Wcześniej wydawało mi się niewiarygodne, że we współczesnych czasach nadal można kompletnie i poważnie zabłądzić. Ale te dzieci, niedożywione, poobijane i trochę stuknięte, wydawały się ostatnimi osobami, które powinny się włóczyć bez opieki w nieznanym środowisku. Trudno było się o nie nie martwić.

Chłopaki jeszcze nie spały. Wszyscy trzej siedzieli skuleni przy małym ognisku Kevina i cierpliwie na nas czekali. Doceniłam ich wytrwałość. Byliśmy wykończeni. Niewiele rozmawialiśmy, bo nie było nic, o czym warto by opowiadać. Skuliliśmy się tylko pod prymitywnym szałasem z kory, który Homer zbudował dla ochrony przed wilgocią.

Rano znów wyruszyliśmy w drogę, tym razem wszyscy pięcioro. Uznaliśmy, że dzieci najprawdopodobniej nie wstaną aż tak wcześnie. Ranek był potwornie zimny, więc maszerując, oplotłam się rękami. W dodatku byliśmy głodni: podczas tej wojny nauczyliśmy się, że jedynym sposobem, aby wyruszyć wcześnie rano, jest zrezygnowanie ze śniadania. Nawet najszybszy posiłek zatrzymywał nas na co najmniej pół godziny.

Zrezygnowanie ze śniadania tamtego ranka nie było zbyt trudne, bo i tak mieliśmy niewiele jedzenia - tylko resztki tego, co przyniosłam razem z Fi z Piekła: opakowanie suszonych śliwek i pół paczki sucharów, na których można było połamać zęby, ale podobno miały mnóstwo wartości odżywczych. Fi powiedziała, że śliwki są dobre na trawienie. Może dlatego dzień wcześniej nikt ich nie jadł.

Staraliśmy się iść szybko i jednocześnie rozglądać się w poszukiwaniu śladów dzieci. Wiedzieliśmy, że trudno będzie znaleźć jakiś trop, bo poprzedniego wieczoru szliśmy z Fi tą samą trasą, więc wszystkie ślady mogły być po prostu nasze. Nie powstrzymało mnie to jednak od przyglądania się miękkiej ziemi, suchym liściom, ciekom wodnym. Znalazłam zgniecioną kangurzą kupę, która mogła zostać rozdeptana przez ludzką stopę i leżała w miejscu, przez które nie przechodziłyśmy poprzedniego dnia. Co ważniejsze, w pobliżu zauważyłam kawałek kory przeciągnięty sto metrów dalej. Dzieliła go spora odległość od domu na pniu eukaliptusa. Widać było wąski ślad pozostawiony w ziemi. Może, tylko hipotetycznie, jakieś nieszczęśliwe dziecko podniosło go i przez jakiś czas wlekło za sobą.

Nie znaleźliśmy innych śladów. Dobra wiadomość brzmiała jednak tak, że nie było widać żadnych innych tras, które można by tam wybrać. Żleb - albo koryto strumienia - tworzył dość wyraźny szlak i zboczenie z niego wymagałoby trudnej wspinaczki. Byłam pewna, że dzieci nie miałyby aż tyle sił. Z drugiej strony ciągle ich nie docenialiśmy. Miałam nadzieję, że tym razem nie powtarzam tego błędu.

O jedenastej byłam już głodna jak wilk. Zrobiliśmy przerwę, usiedliśmy na skraju żlebu i cicho, pospiesznie omówiliśmy dostępne możliwości. Byliśmy już poważnie zaniepokojeni. Na

początku czuliśmy niepokój zmieszany z wściekłością, że dzieci okazały się takie głupie i wkurzające. Ale złość już dawno nam minęła. Wiedzieliśmy, że tak osłabione dzieci są w prawdziwym niebezpieczeństwie. Mogły się snuć po setkach kilometrów kwadratowych i nie szukał ich nikt oprócz nas, więc zagrożenie było naprawdę olbrzymie.

- Jediną dobrą rzeczą jest w tym wszystkim to - powiedziałam - że kiedy w końcu ich znajdziemy, powinni przynajmniej być nam wdzięczni. Może tym razem nie będą się tak buntowali i po prostu z nami pójda.

- Jeśli ich znajdziemy - zaznaczyła Fi.

- Masz przynajmniej mgliste pojęcie, gdzie teraz jesteśmy? -zapytał mnie Lee.

- Mniej więcej wiem - odparłam, wkurzona, że nie pokłada we mnie większej wiary. Przez cały czas zwracałam uwagę na punkty orientacyjne. - Jeśli będziemy szli tą drogą wystarczająco długo, wyjdziemy niedaleko Wirrawee. Nasze pola są tam, za tymi wzgórzami i jeszcze dalej.

- A nasze tam - powiedział Homer, wskazując palcem. Moim zdaniem pomylił się o jakieś dwadzieścia stopni. Wtedy Fi zaskoczyła mnie słowami:

- Chyba raczej tam.

I wskazała prawie dokładnie ten sam kierunek, o którym przed chwilą pomyślałam. Po raz pierwszy w życiu miałam wystarczająco oleju w głowie, żeby siedzieć cicho. Zamiast powiedzieć: „Tak, Fi, masz rację, Homer nie ma pojęcia, o czym mówi”, nie powiedziałam absolutnie nic. Homer wyglądał tak, jakby uderzył w niego miś koala spadający z dużej wysokości. Zdaje się, że Fi nigdy nie zaprzeczała jego słowom, zwłaszcza kiedy chodziło o las.

Na szczęście nagle odezwał się Kevin:

- Co zrobimy z jedzeniem? Od razu zmieniliśmy temat.

Podjęliśmy mnóstwo decyzji w krótkim czasie. Najważniejsza dotyczyła tego, że będziemy iść jeszcze przez godzinę, żeby zobaczyć, czy żleb w końcu się otworzy i zaoferuje nam inne trasy. Jeśli po godzinie nadal nie będzie widać końca, dwoje z nas wróci po jedzenie. A to oznaczało wyprawę aż do Piekła - przerażający pomysł, który nikomu nie przypadł do gustu.

Dziesięć minut później, zupełnie niespodziewanie, dotarliśmy do końca żlebu. Nie było jednak wyjścia. Zdałam sobie sprawę, że mamy problem, kiedy zobaczyłam, jak idący przede mną Homer opada na czworaki i w ten sposób posuwa się naprzód.

Ruszyłam za nim. I wtedy zrozumiałam. Homer wyglądał znad krawędzi urwiska. Strużka wody ze żlebu - bo w ciągu tak suchego lata nie można było liczyć na nic więcej, nawet po niedawnych deszczach - z bulgotem spadała z boku. Ja i Fi spojrzaliśmy na siebie zaniepokojone. Jeśli dzieci dotarły tu nagle, w środku nocy, zmęczone, zagubione i smutne... Zastanawiałam się, czy moja twarz jest równie blada i wystraszona jak twarz Fi.

- Na krawędzi nie ma żadnych śladów - powiedział do mnie Lee, mając na myśli brak zadrapań, porwanego mchu albo przemieszczonych kamieni.

Byłam mu wdzięczna, że pomimo tego, co między nami zaszło, nadal próbuje być przyjacielem i robi to, co należy. Ale ciągle mnie niepokoił los dzieci. Zrobiło mi się gorąco i duszno na wspomnienie urwiska obok doliny Holloway, na którym bez ostrzeżenia straciłam przyczepność i zjechałam w dół, tracąc po

drodze opuszki palców. A w porównaniu z tym potworem tanto urwisko przypominało murek ogrodowy. To było niespodziewane, strome i bardzo, bardzo wysokie.

- Cofnij się - powiedziała Fi do Homera. - To nie wygląda na bezpieczne miejsce.

Miała rację, krawędź urwiska rzeczywiście wydawała się krucha. Jakby na potwierdzenie jej słów wycofaniu się Homera towarzyszył mały deszczyk piachu i kamieni.

- Widziałeś coś? - zapytał go Lee.

- Nie, nic.

- Więc co teraz zrobimy? - zapytała Fi.

- Rozproszymy się wzdłuż urwiska - zaproponowałam. - Zejście na dół będzie cholernie trudne. Nie powinniśmy próbować, dopóki się nie upewnimy, że ich tu nie ma.

Kiedy Kevin zawołał nas do miejsca oddalonego od wodospadu o jakieś czterysta metrów i pokazał poraną, zrytą trawę, po której dzieci zaczęły schodzić ze skraju urwiska, potraktowałam to jak najlepszą wiadomość od bardzo długiego czasu. Wybrały dość dobre miejsce. W urwisku była rozpadlina, jakby Bóg wbił w nie olbrzymią siekierę. Z punktu, w którym staliśmy, wyglądało to tak, jakby rozpadlina prowadziła aż na sam dół.

- Jak myślisz, jak dawno temu tu byli? - zapytałam Homera.

- Mniej więcej rano - powiedział. - Trawa raczej nie byłaby taka pognieciona, gdyby podeptali ją wczoraj wieczorem.

- Dla Casey to musiało być straszne - zauważyłam. Nadeszła pora, żeby podzielić nasze siły. Jakimś cudem ja

i Homer zostaliśmy wytypowani do zejścia z urwiska. Pozostali przekonali nas, że bez problemu znajdą drogę powrotną na Szew Krawca. Mimo wcześniejszych pytań Lee uznałam, że nie powinni mieć z tym kłopotu. Nasz szlak był dość dobrze

widoczny i powiedziałam im, na jakie punkty orientacyjne powinni zwrócić uwagę.

Mieliśmy więc szukać tylko we dwoje, co w tak trudnych okolicznościach wydawało się beznadziejne. Ale co innego mogliśmy zrobić? Potrzebowaliśmy mnóstwo nowych zapasów z Piekła. Gdybyśmy stracili jeszcze więcej energii i sił, nie byłoby z nas żadnego pożytku. Już i tak zdążyliśmy się porządnie zmęczyć. Przez cały poranek zmuszałam się do marszu, wiedzona strachem i determinacją. Nie dopuszczałam do siebie zmęczenia i rozpacz, które we mnie wzbierały. Mur trzymający te uczucia w ryzach został wzniesiony z folii do żywności - był cienki, wybrzuszał się w słabszych miejscach, grożąc przerwaniem bariery i zalaniem moich wnętrzości. Gdyby do tego doszło, krajobraz przypominałby wielką powódź z 1991 roku, kiedy rzeka Heron wystąpiła z koryta i zatopiła połowę terenów między naszym gospodarstwem a Wirrawee.

Nie mogłam dopuścić, żeby ta fala wyczerpania zatopiła moją linię obrony.

Dlatego zacisnęłam zęby, zacisnęłam usta i chyba zrobiłam potworną minę, bo Fi zapytała:

- Chcesz wrócić na Szew Krawca zamiast mnie?

Ale nie chciałam, po prostu próbowałam zebrać ostatnie resztki determinacji, które mi jeszcze pozostały.

Ruszyłam przodem - nie dlatego, że bardzo tego chciałam, ale dlatego, że kiedy przyszła na nas pora, przypadkiem stałam bliżej krawędzi niż Homer. Byłam cholernie ostrożna. Po upadku w dolinie Holloway straciłam pewność siebie na urwiskach.

Używałam obu rąk i nóg, poruszając się jak krab. Wielka postać Homera rzucała na mnie cień z góry, co jeszcze bardziej mnie denerwowało.

- Nie tak blisko - powiedziałam. - Daj mi trochę miejsca. Mimo to niezbyt się ode mnie oddalił. To znaczy na chwilę tak, ale po kilku minutach znowu prawie siedział mi na głowie.

Jedyną dobrą rzeczą było w tym wszystkim to, że w wielu miejscach widziałam ślady dzieci. Przemieszczone kamienie, ślady palców w ziemi, rysy pozostawione przez buty.

W połowie drogi, kiedy zrobiło się trochę trudniej, Homer stracił kilka kamieni i odrobinę piachu. Krzyknął, żeby mnie ostrzec, ale było już za późno: nie zdążyłam się w porę zasłonić, więc nagle spadł na mnie deszcz odłamków.

Wrzasnęłam na niego. Byłam naprawdę wściekła.

- Mówiłam, żebyś się trzymał dalej!

- Przepraszam. Wszystko w porządku?

- Tak. - Pomyślałam o rozmowie z Fi i po chwili dodałam: -Przepraszam, że na ciebie nawrzeszczałam.

Ruszyłam dalej, szukając dobrego oparcia dla nóg. Rozpadlina szybko się zwięzła. Zerkając w dół - starałam się tego nie robić zbyt często - zobaczyłam, że kawałek dalej zupełnie się kończy. Kilka luźnych kamieni spod stóp Homera przemknęło obok mnie, ale zanim zdążyłam coś powiedzieć, sama też parę straciłam. W takim tempie mogliśmy wywołać lawinę. Z pewnymi oporami musiałam przyznać, że dzieci, które wyruszyły w tak niebezpieczną drogę, zasługują na podziw za odwagę. Bóg jeden wiedział, co czekało na dole. Miałam nadzieję - i modliłam się o to najzarliwiej, jak umiałam - że nie znajdziemy tam niczego okropnego.

Ale potem znowu skupiłam się na własnych problemach. Tak jak się obawiałam, rozpadlina powoli się kończyła. Moja taktyka wymagająca użycia obu rąk i nóg okazała się dość skuteczna w połączeniu z przyleganiem do boków rozpadliny dla

uzyskania lepszego punktu oparcia. Za chwilę miała się jednak okazać nieprzydatna.

Zatrzymałam się i spojrzałam na stopy, zastanawiając się, gdzie je postawić.

- Jak tam? - zawołał Homer.
- Niezbyt dobrze. Rozpadlina się kończy.
- No tak, tego się obawiałem.

Wcale bym się nie zdziwiła, gdybym mniej więcej w tym miejscu zobaczyła dzieci zbite w małą gromadkę i bezradnie czekające na to, żebyśmy przybyli im na ratunek. To, że nigdzie w zasięgu wzroku nie było ich widać, jeszcze bardziej zwiększyło mój szacunek. Nie wiem, kiedy dokładnie się pojawił, ale gdzieś po drodze zaczęłam doceniać siłę, którą się wykazały, odwagę, dzięki której zaszły tak daleko i która najwidoczniej pozwoliła im zejść z tego urwiska. Znowu spojrzałam w dół, mając nadzieję, że dzieci nie zeszły z niego w najgorszy z możliwych sposobów. Ale nadal nie było po nich ani śladu.

Tymczasem zupełnie się zatrzymałam. Rozpadlina kończyła się małą platformą. Stawiając jedną stopę na drugiej, mogłam na niej stanąć - bezpiecznie, choć niezbyt wygodnie. Spojrzałam w górę na Homera. Tkwił dziesięć metrów nade mną, ale nie patrzył na mnie, tylko rozglądał się w poszukiwaniu drogi, jaką mogłabym wybrać.

Nasze spojrzenia się spotkały.

- Jeśli uda ci się przesunąć jakieś pięć metrów w prawo, znajdziesz następną rozpadlinę, po której będziesz mogła zejść niżej - powiedział.

Przełknęłam ślinę. Łatwo mu było mówić. Poczułam dziwne łaskotki pod żebrami, tuż nad żołądkiem. Obliziałam spierzchnięte usta. Nagle z moich kończyn wyparowała cała

siła. Wydawały się bezużytecznymi, głupimi, sflaczałymi wypustkami ze szmat zszytych zaledwie kilkoma słabym szwami. Nie spojrzałam w stronę, którą wskazał Homer, dopóki nie powiedział:

- Hej, Ellie, wyluzuj. To nie jest aż takie trudne.

- Może dla ciebie.

- Nadal myślisz o swojej ostatniej wspinaczce?

- Chyba trochę tak.

- No to uwierz mi: to zupełnie inna sytuacja. Twoje nogi mogą wykonać całą robotę, przesuając się wzdłuż tej półki skalnej. Po prostu skup się na tym, żeby dobrze je oprzeć.

Wtedy popatrzyłam i pomyślałam: „No tak, okej, chyba jednak dam radę”.

Półka skalna znajdowała się między mną a początkiem następnej rozpadliny, ale mogłam ją zobaczyć tylko po wychyleniu się z za skalnego filaru obok mnie. Musiałam go jedynie okrążyć i przesunąć się dalej.

- Nie patrz w dół - ostrzegł Homer.

Pełzałam wokół skalnej kolumny, cały czas patrząc w górę i macając stopą przed każdym kolejnym krokiem. Poruszałam się powoli, kawałek po kawałku, dopóki nie uznałam, że jestem już prawie u celu. Spojrzałam w prawo i ku swojemu wielkiemu rozczarowaniu zobaczyłam, że jestem dopiero w połowie drogi. Kiedy jednak znowu popatrzyłam w górę, ujrzałam niezwykle widok. To zabawne, jak obcy obiekt wyróżnia się na tle lasu. Kawałek plastiku, niedopałek papierosa, skrawek papieru: widać je z odległości setek metrów. Ale tylko jeśli są świeże. Gdy poleżą przez parę tygodni, stapiają się z otoczeniem.

Tuż nad poziomem mojego wzroku zobaczyłam małe kawałeczki bandaża Casey. Od razu go rozpoznałam. Wydawał się

taki jasny. Po kilku dniach pod gołym niebem przybrudziłby się i ściemniał. Ale teraz wyróżniał się jak mała flaga.

Nie powiedziałam o tym Homerowi, dopóki nie dotarłam bezpiecznie do następnego wyżłobienia. Wtedy od razu zawołałam:

- Szli tędy! Właśnie znalazłam kawałek bandaża Casey.

To odkrycie dało mi energię i siłę woli potrzebne do zejścia w dół drugiej rozpadliny. Pod koniec było już całkiem łatwo i niespełna dziesięć minut później z ulgą wylądowałam na twardym, bezpiecznym gruncie u podnóża urwiska.

Odsunęłam się i czekałam na Homera. Kiedy zeskoczył z co najmniej dwóch ostatnich metrów, spojrzeliśmy na siebie z szerokim uśmiechem.

- Dzięki - powiedziałam.

- Pewnie bardzo lubisz takie wspinaczki - odparł tylko.

- Lepiej ruszajmy w drogę.

Węszyliśmy wokół jak posokowce. Nie żebym kiedykolwiek widziała posokowce, ale wyobrażam sobie, że chodzą z nosami przy ziemi i z entuzjazmem obwąchują ziemię. Tak właśnie zrobiliśmy. Homer poszedł w prawo, a ja w lewo. Teren był płaski, suchy i lekko zadrzewiony, więc musieliśmy znaleźć jakiś ślad, bo w przeciwnym razie nie mielibyśmy pojęcia, którądy pójść. Dzieci mogły wybrać dowolny kierunek. Przeczesałam sporą powierzchnię z pochyloną głową, obserwując teren w poszukiwaniu najmniejszego śladu.

Niczego nie znalazłam. Czułam coraz większe mdłości, wiedząc, że marnujemy dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści minut. Dzieci traciły pewnie siłę i formę - i bez wątplenia zapadły. Uciekały już prawie dwadzieścia cztery godziny. No cóż, były w stanie tyle wytrzymać. Wytrzymałyby pewnie nawet dwie doby,

choć wolałam nie myśleć, w jakim byłyby potem stanie. Po czterdziestu ośmiu godzinach miały marne szanse na przetrwanie. Mogłam to porównać jedynie do swoich doświadczeń ze słabymi jagniętami i cielakami. Osierocone jagnię ginie mniej więcej po jednej dobie. Te dzieci były silniejsze niż nowo narodzone jagnięta, ale za każdym razem, kiedy próbowałam nabrać trochę optymizmu i myślałam o twardej, zdeterminowanej twarzyczce małego Gavina, przypominały mi się również wystraszone oczy Natalie, ziemista cera Casey i cieniutkie, chude nóżki Jacka.

6

Druga doba przyszła i minęła, a my spędziliśmy trzecią noc w lesie, śpiąc niespokojnym, urywanym snem w oczekiwaniu na pierwsze promienie słońca, żeby znowu móc ruszyć w drogę. Wiedziałam, że to nasza ostatnia szansa. Tym razem musieliśmy ich znaleźć. Po prostu musieliśmy. Przez cały poprzedni dzień ja, Homer i pozostała trójka - kiedy w końcu nas dogoniła - przeczesywaliśmy las. Wołaliśmy dzieci po imieniu. Podjęliśmy taką decyzję bez problemu. Teraz byliśmy już pewni, że jeśli nas usłyszą, odezwą się. Pod warunkiem że nadal są przytomne. Pod warunkiem że nadal żyją.

Za każdym razem, kiedy je wołałam, miałam nadzieję, że nie usłyszę w odpowiedzi głosu wrogiego żołnierza.

Problem polegał na tym, że tamten las był zupełnie pozbawiony wyrazu. Uwielbiam las jak mało kto, ale trudno było znaleźć coś godnego uwielbienia w tych nijakich zaroślach. Miałam wrażenie, że to się ciągnie bez końca: jasnozielone liście eukaliptusów, jasnobrazowa ziemia, jasnoniebieskie letnie niebo. Kolory były spłowiałe, jaskrawość została wypłukana przez nieustępliwe słońce. Brakowało nawet dzikiej przyrody, o której można

by opowiedzieć. Najbardziej widoczne wydawały się kruki przypominające duże czarne szmaty łopoczące na drzewach. I często jedynym dźwiękiem, jaki można było usłyszeć, było krakanie tych kruków: ochryple i brzydkie głosy śmierci.

Tropienie okazało się zadaniem dla samotników. Tak trudno było znaleźć jakieś punkty orientacyjne, że mieliśmy kłopot z ustaleniem miejsc spotkania, w których moglibyśmy się zebrać co godzinę i zdać raport z braku wyników. W drugiej części dnia, kiedy byliśmy już bardziej zdesperowani, spotykaliśmy się co dwie godziny. Te punkty orientacyjne tak bardzo pomieszały nam w głowach, że z pewnością kilka razy nieświadomie przeszukiwaliśmy te same tereny. Kiedy Lee, Fi i Kevin wreszcie nas dogonili, z pierwszego pełnego dnia poszukiwań niewiele już zostało, ale cały następny dzień poświęciliśmy na przeczesywanie kilometrów lasu. Ostatecznie nie przyniosło to jednak żadnych rezultatów.

Niewiele o tym rozmawialiśmy. Nie było nic do powiedzenia. Wiedzieliśmy, że trzeba doprowadzić rzecz do końca. Tym razem nie mieliśmy wyboru.

W czasie tych godzin wiele razy myślałam o historiach, które słyszałam od taty i babci: o dzieciach, które zabłądziły w lesie, o pokonywanych przez nie ogromnych odległościach i o wytrzymałości, jaką się wykazały. Ale większość z tych dzieci była ze wsi. Tata czasami śpiewał piosenkę o chłopczyku, który błąkał się po górach New England Ranges w Nowej Południowej Walii. „„Gdzie jest mój tatuś, gdzie jest mój tatuś«, płakało zagubione dziecko". Próbowałam sobie przypomnieć, jak długo Stephen, chłopczyk z piosenki, snuł się sam po lesie, ale nie potrafiłam, mimo że słyszałam tę piosenkę setki razy. „Kolejna noc, kolejny ranek, kolejny dzień, kolejny zmierzch". Zapamiętałam

ten fragment, ale nie byłam pewna, co oznacza: że minęła jedna noc czy dwie? Potem przypomniałam sobie o trojgu dzieci z Daylesford w Wiktorii, które zniknęły w latach osiemdziesiątych albo dziewięćdziesiątych XIX wieku. Nie znaleziono po nich nawet siadu.

W sumie wolałam piosenkę. Chłopiec z Armidale przynajmniej się odnalazł. „Modliła się do Boga za swe zagubione dziecię”.

Jej modlitwy zostały wysłuchane. Czy moje też będą?

Dzień płynął w zwolnionym tempie. Mniej więcej w porze lunchu ochrzaniłam się w myślach, bo poczułam, że osiągnęłam stan, w którym tak naprawdę nie liczę już na znalezienie tych dzieci i szukam ich z niewystarczającym zapalem. Patrzyłam na ziemię i niczego nie widziałam. Dlatego musiałam sobie nakazać skupienie się na zadaniu.

Sytuację pogarszało to, że - jak przypuszczałam - dzieci nie miały dostępu do wody. Strumyczek, który spadał z urwiska, płynął przez parę kilometrów, ale potem wsiąkał w ziemię i znikał. Przyjrzeliliśmy się mokrej ziemi, lecz nie zauważyliśmy żadnych śladów, więc założyliśmy, że dzieci oddaliły się od źlebu. A na całym ogromnym terenie, który przeszukaliśmy od tamtej pory, żadne z nas nie znalazło ani odrobiny wody. W letnim upale nic nie mogło ich wykończyć szybciej niż pragnienie i odwodnienie.

Rano znowu zrezygnowaliśmy ze śniadania. Czuliśmy już taki niepokój, taką rozpacz, że każde z nas chwyciło garść jedzenia i rozeszliśmy się w różnych kierunkach. Poprzedniego wieczoru uzgodniliśmy, że skupimy się na dużym terenie porośniętym eukaliptusami, który został oczyszczony przez drwali jakieś sześć lat temu i teraz pełno tam było młodych, utrudniających poruszanie się drzew oraz stert butwiejących pniaków.

Zaledwie półtorej godziny później, kiedy na niebie nadal wisiało ogromne żółte wschodzące słońce, wydało mi się, że w oddali słyszę aborygeński okrzyk. Rozlegał się chyba po prawej stronie. Odwróciłam się w tym kierunku. Po chwili usłyszałam następny okrzyk, znacznie bliżej. Pobiegłam w stronę, z której dobiegał, i po chwili zobaczyłam pędzącą między drzewami Fi.

- Kto krzyczy? - zapytałam.

- Chyba Kevin. Był po mojej prawej.

Pobiegłyśmy, mając nadzieję, że kierujemy się we właściwą stronę. Mieliśmy zasadę, że takie okrzyki można wydawać, tylko jeśli coś się znalazło albo żeby przekazać sygnał dany przez kogoś innego. W przeciwnym razie robiłyby zbyt dużo zamieszania. Szukałam pierwsza z lewej, dalej nie było już nikogo, więc nie musiałam przekazywać sygnału Fi. Chwilami szłyśmy, ale przeważnie biegłyśmy. Mniej więcej pięć minut później usłyszałam głosy, więc gwałtownie odbiłam w lewo, a Fi ruszyła za mną. Zobaczyłam Lee i Kevina, a po chwili z przeciwnej strony nadbiegł Homer.

Dobiegłam już do Kevina i odkryłam przyczynę jego nawoływania. To była chłopięca koszula. Zielona koszula w kratę z porwanym kołnierzykiem. Żadne z nas nie musiało nic dodawać, ale Fi i tak to powiedziała:

- Koszula Jacka.

- Pewnie czuje skwar - zauważył Lee.

- Dzięki Bogu, że ją znaleźliśmy - ucieszyła się Fi. - Przynajmniej znowu wpadliśmy na ich trop.

Nic nie powiedziałam, tylko spojrzałam na Homera. On też na mnie spojrzał. Oczy miał spokojne, ale kiedy tak na niego patrzyłam, jego usta wykrzywiły się w dół i wypchnął zuchwę mocniej niż kiedykolwiek. Obydwoje wiedzieliśmy, co to

znaczy, kiedy ludzie zaczynają się pozbywać ubrań. To znak, że są u kresu sił, tracą kontrolę nad ciałem i jego temperatura za bardzo rośnie.

- Wróć do obozu i przynieś tyle wody, ile uniesiesz - powiedział Homer do Lee. - Napelnij butelki i włóż je do plecaka. A potem nas dogoń. Jeśli zboczymy z tego szlaku, zostawię ci znak.

Nie mówiąc nic więcej i nie czekając, żeby zobaczyć, czy Lee zrobi to, o co został poproszony, Homer ruszył przed siebie. Dobra wiadomość brzmiała tak, że dzieci mogły stamtąd pójść tylko w jednym kierunku. Szlak, o którym wspomniał Homer, był kiedyś używany przez drwali i zarósł młodymi drzewkami sięgającymi pasa, ale nadal wyglądał dość dobrze. Odchodził od nas w linii prostej i właśnie tamtędy pobiegł Homer.

Ruszyliśmy za nim truchtem, jak dzieci na wycieczce krajoznawczej. Kiedy Homer wpadał w taki nastrój, trudno było za nim nadążyć. Nie był dobrym biegaczem, ale stawiał długie kroki i był zdeterminowany - zdeterminowany w stopniu graniczącym z desperacją. Podobnie jak pozostali zamknęłam się i pobiegłam.

Dziesięć minut później znaleźliśmy następny ślad, żółtą koszulę, którą miała na sobie Natalie. Potem przez blisko pół godziny na nic nie natrafiliśmy. Ale nagle Homer się zatrzymał.

- Popatrz - powiedział do mnie.

Zerknęłam zza jego pleców, bo nie pozwolił mi podejść do tego, co zauważył. Mimo to od razu zrozumiałam, o czym mówi. Ziemia opowiadała historię jasną jak w hollywoodzkim filmie. Był tam spory kawałek ugniecionej trawy, a potem coś w rodzaju śladu ciągnącego się dziesięć metrów, gdzie trawa też została zryta na całej długości.

- Co to? - zapytała Fi, próbując mi zerknąć przez ramię.

- Ktoś tu usiadł - powiedziałam. - Albo upadł. Potem ktoś inny ciągnął go kawałek i wreszcie zmusił do dalszego marszu.

Nikt się nie odezwał i na nowo ruszyliśmy w gorączkowy pościg. „Cholerni, głupi gówniarze - pomyślałam. - Żeby się tylko zatrzymali”. Oszczędziliby trochę energii. Widocznie wiedzieli, że ich szukamy.

Od czasu do czasu któreś z nas wołało, ale nie było żadnej odpowiedzi. Przeważnie sami próbowaliśmy zaoszczędzić trochę energii. Nie mogę mówić za innych, ale mnie pozostało jej już niewiele. Dni poszukiwań od rana do nocy, przez ponad szesnaście godzin, minimalna ilość jedzenia i wyniszczający, okropny strach o los tych dzieci... to wysysało ze mnie wszystkie siły, nic mi nie pozostawało. A bez względu na to, jak bardzo byliśmy wykończeni, dzieci musiały to znieść dziesięć razy gorzej.

Zaczynało mi brakować tchu, byłam zmęczona i obolała, zostawałam w tyle za Homerem. Spojrzałam przez ramię i zobaczyłam, że Fi została daleko za mną, a Kevin prawie zniknął mi z oczu. Poczułam jeszcze większą determinację, żeby dotrzymać kroku szerokim plecami Homera.

Od tamtej pory nie brakowało nam już wskazówek dotyczących tego, co się dzieje. Już nie trzeba było być aborygeńskim tropicielem. W ciągu dwóch następnych kilometrów minęliśmy sznurek butów i skarpetek oraz kilka następnych miejsc, w których dzieci albo padały ze zmęczenia, albo zatrzymywały się na odpoczynek. Dwa razy stary trakt się rozwidłał, ale potrzebowaliśmy zaledwie kilku minut, żeby ustalić, w którą stronę poszły dzieci. Zrobiliśmy duże strzałki dla Lee, a potem biegliśmy dalej.

Zmęczenie było wystarczająco dokuczliwe, ale pod nim czaiła się rozpacz, że nie zdążymy. Co gorsza, że spóźnimy się

zaledwie o parę godzin, albo nawet minut. Trudno było dokładnie stwierdzić, kiedy szły tędy dzieci, ale z pewnością nie wcześniej niż rano. Teraz było mniej więcej południe, rozpoczynała się najgorętsza część dnia, a jeśli dzieciom brakowało wody, odkąd zeszyły z urwiska, to żadne z nich nie miało szans dożyć do zachodu słońca.

Nie mogłam się nadziwić ich wytrwałości. Kiedy zbliżał się jakiś zakręt, myślałam, że za chwilę zobaczymy je leżące pod drzewem i kryjące się w cieniu przed skwarem dnia. Ale nie. Dzieci po prostu szły dalej. Pamiętam, jak pomyślałam, że jest jeszcze dla nas nadzieja w tej wojnie, jeśli inni ludzie wykażą tyle odwagi co ta piątka. Wydawało mi się, że upłynęło dużo czasu od tamtego rozpaczliwego poranka w Stratton, kiedy banda dzikusów napadła na nas w alejce. Jakby minęły całe lata.

Z zamyślenia wyrwał mnie krzyk Fi z tyłu. Gwałtownie się odwróciłam, czując w gardle obezwładniający przyływ przerażenia. W sposobie, w jaki krzyknęła, było coś...

Pędziła w zarośla obok szlaku. Zawróciłam i pobiegłam za nią, zapominając o zmęczeniu. Od razu zobaczyłam, co przyciągnęło jej uwagę, i zastanawiałam się, jak to możliwe, że ani Homer, ani ja tego nie widzieliśmy. Pod małym eukaliptusem leżało czyjeś małe, bezwładne ciało. To była mała dziewczynka, która miała na sobie tylko brudne majtki. Jej skóra była śmiertelnie blada.

Natalie.

Fi klęczała przy niej, trzymała ją za rękę i coś mówiła, próbując przywrócić ją do życia. Podbiegłam do nich i chwyciłam drugą chudziutką rączkę, szukając pulsu. Nauczyłam się co nieco o pierwszej pomocy na kursie w szkole przetrwania wieki temu. Tak jak my wszyscy, z wyjątkiem Fi, która była wtedy na

obozie jeździeckim. Ale kurs był bardzo krótki i odbył się bardzo dawno temu. Kiedy nie udało mi się znaleźć pulsu, nie wiedziałam, czy to przez moją nieznajomość zasad pierwszej pomocy, czy może dlatego, że serce Natalie rzeczywiście przestało bić. Wiedziałam tylko, że ten chudy nadgarstek grubości dwucentymetrowego węża ogrodowego, jest zimny i lepki.

W tej chwili Lee, który czasami nie ma za grosz wyczucia czasu, ale innym razem trafia wręcz idealnie, zjawił się z wodą. Chwycił koszulę Jacka, którą Fi zabrała ze szlaku, zwilżył ją wodą i zaczął przecierać twarz Natalie.

Kiedy zobaczyłam, z jaką czułością to robi, jak trzyma tę dziewczynkę i z jaką rozpaczliwą delikatnością dotyka jej ust mokrym materiałem, poczułam, że wracają do mnie dawne uczucia do Lee, silniejsze i głębsze niż kiedykolwiek wcześniej.

A kiedy Natalie nagle poruszyła się w jego ramionach i pokręciła głową, otwierając jednocześnie oczy i usta, poczułam tak wielki przypływ miłości, że o mało nie zemdlałam. Pewnie to tylko zmęczenie, głód i ulga, ale przez chwilę Lee wydawał mi się cudotwórcą, który potrafi przywrócić martwych do życia.

Potem musiałam wziąć się w garść, przypomnieć sobie, że Natalie to tylko jedna piąta naszego zadania, a co więcej, że to nieodpowiednie miejsce na roztrząsanie moich uczuć do Lee.

Uznałam, że najlepiej pozostawić Natalie pod opieką Fi.

- Chodźcie, biegnijmy za resztą - powiedziałam do Lee i Kevina. - Zabierzcie wodę. Mnóstwo wody.

Chwyciłam butelkę i pobiegłam za Homerem.

Znalezienie Natalie dodało mi sił. Niestety, nie starczyło ich na długo. Byłam zbyt wyczerpana, żeby adrenalina mogła dużo zdziałać.

Homer już dawno zniknął nam z oczu. Goniłam go przez jakieś trzy kilometry, zanim w końcu zobaczyłam, jak pędzi naprzód swoim miarowym, skutecznym krokiem. Musiałam zwolnić do marszu. Nie została mi już ani odrobina energii i nawet chodzenie wymagało ogromnego wysiłku. Nogi bolały mnie od bioder do podeszew stóp. Każdy mięsień, każde ścięgno przeszywał ból. Wiedziałam na podstawie wcześniejszych doświadczeń, że dojście do siebie potrwa kilka dni. Może parę godzin w gorącej kąpieli z bąbelkami załatwiłoby sprawę, ale miałam dziwne przeczucie, że na to nie mam co liczyć.

W każdym razie, przypominałam sobie ze złością, w takich chwilach powinnam przestać myśleć o własnych problemach. Jakie znaczenie mają moje bolące nogi, kiedy tym dzieciom grozi śmierć - albo już są martwe?

Wykorzystałam kilka małych odcinków, na których można było przyspieszyć, i w końcu dogoniłam Homera.

- Znaleźliśmy Natalie - wysapałam. - Na skraju szlaku. - Jak się czuje?
- mruknął, patrząc na mnie z ukosa, ale nie zwalniając kroku.

- Kiedy od niej odchodziłam, wracała do życia.

Nie mówiliśmy nic więcej, ale pędząc naprzód, uważnie się rozglądaliśmy, żeby nie przegapić następnego małego ciała skulonego pod drzewem - kogoś innego, kto też zszedł ze szlaku i padł z wycieńczenia.

Ale drugiego dziecka nie sposób było nie zauważyć. Leżało na samym środku ścieżki. Żałosna kupka szmat skrywających ciało tak małe, że z początku wzięłam je właśnie za kupkę szmat. Za kolejne porzucone ubrania. Ale to było dziecko, które nie pozbyło się niczego oprócz butów i skarpetek. Podbiegłam. Trochę się zdziwiłam, kiedy obróciłam to dziecko na

plecy i zobaczyłam Darinę. Myślałam, że jest silniejsza, i w zasadzie założyłam, że w następnej kolejności znajdziemy Casey. Ale nie - zamknięte oczy i bezwładne usta należały do ciemnej twarzy Dariny. To były jej brwi, jej cienkie czarne włosy. Ten zaokrąglony nos bez wątpienia należał do niej.

Leżała w moich ramionach zupełnie bezwładna i wiotka, tak lekka, że mogłaby odpłynąć, i czując obezwładniający ból brzucha, zrozumiałam, że rzeczywiście tak się stało. Odpłynęła. W jakimś sensie wydawała się inna niż Natalie. Byłam pewna, że nie oddycha. Rozpaczliwie próbowałam sobie przypomnieć zasady udzielania pierwszej pomocy. Zbliżyłam usta do jej ust. Poczułam jej spierzchnięte, zimne wargi. Potem zdałam sobie sprawę, że mogłabym zakryć ustami je usta i nos, więc tak zrobiłam. To było przedziwne uczucie: dmuchanie w to puste ciało. Jej pierś uniosła się trochę od mojego oddechu, ale efekt był jakiś nierzeczywisty. Poszukałam pulsu na jej szyi i nie wyczułam go. Wiedziałam, że powinnam przejść do reanimacji i że w wypadku dzieci obowiązują jakieś specjalne zasady dotyczące sposobu ułożenia rąk - chyba należało użyć tylko jednej - więc położyłam lewą dłoń na jej klatce piersiowej.

Pchnęłam sprężystym ruchem, tak jak nas uczono. Z tego, co pamiętałam, trzeba było uciskać na głębokość dwóch, trzech centymetrów. Mówiono nam, że nie należy się bać dość mocnego nacisku. Gołębia klatka piersiowa Dariny wydawała się maleńka i wystraszyłam się, że połamię jej żebra. Instruktorka o tym wspominała, ale nie mogłam sobie przypomnieć, co dokładnie mówiła. Powiedziała, żeby ich nie łamać, czy może, że takie złamanie nic nie szkodzi? Zacisnęłam zęby i dalej robiłam masaż serca. Nagle pomyślałam: może trzeba było odchylić jej głowę, żeby udrożnić drogi oddechowe? Przerwałam masaż

i odchyliłam jej głowę, ale gdy to zrobiłam, poczułam następną falę rozpacz. Ciało Dariny było zupełnie bezwładne. W zasadzie nie zimne, ale też nie ciepłe: sprawiało wrażenie, jakby coś utraciło. A ja wiedziałam, co to takiego.

Jeszcze raz wdmuchnęłam w nią powietrze. Oddychałam rozpaczliwie, próbując jej przekazać swój tlen, swoje życie. Potem znowu zaczęłam masaż serca. Usłyszałam, że ktoś nadbiega, i raczej poczułam, niż zobaczyłam, że obok stanął Lee. W pewnym momencie Homer musiał pobiec dalej, ale ja tego nie zauważyłam.

- Potrzebujesz pomocy? - zapytał Lee.

- Dobrze to robie?

- Chyba powinnaś położyć rękę trochę wyżej. Przesunęłam ją tam. Lee patrzył na mnie przez chwilę i potem powiedział:

- Dobrze ci idzie. Lepiej zaniosę wodę pozostałym.

Pokiwałam głową. Wiedziałam, że to słuszna decyzja. Usłyszałam, jak biegnie dalej, i poczułam się okropnie samotna i opuszczona. Nawet go nie zapytałam, co z Natalie. Kevin minął mnie, nie zatrzymując się. Krzyknął tylko: „Wszystko w porządku?”, a kiedy nie odpowiedziałam, pobiegł dalej. Nigdzie nie było widać Fi.

Darina była zimna już na początku, ale z każdą upływającą minutą robiła się coraz zimniejsza. Poczułam złość - nie, coś więcej: wściekłość. Wiem, że te emocje wpłynęły na sposób, w jaki robiłam masaż serca - naciskałam mocniej, gwałtowniej - ale tak naprawdę nie zrobiło to chyba żadnej różnicy.

Nie poddawałam się, lecz nagle zimno jej ust sprawiło, że zrobiło mi się słabo. Poczułam mdłości. W jednej chwili radziłam sobie całkiem dobrze, a już w następnej miałam ochotę

zwymiotować. Przerwywając masaż serca, miałam poczucie winy, ale w innej części umysłu już wiedziałam, że to nie ma sensu. Wiedziałam o tym od początku. Nie miałam zielonego pojęcia, jak długo próbowałam, ale byłam pewna, że wystarczająco długo, może nawet pół godziny. Usiadłam na piętach i wytarłam usta. To zabrzmiało okropnie, ale czułam się tak, jakbym wypila zepsute mleko. Nie płakałam. Może podczas sztucznego oddychania miałam wystarczająco czasu, żeby przywyknąć do tego, że Darina nie żyje.

Po jakimś czasie wstałam i spojrzałam na szlak w obydwu kierunkach. Nikogo nie zauważyłam. I wtedy coś poczułam -Bóg mi świadkiem, że coś poczułam: następny nieznośny przypływ osamotnienia, które przetoczyło się przeze mnie falą, które krążyło we mnie od początku tej wojny. Czułam je w chatce pustelnika w Piekło, w szkole w Wirrawee, w lesie tamtej nocy, kiedy zabito pode mną konia. Za każdym razem myślałam, że jest gorzej. Teraz już nie wiedziałam, jak bardzo jest źle. Wiedziałam tylko, że siedzenie samemu na starym, nierównym, zarośniętym szlaku w lesie obok ciała dziecka, które ledwie znałam, jest kompletnie druzgocące. Gdzieś żyli pewnie rodzice Dariny, może brat albo siostra, przyjaciele, gdzieś był jej dom, szkoła, ulica, na której dawniej się bawiła. Teraz, za sprawą tej okropnej wojny, straciła życie wśród tych szarozielonych drzew, w bezimiennym leśnym zakątku, który niczym nie różnił się od innych leśnych zakątków. Gdyby się kawałek cofnąć, za zakrętem zobaczyłoby się dokładnie takie same zarośla jak tu. Gdyby pójść jeszcze dalej, za następny zakręt, mogłabym się założyć, że wszystko wyglądałoby identycznie. To pewnie bez znaczenia, ale wtedy wydało mi się tragiczne i beznadziejne, że Darina umarła w tak nudnym i nijakim lesie - że zanim jej oczy zamknęły

się na zawsze, patrzyły właśnie na to, a nie na coś pięknego, niezwykłego albo zapadającego w pamięć.

Przeklełam wszystkie paskudne, obrzydliwe, przebrzydłe wojny.

Nie chciałam iść za pozostałymi. Mogli być gdziekolwiek. Najbardziej pragnęłam wrócić do Fi, zobaczyć, jak sobie radzi z Natalie. W każdym razie tak to sobie tłumaczyłam. Oczywiście w rzeczywistości potrzebowałam kojącej obecności Fi, jedynej osoby, którą chciałam widzieć w takich chwilach, mimo ostrych słów, jakie od niej usłyszałam w drodze do Piekła. Miałam wrażenie, że ta rozmowa toczyła się wiele tygodni temu. A tak naprawdę minęło zaledwie kilka dni.

Powinłam powiedzieć, że Fi była jedyną osobą w pobliżu, z którą chciałam być. Nie było sensu marzyć o rodzicach albo babci. Równie dobrze mogłam sobie zażyczyć gwiazdki z nieba.

Kiedy na filmach ktoś umiera w karetce albo w szpitalu, zawsze przykrywają mu twarz. Zapamiętałam to. Spojrzałam na Darinę i wcale nie czułam takiej potrzeby. Jej twarz była spokojna i śliczna. Usta nadal wydawały się trochę bezwładne. Zniknęło z nich napięcie. Spojrzałam na nią, próbując przywyknąć do tego, że umarła. Śmierć to najdziwniejsza rzecz na świecie. Jak to możliwe, że Darina w jednej chwili żyła, myślała, marzyła i śmiała się, a w następnej nie było już nic? Kompletny bezruch. Chciałam wierzyć w takie sprawy jak reinkarnacja, ale życie na farmie to utrudnia, bo bez przerwy towarzyszy mu śmierć. Jakoś nie potrafiłam uwierzyć, że te wszystkie szarańcze, osy i larwy komarów w zbiorniku odradzają się na nowo - a skoro nie, to dlaczego ludzie mieliby się odradzać? Dlaczego mielibyśmy być tacy wyjątkowi?

Nie myśląc o uczuciach związanych z pozostawieniem Dariny - jeszcze bardziej osamotnionej niż ja - ruszyłam ścieżką za przyjaciółmi. Byłam tak zatopiona w rozmyślaniach, że zrobiłam to zupełnie

nieświadomie. Minęłam trzy albo i cztery zakręty, zanim zdałam sobie sprawę, że zostawiłam Darinę i idę naprzód, zamiast wracać do Fi. To chyba przez niepokój związany z poszukiwaniem. Nadal brakowało trójki dzieci, a szukało ich tylko trzech chłopaków. Próbowałam na chwilę zapomnieć o Darinie i dogonić pozostałych, zrobić wszystko, co w mojej mocy, dla tych, którzy nadal żyją.

Mimo śmiertelnego zmęczenia znowu zaczęłam biec.

Na szczęście nie musiałam biec daleko. Nawet zaginione dzieci nie były w stanie mnie zmusić do czegoś więcej niż tylko ocieślały, mozolny trucht. Stawiałam tak małe kroki, jakby ktoś związał mi kostki gumką, która rozciągała się tylko do piętnastu centymetrów. I nie chodziło wyłącznie o zmęczenie fizyczne. Byłam potwornie wyczerpana psychicznie. Śmierć, śmierć, śmierć - tak wyglądała najnowsza historia mojego życia. To pewnie historia wszystkich wojen. Przecież mówi się o chodzeniu doliną cienia śmierci. Na chwilę zapomniałam o sukcesach, jakie osiągnęliśmy, o podziwieniu mieszkańców Nowej Zelandii, o więzi, która połączyła mnie z Fi, Homerem, Kevinem

i Lee. Bezsensowna śmierć jednej małej dziewczynki zabrała mi to wszystko.

Kilometr dalej moje poszukiwania gwałtownie dobiegły końca. Przeżyłam szok, natrafiając na taki tłum po tym, jak przez prawie siedemdziesiąt godzin byliśmy sami. Sześć osób na maleńkiej polance wielkości werandy wyglądało jak spora gromada. Przez okropną minutę zastanawiałam się, czy któreś z tych trojga dzieci żyje. Potem zobaczyłam, jak Gavin siada i z wysiłkiem pije wodę z butelki Lee. Z niepokojem spjrzałam na dwoje pozostałych. Przerazenie przycupnęło mi na ramieniu, gotowe

w każdej chwili chwycić za gardło. Casey leżała na plecach. Homer ocierał jej twarz chusteczką. Zobaczyłam Jacka zwiniętego w kłębuszek w ramionach Kevina. Dokładnie w chwili, kiedy do nich podeszłam, woda, którą Kevin próbował wlać Jackowi do ust, napotkała jakiś opór. Chłopiec kaszlnął, prychnął i zwrócił część płynu. Zaczął jęczeć, jakby go bolał brzuch. Wtedy zobaczyłam, że Casey gwałtownie mruga, i nagle zaczęła oddychać, szybko i płytko.

Usiadłam obok niej i Homera.

- Co z Dariną? - zapytał Homer, spoglądając na mnie. Chyba się domyślił, gdy tylko zobaczył moją twarz, ale i tak

odpowiedziałam. Chciałam wiedzieć, jak zabrzmiały te dziwne słowa, kiedy wyjdą z moich ust. Próbowałam szepnąć: „Nie żyje, nie żyje”, ale mój głos nie chciał ułożyć się w to zdanie. W końcu powiedziałam: „Straciliśmy ją”, choć nawet to nie wydawało się wystarczająco trafne, bo czułam się tak, jakbym to ja ją straciła. W jakimś sensie jej śmierć należała przede wszystkim do mnie.

Nie był to jednak ani czas, ani miejsce na roztrząsanie tej kwestii. Mieliśmy zbyt wiele do zrobienia. Poklepałam Casey po ramieniu i przez chwilę pottrzymałam ją za rękę, a potem jeszcze raz przyjrzałam się chłopcom. Wyglądało na to, że wszystko z nimi w porządku.

- Wracam po Fi i Natalie - powiedziałam.

Nikt się nie odezwał ani nawet na mnie nie spojrział, ale wcale się nie przejęłam. Mieli wystarczająco dużo na głowie.

Pobiegłam szlakiem w stronę Fi. Minęłam zmęczone ciało Dariny, ale teraz nie miałam już odwagi na nie spojrzeć. Z jakiegoś powodu budziło we mnie strach. To pewnie po prostu oddziaływanie śmierci. Jest tyle przesądów na jej temat. Halloween, jeźdźcy bez głowy, nawiedzone domy i włóczędzy

utopieni w sadzawkach. W taki czy inny sposób w końcu cię dopadną. Dlatego z poczuciem winy minęłam Darinę biegiem i popędziłam dalej niekończącym się szlakiem, przez bezkresny, monotony las, i za każdym kolejnym zakrętem wypatrywałam Fi i Natalie. Zaczęło do mnie docierać, jak długo są tam same. A jeśli Natalie też umarła? Nie mogłam znieść myśli o biednej Fi sam na sam z martwym dzieckiem. To było wystarczająco okropne dla mnie, a zawsze uważałam się za silniejszą od Fi.

Mała twardzielka Natalie wyglądała jednak lepiej niż pozostali. Siedziała i rozmawiała z Fi swoim dziecięcym głosikiem, który bardziej kojarzył się z trzylatką niż z siedmioletnią dziewczynką. Ale nie mogłam mieć do niej o to pretensji. Może tak się właśnie dzieje, kiedy człowiek otrze się o śmierć: następuje cofnięcie w rozwoju. Dojście do zera oznacza śmierć. Mniejsza o to, odnaleźliśmy Natalie w samą porę.

Pozostałe dzieci bez wątpienia też. Nie jestem lekarzem, ale myślę, że gdyby minęło jeszcze z pół godziny, stracilibyśmy większość z nich. Niebezpieczeństwo było tak blisko. Nie chcę, żeby jeszcze kiedykolwiek aż tak się do nas zbliżyło.

W ciągu kilku następnych dni musiałam się nauczyć jeszcze większej cierpliwości. Przed wojną zdarzały się chwile, w których byłam cierpliwa. Jeśli pompa w gospodarstwie wymagała zalania, stałam i przez dwadzieścia minut puszczałam wodę cieniutką strużką. Pozbywanie się oposów z dachu wymagało innego rodzaju cierpliwości. W naszym dużym domu trzeba było tygodnia, żeby rozpracować, któredy wchodzi, i następnego tygodnia, żeby skutecznie zablokować im dostęp. Były zwinne, uparte i złośliwe.

Odkąd zaczęła się wojna, moja cierpliwość gwałtownie pojawiała się i znikła. Ale te dzieci były w tak opłakanym stanie, że musieliśmy zacisnąć zęby i wykazać się cierpliwością godną świętych. Już sam powrót na górę i zejście do Piekła było wielką operacją. Zajęło nam to trzy i pół dnia - prawie cztery - a w tym czasie musieliśmy oczywiście dostarczać dzieciom pożywienia i wody. Zrobiłam trzy wyprawy za wzgórze aż na Szew Krawca, a potem trzy razy zesłam do Piekła i wróciłam z powrotem. Czasami nogi zwyczajnie odmawiały mi posłuszeństwa, taka byłam zmęczona, ale nawet kiedy przypominały beużyteczne góry martwego mięsa, musiałam iść dalej - więc szłam.

Stopniowo każde z nas przyjęło jakąś rolę, mimo że wcale tego nie planowaliśmy. Po prostu mieliśmy różne osobowości i taki był tego skutek. Ja zostałam koniem jucznym. Kevin kucharzem. Fi mamą. A Lee ochroniarzem, bo przecież nadal trwała wojna. W żadnym razie nie mogliśmy zapomnieć o obronie.

Ale jedno z nas przyjęło zdecydowanie nową rolę. Rolę, której przed wojną nikt by nie przewidział. Rolę, która wydawała się oderwana od osobowości. Homer stał się tatą. Kiedy był w dobrym humorze, otwarcie nazywaliśmy go Tatuśkiem. To była najbardziej zaskakująca przemiana. Po prostu nie odstępował tych dzieci na krok. Od świtu do zmierzchu karmił je, robił mnóstwo hałasu wokół ich ran, zadrapań i siniaków, próbował te dzieci rozruszać, wciągnąć w jakąś zabawę, rozśmieszyć jakimś żartem albo wzbudzić w nich odrobinę zainteresowania życiem.

To była ciężka robota i cieszę się, że to on się jej podjął, a nie ja. Jasne, czasami wykazywałam się ogromną cierpliwością, ale wiedziałam, że nie mam jej aż tyle, żeby podołać takiemu zadaniu.

Myślałam, że największym problemem dzieci będzie pogodzenie się ze śmiercią Dariny, ale w zasadzie stało się odwrotnie. Prawie się nią nie przejęły. Widocznie podczas wojny napatrzyły się na śmierć i praktycznie przestały na nią reagować. Pochowaliśmy Darinę pod eukaliptusem kamaldulskim, bardzo pięknym

i bardzo dużym drzewem. Uznałam, że ochroni jej małe złożone tam ciało. Ja i Fi byłyśmy załamane. Beczałyśmy. Ale dzieci nie płakały. Stały wokół, wyglądały na zakłopotane i przygnębione, kiedy odmawialiśmy modlitwy, ale się do nas nie przyłączyły. Nie powiedziały „amen”. Przecież nawet jeśli nigdy w życiu

nie były w kościele, musiały wiedzieć, że modlitwę kończy się słowem „amen”. Trochę mnie rozzłościło, że są aż tak nieczułe -w końcu chodziło o ich przyjaciółkę - ale je rozumiałam. Mimo to nie mogłam przestać myśleć, że gdyby zginęło któreś z nas, zachowałyby się identycznie. A to mi się nie podobało.

Gdybym była Homerem, najbardziej denerwowałaby mnie Natalie. W każdym razie dla mnie była bardzo denerwująca. Bez przerwy domagała się uwagi. Gdy tylko przestawano się nią interesować, zaczynała marudzić. Ten jej cieniutki głosik zawodzący na polankach, na których rozbijaliśmy obozy, zaczynał mi działać na nerwy szybciej niż cokolwiek innego. Był gorszy niż pisk paznokci przesuwanych po szybie. Przysięgam sobie, że jeśli kiedykolwiek zdecyduję się na dzieci, marudzenie będzie absolutnie zakazane. Każde marudzące dziecko będzie sprzedawane panu Roddowi, który wyszkoli je w goleniu owcom tyłków.

Chyba powinnam była podziwiać wyobraźnię Natalie, bo świetnie jej szło wynajdywanie nowych spraw, na które można by pobiadolić. „Zgubiłam torebkę eukaliptusa” - płakała. „Na sucharku jest za dużo pasty Vegemite”. „Jack mnie bije”. „But mnie obciera”. „Mam mrówki na nogach”.

Mrówki na nogach! Najwidoczniej nie przyszło jej do głowy, że mogłaby je strzepnąć.

Przynajmniej buty były dość dobrym powodem do narzekania. Mocno dokuczały wszystkim dzieciom oprócz Gavina. Po prostu nie zostały stworzone do takiego wycisku, jaki dostały podczas tej wędrowki donikąd. Wszystkie były popękane, zupełnie znoszone albo się rozlatywały. Tylko Gavin miał coś, co moja babcia nazwałaby „rozsądnymi” butami.

Gavin w ogóle był wyjątkiem. Nigdy nie udało nam się dowiedzieć, dlaczego dzieci od nas uciekły, ale najwyraźniej miało

to jakiś związek z kłótnią między Gavinem i Lee. Nie wypytywałam o to, bo Lee jakoś nigdy o tym nie wspominał, więc domyśliłam się, że nie chce nam o tym mówić. Pomyślałam, że lepiej zapomnieć o tej sprawie. Lee był bardzo niezależny i Gavin też - mały twardziel, który od roku, odkąd zaczęła się wojna, robił wszystko po swojemu i nie zamierzał pozwolić sobą dyrygować zgrai obcych ludzi. Wcale się nie zdziwiłam, kiedy Casey mi powiedziała, że na polanie, kiedy Lee ich pilnował, Gavin rzucił w niego kamieniem. Podobno Lee kazał dzieciom być ciszej.

Pozostałe dzieci ufały Gavinowi i brały z niego przykład. Gdyby kazał im wejść do rwącej górskiej rzeki w samych tylko dmuchanych rękawkach, zrobiłyby to bez pytania.

Nawet kiedy Natalie przyłgnęła do Homera, kiedy Casey prosiła go, żeby ją nauczył, jak się wyjmuje kamyki z czyjegoś ucha (jedyna sztuczka, jaką znał Homer), a Jack związywał Homerowi sznurówki i uważał się za wielkiego spryciarza, Gavin trzymał się z boku. Dobrze posługiwał się nożem i przez większość czasu strugał jakieś figurki: zwierzęta, samochody i ludzi. Czasami podchodziłam i podnosiłam jedną z nich, żeby ją podziwiać, a wtedy on odkładał nóż i bez słowa siedział ze wzrokiem utkwionym w oddali, czekając, aż sobie pójdę.

Dostała nam się zabawna grupka uchodźców. Gavin był niski jak na swój wiek, ale krzepki jak pojazd z napędem na cztery koła. Prawe oko zawsze miał lekko przymknięte, jakby za chwilę zamierzał mrugnąć. Należał do tych typów, które w zasadzie nie mają szyi, co tylko nadawało mu wygląd jeszcze większego twardziela.

Natalie miała śniadą cerę i ładną twarz laleczki. Mogła pochodzić z Malty albo z Libanu. Nawet kiedy była blada i wyczerpana, miała lekko zaróżowione policzki. Podobnie jak pozostałe

dzieci nosiła na sobie mnóstwo siadów ciężkiego życia, jakie wcześniej wiodła, pozbawionego opieki dorosłych. W wypadku Natalie były to wrzody na obu nogach. Wyglądały dość przerażająco: sześć dużych otwartych ran, całych czerwonych i jęczących się. Nic dziwnego, że jej oczy też zawsze były czerwone i zażawione.

Po raz pierwszy zobaczyłam Casey w tamtym dużym domu, gdzie bawiła się z koleżankami, i kiedy ją wtedy przytuliłam, poczułam się z nią naprawdę blisko związana. Miała inteligentną buzię, a w jej orzechowych oczach było widać pewną wrażliwość. To właśnie o Casey martwiliśmy się najbardziej. Złamana ręka odebrała jej radość życia. Musieliśmy się bardzo starać, żeby nakłonić tę dziewczynkę do jedzenia. Moim zdaniem istniało prawdziwe niebezpieczeństwo, że stracimy ją tak jak Darinę. Sprawiała wrażenie, jakby nie zostało jej zbyt dużo woli życia.

Miała brązowe włosy, które zostały obcięte przez kogoś, kto bawił się we fryzjera. Nie mogłam się doczekać, kiedy zejdziemy do Piekła i będę mogła to naprawić. Miałam nożyczki, ale nie zabierałam ich na żadne wyprawy. Pomyślałam, że zaczekam z otwarciem salonu do naszego powrotu do Piekła.

Jack przypominał mi mojego byłego chłopaka Steve'a, kiedy jeszcze był dzieciakiem w podstawówce w Wirrawee. Brązowe włosy, dość chudy - powiedziałabym, że wyglądał jak typowe wiejskie dziecko, tyle że Jack przez całe życie mieszkał w Strat-ton. Najwidoczniej chodził do tego samego fryzjera co Casey. Gdyby zrobiono mu tę fryzurę porządными nożyczkami, byłaby półcentymetrowym jeżem. Teraz wyglądała tak, jakby wymodelowano ją piłą łańcuchową. Dawało to dość dzikusowaty efekt. Ale nie chodziło tylko o fryzurę: Jack miał puciołowatą buzię i mały zadarty nos usiany piegami z obu stron. Kojarzył

się z tymi chłopcami, którzy podczas gry w krykieta mówią pozostałym, gdzie mają stać, objeżdżają zawodników z przeciwnej drużyny, chcą pierwsi uderzać kijem i głośno narzekają, kiedy sędzia dyktuje aut.

No więc tak wyglądała grupka naszych pasażerów: czworo dzieci, które zmieniły nasze życie z siłą tornada.

Dopiero półtora dnia po ich ocaleniu odkryliśmy sekret Gavina. Trudno mi uwierzyć, że wcześniej byliśmy tak mało spostrzegawczy. Trudno mi uwierzyć, że sama byłam tak mało spostrzegawcza. Tego drugiego popołudnia siedziałam pod drzewem całkowicie wyczerpana po powrocie z drugiej wyprawy do Piekła w ciągu dwóch dni. Trawiłam lunch, co nie zajęło mi dużo czasu, bo jedzenia było niewiele. Dziewięć osób bardzo szybko pochłaniało zapasy, więc narzuciliśmy sobie dość surowe ograniczenia. Gavin siedział pod innym drzewem na drugim końcu polany. Za nim z gęstych zarośli wyłonił się Jack, który prawdopodobnie wracał z toalety. Gdy tylko go zauważyłam, gwałtownie odskoczył w bok i zawołał:

-Waż! Waż!

Zerwałam się z miejsca, ale jednocześnie zauważyłam coś dziwnego: przez chwilę Gavin nadal siedział nieruchomo. Nie tylko się nie ruszał - w ogóle nie zareagował. Spokojnie strugał dalej. Nie żeby był taki super odważny - choć oczywiście dał się poznać jako twarde małe stworzonko. Gdy tylko zauważył, że zerwałam się z miejsca, wystraszył się i też skoczył na równe nogi. Miał jednak całą sekundę opóźnienia. Już po chwili pędziłam przez polanę do Jacka, podobnie jak Fi i Homer, jedyni członkowie naszej grupy, którzy zostali w obozie. Gavin schował się za drzewem i z przejęciem obserwował węża, który wybrał mądre wyjście i uciekł zwinnie jak piskorz. To był miedziogłowiec,

miął mniej więcej półtora metra długości i mógł być niebezpieczny Jack postanowił być wielkim bohaterem. Obaj chłopcy popędzili za intruzem, wrzeszcząc i skacząc z radości.

Jednak gdy tylko miedziogłowiec uciekł, skupiłam się na Gavinie. Całkiem dobrze naśladował węża, pokazując Jackowi prawą ręką, jak gad popętał w las.

- Gavin nie słyszy, prawda? - zapytałam Jacka.

- Tak - powiedział, odrywając wzrok od węzowej ręki Gavina i patrząc na mnie ze zdziwieniem. - Nie wiedziałaś?

Homer, Fi i ja spojrzeliśmy na siebie.

- Żartujesz, nie? - zapytał mnie Homer.

Gavin zdał sobie sprawę, że to on jest obiektem naszego zainteresowania. Spojrzał na mnie. Jack zakładał, że się domyśliliśmy, ale Gavin na pewno wiedział, że nie.

- Nie słyszysz? - zapytałam.

Wzruszył ramionami i odpowiedział swoim niezwykłym, ochrypłym głosem: -No i?

Zatkało mnie. I nagle przepełnił mnie podziw dla tego chłopca. Co za odważny mały człowiek. Prowadził tę grupkę dzieci, tę zabawną mieszankę charakterów i wieków, zmuszając je wszystkie do posłuszeństwa, mimo że przez cały czas nic nie słyszał - rety, to się nazywa siła osobowości.

Chyba właśnie wtedy zaczęłam okazywać Gavinowi należny mu szacunek. Pewnie mogłabym być dla niego surowa i obarczyć go winą za śmierć Dariny. Ale jak było można mieć do niego pretensje? Zawinił jedynie brak doświadczenia i naturalna podejrzliwość wobec ludzi, której nauczył się w Stratton w ciągu ostatniego roku. Nie wątpiłam w siłę jego umysłu. A ja zawsze podziwiałam siłę.

W każdym razie wszyscy byliśmy trochę zaskoczeni, kiedy sprawa się wydała.

- Cholerne dzieciaki - powiedział Homer, udając zrezygnowanie. - Jak bardzo jesteś głuchy? - zapytał Gavina.

Chłopiec wzruszył ramionami.

- Słyszę niektóre rzeczy - powiedział.

- W Stratton słyszał przejeżdżające ciężarówki - wyjaśnił Jack. - Podnosił głowę i pytał: „Co to?”. Jeśli naprawdę głośno się krzyknie, to też usłyszysz. Ale w tym lesie raczej niczego nie słyszał. Tutaj nic nie jest wystarczająco głośne.

Kiedy powiedzieliśmy o tym Kevinowi, z początku nam nie wierzył. Nie mam pojęcia dlaczego. Przecież normalnie nie wymyśla się takich historii. Ale Kevin to Kevin, więc oczywiście musiał zrobić coś głupiego. W tym wypadku postanowił przetestować Gavina i przekonać się, czy to prawda. Dlatego na przykład następnego dnia rano stanął za Gavinem i wrzasnął: „Uaaa!”. Zrobił to na tyle głośno, że Gavin naprawdę usłyszał. Odwrócił się i spojrzał na Kevina. No więc Kevin nabrał przekonania, że Gavin udaje, i przez kilka następnych dni znowu próbował go „przyłapać”. To było naprawdę dość żałosne. W takich chwilach nie przepadałam za Kevinem.

Przynajmniej Gavin wydawał się trochę bardziej wyluzowany, kiedy już wiedział, że my wiemy. Ale tylko trochę: to znaczy parę razy mruknął „dzięki”, kiedy robiłam dla niego coś wyjątkowego, a pewnego dnia tak bardzo się zapomniał, że posmarował mi nawet sucharka na lunch. Kiedy to sobie uświadomił, wyglądał na bardzo wstrząśniętego. Nie liczyłam, że w najbliższym czasie powtórzy ten gest. Miałam rację.

Chyba zapomniał, że kiedykolwiek kłócił się z Lee. W zasadzie zaczął go nawet po cichu podziwiać, bo zauważyłam, że

w tych rzadkich chwilach, kiedy zjawiał się Lee, Gavin uważnie go obserwował. W tamtych dniach Lee zmienił się w samodzielną jednostkę bojową i przychodził do obozu tylko po to, żeby wziąć coś do jedzenia i pospać parę godzin. Zastępował nasz normalny system wart. Nie wiem, jak daleko się zapuszczał, żeby nas chronić. Niebezpieczeństwo czaiło się na zachodzie: to tamtędy biegła droga, tam były farmy i domy, więc to tamta strona budziła w nas lekki niepokój.

Dzieci były tak słabe, że niewiele dało się z nimi zrobić. Przez większość dni odpoczywały.

Czwartego dnia musieliśmy się z nimi przedostać przez Szew Krawca i do Piekła. Poprowadziliśmy je na grań, co było bardzo stresujące, bo co chwila chciały się zatrzymać. Biedactwa: nie miały już siły, odporności, energii. Mówiliśmy do nich, żartowaliśmy, czasami nieśliśmy je na barana. Na górze nie było wody, ale opowiedzieliśmy im o pięknym, czystym, zimnym strumyku czekającym na nich za wzgórzem. Chyba brzmiało to tak, jakbyśmy tam mieli jakąś bajeczną czarodziejską rzeczkę o leczniczych właściwościach. Casey prawdopodobnie myślała, że kiedy zanurzy w niej rękę, kość natychmiast się zrośnie.

Sposobem Fi na zmotywowanie dzieci było wymyślenie historyjki o wodnych wrózkach.

- Wiecie - powiedziała, kiedy usiedliśmy na trawie w połowie drogi na szczyt - że w rzece w Piekło są małe zatoczki wśród skał, gdzie mieszkają wróżki? Siedzą tam o poranku, czesząc swoje piękne włosy i układając cienkie jak pajęczyna skrzydła.

Jack westchnął, przewrócił oczami, spoglądając na Gavina, a potem podniósł nogę i głośno pierdnął. Niezrażona tym Fi ciągnęła swoją opowieść.

- A najładniejsza wróżka, która nazywa się księżniczka Tęcza...

W tej chwili Homer schował się za pniem drzewa i zaczął naśladować odgłos wymiotów. Fi spiorunowała go wzrokiem, ale osobiście byłam mu wdzięczna. Nie wiem, w jakim wieku były według niej te dzieci. Przez chwilę Natalie wyglądała tak, jakby opowieść Fi robiła na niej wrażenie, ale szybko się zorientowała, że historyjka wcale nie jest fajna, więc odwróciła się i zaczęła żuć źdźbło trawy.

Nagle pomyślałam, że może Fi naprawdę wierzy w te swoje rzeczne wróżki. Nie chciałam drażnić tematu. Czym prędzej wypchnęłam go z głowy, zanim zdążył narobić szkód.

Kiedy powoli, bardzo powoli szliśmy w górę grani, Lee trzymał się daleko z tyłu, upewniając się, że nikt nas nie śledzi. Potem, kiedy zbliżaliśmy się do szczytu, wyprzedził nas i poszedł sprawdzić teren. Zrobił się giętki i zwinny. Kiedy przechodził obok Gavina, ku mojemu zaskoczeniu chłopiec pociągnął go za koszulkę i zapytał:

- Mogę iść z tobą?

Spojrzałam na Homera i zrobiłam minę mówiącą: „Dasz wiarę?”. Ale byłam zadowolona, kiedy Lee pokiwał głową. Po raz pierwszy Gavin otwarcie okazał zainteresowanie nami i tym, co robimy. Nie zniósłabym, gdyby Lee mu odmówił.

No więc ruszyli, a mnie trochę ulżyło, bo to oznaczało, że jedno z dzieci jest już w zasadzie na górze, na Szwie Krawca. Musieliśmy się martwić już tylko o trójkę, chociaż w tego typu zadaniach to właśnie ta trójka spisywała się najgorzej. Wlekliśmy się naprzód. Byłam gotowa rzucić się z najbliższego klifu, ale wykorzystywałam cenną energię, żeby zachęcać, zabawiać i dopingować pozostałych.

Do zmroku pozostała godzina i wreszcie zobaczyłam przed sobą znajomą grań. To była najwolniejsza wycieczka, w jakiej

kiedykolwiek uczestniczyłam. Mogłabym uklęknąć na skale i ucałować ją jak papież na lotnisku. Ale znowu postanowiliśmy poczekać z wejściem na górę, tak jak Iain, Ursula i nowozelandzcy partyzanci. Nie zawsze uważałam to za konieczne, ale o zmroku, z dość dużą grupą, takie zwlekanie wydawało się sensowne.

Dzieci opadły na skały i jak zwykle zaczęły narzekać na zmęczenie, głód i ból. Rozdałam resztkę wody i starałam się ignorować ich jęki. Prawie żałowałam, że nie ma z nami Gavina. Przynajmniej on nie marudził.

Zanim dzieci złapały oddech, minęła ostatnia widna godzina, mimo że posuwaliśmy się z prędkością ślimaka z drewnianą nogą. Miałam nadzieję, że uda nam się dotrzeć do Piekła bez kolejnego przystanku, mimo że szlak był bardzo wąski, śliski i zarośnięty. Cały czas prowadził w dół.

Wtedy nagle zjawili się Lee i Gavin i zmusili nas, żebyśmy wstali i szybko przeszli na górę. Lee był bardzo zniecierpliwiony i strasznie nas tym wkurzał. Nie wiem, po co był ten wielki pośpiech, ale na nic się nie zdał, bo dzieci praktycznie za-strajkowały. W końcu, żeby się przymknęły, wzięłam na ręce Casey, Homer poniósł Jacka, a Kevin Natalie. Tylko Gavin szedł o własnych siłach. Zanim dotarliśmy do obozu, Natalie zasnęła, co wiele mówi o tym, z jaką delikatnością niósł ją Kevin.

Noc była okropna. Szlak zawsze pokonywało się z trudem, ale w ciemności, kiedy sami byliśmy zmęczeni, okazał się ponad nasze siły. Jakby tego było mało, w ciągu ostatniej półgodziny zaczął padać deszcz i zrobiło się ślisko jak na lodowisku.

Na szczęście żadne z dzieci nie domagało się jedzenia. Wepchnęliśmy je do dwóch namiotów. W tamtym okresie mieliśmy razem cztery namioty, same dwuosobówki. Przez jakiś

czas były w nich trzy wolne miejsca. Dzieci z łatwością zmieściły się w dwóch namiotach, a potem ciągnęliśmy źdźbła trawy, żeby ustalić, kto będzie spał razem z nimi. Lee wyciągnął najkrótsze źdźbło.

Padłam jak nieżywa i pozostali pewnie też.

Kiedy Lee mnie obudził, pomyślałam, że musiało mu być jeszcze bardziej niewygodnie, niż przypuszczałam. Przez wejście do namiotu, nad jego szczupłymi ramionami, zobaczyłam, że do świtu zostało jeszcze dużo czasu. Niebo pokrywała ciemna szarość kontrastująca z czernią nocy. Nadal padał deszcz, dołączając mżawka, która wyglądała tak, jakby już nigdy nie miała ustąpić.

- Co się stało? - zapytałam zaspanym głosem.

Powoli zaczynałam się wkurzać, ale nie starczyło mi na to energii. Po raz pierwszy od wieków miałam szansę pospać, a Lee musiał to zepsuć.

- Możesz pójść ze mną na spacer? - zapytał.

Potem zniknął. Przez chwilę leżałam i zastanawiałam się, czy to przypadkiem nie sen, ale słyszałam, jak Lee kręci się na zewnątrz. Klnąc pod nosem, żeby nie obudzić Fi, włożyłam buty i wyczołgałam się z namiotu. Kiedy to zrobiłam, zrozumiałam, że Lee mówił poważnie. Miał na plecach plecak i najwidoczniej szykował się do wędrowki.

Nie mogłam w to uwierzyć. Nie miałam siły na spacer.

Ale za dobrze znałam Lee, żeby tracić czas na zadawanie pytań. Przygotowanie się zajęło mi tylko chwilę. Spałam w ubraniu, jak zwykle ostatnimi czasy. Chwyciłam sweter i poczłapałam do toalety na siku. Kucając, zawiązałam buty.

Kiedy wróciłam, Lee zrobił coś, co mnie zmroziło. Podał mi strzelbę.

Mieliśmy w Piekle dziwny mały arsenał. Kolekcję broni z najróżniejszych źródeł, poczynając od dwudziestki dwójki i trzysta trójki przyniesionych z domów po rozpoczęciu inwazji, a kończąc na tym, co udało nam się zdobyć później. W zasadzie nie zawracaliśmy sobie głowy bronią, bo była strasznie ciężka i mieliśmy bardzo mało amunicji. Poza tym noszenie jej byłoby kiepskim pomysłem, gdybyśmy zostali złapani. Nadal kurczowo trzymaliśmy się marnej nadziei, że udałoby nam się wykręcić historyjką o niewinnych dzieciach, które mieszkają w lesie i nie mają pojęcia o toczącej się wojnie.

Mimo to wzięłam strzelbę, którą podał mi Lee. Zaczynałam się bać. Lee wyglądał cholernie poważnie.

- Może powinniśmy powiedzieć reszcie, dokąd idziemy? -podsunęłam.

— Zostawiłem wiadomość dla Homera — powiedział.

Nie odzywaliśmy się, dopóki nie zaczęliśmy wspinaczki z powrotem na Szew Krawca. Ścieżka z Piekła prowadziła w stronę Wombegonoo, nagiego okrągłego wierzchołka, z którego roztaczał się widok na wszystkie strony. Ale przed Wombegonoo szlak kończył się eukaliptusem o wielu pniach. Drzewo było niewidoczne dla każdego, kto stał ponad nim. Za jego pniami ciągnęły się nagie skały, co było dobre, bo oznaczało brak śladów.

Oparłam się o jeden z pni i miałam ochotę jęknąć z potwornego zmęczenia. Tylko дума uchroniła mnie przed poddaniem się i oznajmieniem Lee, że jego wyprawa mnie nie interesuje. To było za trudne, za trudne. Zwłaszcza na pusty żołądek. Lee chyba też potrzebował odpoczynku, bo opierał się o drugi pień i miał całkiem ziemistą cerę. Ale zdecydowanie za wcześnie wyprostował się i spojrzał na mnie, jakby chciał zapytać: „Gotowa?”.

Przytaknęłam. Znowu ta дума. Weszliśmy na Szew Krawca, zachowując maksimum ostrożności. Strzelby trzymaliśmy w pogotowiu, pochyliliśmy się i obserwowaliśmy grań w obu kierunkach. Nadal nie miałam pojęcia, co robimy, i coraz bardziej mnie to wkurzało, ale teraz byłam już w takim nastroju, że wkurzało mnie dosłownie wszystko.

Po drugiej stronie zastosowaliśmy tradycyjny system, taki jak podczas pokonywania grani w świetle dnia: staraliśmy się, żeby nie było nas widać na tle nieba. Lee znowu wyraźnie dał do zrozumienia, że musimy być superostrożni. Pokonaliśmy jakieś trzy czwarte kilometra. Potem Lee odwrócił się do mnie i zbliżył palce do ust, pokazując mi, żebym była naprawdę cicho. Zaczęliśmy schodzić na paluszkach ze wzgórza, poruszając się z dobijającą powolnością i rozglądając się przy każdym kroku. W pewnej chwili czekaliśmy co najmniej dziesięć minut, a Lee wpatrywał się w zarośla. Z takim samym skupieniem wgapiałam się w krzaki po przeciwnej stronie, nie do końca wiedząc, czego szukam, ale byłam cholernie zestresowana. Zrobiło się już naprawdę jasno i nadal padał deszcz, tyle że inny. Zamiast mżyć, atakował falami, czasami przestawał na kilka minut, a potem zaczynał znowu, z trochę innego kierunku. Dołujący poranek jak na lato. Dość ciepło, ale dobijające Ciągłe sobie powtarzałam, że potrzebujemy deszczu, ale wcale nie podniosło mnie to na duchu.

Poszliśmy dalej, lecz niedługo znowu się zatrzymaliśmy. Zerkając Lee przez ramię, zobaczyłam wielką polanę. Coś w sposobie, w jaki przykucnął i długo się w nią wpatrywał, uświadomiło mi, że to cel naszej wyprawy. Czekaliśmy pół godziny. Dość typowe w naszym wypadku. Zazwyczaj przesadzaliśmy z ostrożnością. „Czas przeznaczony na rekonesans...”

W końcu jednak Lee wydał się zadowolony. Zaprowadził mnie na polanę, na sam środek. Staliśmy tam i patrzyliśmy na nasz cel. Czułam się jak Robinson Crusoe patrzący na ślady stóp Piętaszka na piasku. Bo przed nami, w miejscu, w którym od roku nie powinno nikogo być, na terenie zamieszkiwanym wyłącznie przez nas, znaleźliśmy śliczne świeże pozostałości po obozowisku.

Przyklęłam i przesunęłam dłonią w popiele. Przypominał szarobiałą owsiankę. Nawet pomimo gwałtownego deszczu wzbił się nad nim pył. Moja ręka zrobiła się biała od popiołu, który przylgnął do skóry. Podciągnęłam rękaw i pogrzebałam głębiej. W sercu ogniska nadal wyczuwało się ślad ciepła. Byłam zadowolona. Niewiele deszczu spadło na to miejsce.

- W samym środku jest jeszcze ciepłe - powiedziałam do Lee. Pokiwał głową.

- Jak myślisz? Paliło się w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin?

- Nie, tego nie można powiedzieć. Jeśli je zostawili, żeby dopaliło się samo, mogli tu być ze trzy albo i cztery dni temu.

W wypadku ognisk obowiązywała zasada, że trzeba włożyć rękę w sam środek popiołu. Jeśli to było niemożliwe, ognisko jeszcze nie dogasło. Dlatego od razu wiedziałam, że tego ogniska nie rozpalili doświadczeni farmerzy ani leśnicy. Oni nigdy by nie odeszli, zanim porządnie by go nie ugasili, zwłaszcza latem.

- Wiesz, kto tu był? - zapytałam Lee.

- Nie mam pojęcia. Nie widziałem ich. Ale znalazłem to miejsce wczoraj wieczorem, kiedy mieliście zejść do Piekła. Był ze mną Gavin i nie chciałem go wystraszyć, więc nie robiłem zamieszania. Pewnie nawet nie zauważył.

- Nadal się paliło?

- Możliwe. Trudno powiedzieć. To mógł być dym albo popiół rozdmuchiwany przez wiatr.

- Rozejrzyjmy się.

Zachowywaliśmy się jak detektywi: przeczesaliśmy trawę w poszukiwaniu dowodów i jednocześnie z niepokojem nasłuchialiśmy, czy przypadkiem nikt nie wraca. Na początku znaleźliśmy miejsce po obozowisku. Rozbili cztery namioty, większe od naszych. Było to widać, bo trawa pozostała lekko spłaszczona. Na dowód znalazłam dziury w miejscach, gdzie wbito śledzie, a nawet kamień, którego użyto zamiast młotka. Miał po tym małe odpryski, małe białe blizny.

Niczego więcej nie znaleźliśmy. Zdziwiłam się, bo myślałam, że zostawili jakieś resztki, na przykład puste opakowania po jedzeniu i tego typu rzeczy. Zastanawiałam się, czy je zakopali tak jak my, więc zaczęłam szukać zasypanego dołu. Niczego nie mogłam znaleźć. Może nie wiedzieli, jak ugasić ognisko, ale przynajmniej zdawali się szanować las na tyle, żeby po sobie posprzątać.

Wtedy Lee wynurzył się z zarośli i kiwnął na mnie palcem. Poszłam za nim. Pokazał mi ścieżkę prowadzącą do źródła, które zaopatrywało obozowiczów w wodę. To była ładna ścieżka, wijąca się wśród drobnych zielonych roślinek przypominających kropelki łez na ziemi poprzetykane mchem. Spod liści wyglądały małe białe kwiatuszki.

„Jeśli Bóg je stworzył, musi mieć fantastycznie zręczne palce” - pomyślałam. Ja jestem zbyt niezdarna, żeby zrobić coś tak pięknego i delikatnego.

Po pięciu minutach wśród drzew dotarliśmy do źródła: bulgoczącej i cudownie czystej wody przesączającej się przez grubą warstwę poszycia. Były tam dwa małe rozlewiska, ale większość wody płynęła po skałach, wydając ten kuszący, bulgoczący

dźwięk, który przypomina cichy śmiech i jest chyba moim ulubionym dźwiękiem na ziemi.

Przechadzałam się nad brzegiem, szukając czegoś, co dałoby nam jakąś wskazówkę dotyczącą tożsamości niewidzialnych biwakowiczów. Byli albo wrogami, albo przyjaciółmi - w tamtych dniach każdy należał do jednej z tych dwóch kategorii - a prawie na pewno wrogami, ale byłoby nam znacznie łatwiej, gdybyśmy czegokolwiek się o nich dowiedzieli.

Przy drugim rozlewisku, dużym, płytkim i otoczonym przez skały, przyklekłam, żeby się lepiej przyjrzeć. Wodę pokrywała jakaś powłoka, jakby chmura z nieba ześlizgnęła się wprost do tego źródelka. Nie gęsta chmura - raczej ślad mgły. Zbliżyłam usta do wody i napiłam się jak pies. Już przy pierwszym łyku poczułam, co sprawiło, że woda wydawała się taka mętna. Miała lekko mydlany smak. Używali tego rozlewiska do mycia. Woda była taka czysta, taka świeża, że wyczuwało się posmak mydła, mimo że od pobytu biwakowiczów mogło upłynąć kilka dni. Usiadłam, ścierając mydlany smak z ust. Robiąc to, zauważyłam na mchu jakiś kolorowy ślad, który nie pasował do otoczenia. Sięgnęłam w jego stronę. To był kawałek papieru, nadal sztywny i nowy. Powąchałam. Znow ten mydlany zapach. Znalazłam kawałek opakowania po ich mydle. Spojrzałam na nie. Napisy nie były po angielsku. To nie był nasz alfabet. Już wcześniej widziałam coś takiego. W koszarach na lotnisku w Wirra-wee, kiedy sprawdzałam kwatery żołnierzy - tamtego potwornego, ekscytującego dnia, w którym rozwaliliśmy lotnisko na kawałki. W szafce w koszarach widziałam mnóstwo tych wojskowych mydeł i wszystkie miały identyczne opakowania. Wiedziałam już, kim byli tajemniczy biwakowicze.

Prawda wyglądała tak, że niewiele mogliśmy zrobić w związku z naszymi wrogo usposobionymi gośćmi. Przede wszystkim nadal mało o nich wiedzieliśmy. Mogli być szukającym nas patrolem. Mogli być patrolem, który dostał zadanie rozejrzenia się w górach i przeprowadzenia rutynowej kontroli. Mogli być grupką żołnierzy po służbie, którzy wybrali się do lasu podziwiać piękne krajobrazy. Wszystkie trzy teorie były równie prawdopodobne. Ale było coś, co skłoniło mnie ku pierwszej z nich: moje obawy związane ze skutkami naszego ataku na lotnisko. Przez tę akcję przestaliśmy być jedynie uciążliwością i trafiliśmy do kategorii poważnego zagrożenia, które należy wytropić i wyeliminować. Za wszelką cenę. Pewnie właśnie tak myśleli. „Jeśli tam są, znajdźcie ich. Zróbcie wszystko, co będzie trzeba, zabijcie ich”.

Jeśli poza tym powiązali nas z atakiem w Zatoce Szewca i z ucieczką z więzienia w Stratton, mieliśmy szczęście, że nie wysadzili w powietrze połowy kraju, byleby tylko nas dopaść.

Na dłuższą metę mogliśmy mieć nadzieję jedynie na to, że według nich już stąd uciekliśmy. I to daleko. Na przykład na Alaskę.

Najlepiej na północną Alaskę.

Nie chciałam dniem i nocą stać na warcie na Szwie Krawca. Zbyt dużo by nas to kosztowało. W Piekle mogliśmy odpocząć i odzyskać siły. Gdyby jedno z nas pięciorga musiało stać na warcie, nikt tak naprawdę by nie odpoczął.

Naszą największą przewagą były warunki geograficzne w Piekle. To zupełnie dzikie miejsce, kotlina pełna drzew i skał. Z góry, ze Szwu Krawca, widać jedynie czubki drzew i skrawki ogromnych głazów. Przez całe życie mieszkałam po drugiej stronie Szwu Krawca - położenie naszej farmy sprawiało, że byliśmy najbliższymi sąsiadami Piekła - a nigdy nie słyszałam, żeby komukolwiek udało się odnaleźć drogę na dół. Nie licząc zdawkowych pogłosek o pustelniku sprzed jakichś stu lat. Na pewno nikt, kogo znałam, nie wiedział o tym szlaku. Mieliśmy fuksa.

No więc szansa, że żołnierze, nieprzywykli do życia w lesie, dokonają tego samego przypadkowego odkrycia, była dość mała. Mimo to nie zamierzaliśmy podejmować nawet najmniejszego ryzyka. Kiedy ja i Lee wróciliśmy do pozostałych, zwołaliśmy pilną radę. Uzgodniliśmy, że podwoimy albo i potroimy czujność. Pierwsze dwieście, trzysta metrów szlaku od Wombegonoo pokryliśmy korą i suchymi liśćmi, żeby wyglądał na starą ścieżkę wydeptaną przez zwierzęta. Znacznie lepiej zakamuflowaliśmy namioty i kącik do gotowania, żeby samoloty i śmigłowce miały jeszcze mniejsze szanse na zauważenie naszego obozu. Kiedy gotowaliśmy coś na ogniu, jedno z dzieci stało nad ogniskiem z kawałkiem sztywnej kory i wachlowało, żeby rozgonić dym. Wiedziałam, że dym widać z odległości paru kilometrów, ale płomienie są widoczne tylko z kilkuset metrów.

Po jakimś czasie, kiedy już zastosowaliśmy wszystkie oczywiste środki zapobiegawcze i zaczęliśmy się nudzić, wpadliśmy na bardziej twórcze rozwiązanie. Albo na głupsze, zależy, jak na to spojrzeć. Lee postanowił zrobić pułapki, a Gavin i Jack oczywiście uznali to za świetny pomysł. W końcu byli specjalistami w tej dziedzinie. Muszę przyznać, że spryt tych zdziczałych dzieci zrobił na mnie duże wrażenie. Te wszystkie miesiące w Strat-ton, gdzie trzeba było przetrwać w całkowicie wrogim środowisku, nauczyły je tego i owego. W ciemnej, zacienionej części szlaku Gavin zaczął kopać dół, który zamierzał przykryć gałęziami i wypełnić ostrymi patykami. Ten chłopczyk był żądny krwi. Jack okazał się trochę bardziej praktyczny. Zamiast jednej wielkiej dziury zrobił cztery małe rowy o szerokości stopy dorosłego człowieka. Wykombinował sobie, że ktoś, kto będzie nas gonił szlakiem, wpadnie stopą w taki rów i skręci nogę w kostce. Jak miło. Poza tym poprosił Lee o pomoc w poprowadzeniu drutów w poprzek stromych spadzistych odcinków szlaku, na wysokości szyi. Razem z Gavinem sypali potwornymi żartami o żołnierzach skręcających sobie kark albo nawet o drutach ucinających im głowy - pod warunkiem że wpadliby w pułapkę z wystarczającą prędkością.

Nasze zadanie polegało na tym, żeby zapamiętać, gdzie zastawili te pułapki, bo w ciemności, kiedy byliśmy zmęczeni, wlekliśmy się szlakiem, zapominając o tych wszystkich małych niespodziankach. Naprawdę o mało nie złamałam nogi w kostce, wpadając w jeden z rowów Jacka. Kiedy skończyłam przeklinać jego i jego głupią pułapkę, jej skuteczność zrobiła na mnie duże wrażenie. Myślę, że Jack po cichu pękał z dumy, ale był wystarczająco bystry, żeby tego nie pokazywać w chwili mojej wściekłości.

Nie muszę dodawać, że Gavin nigdy nie zdołał dokończyć kopania swojej wielkiej dziury.

Ja i Fi nie angażowałyśmy się za bardzo w operację zastawiania pułapek. Byłyśmy pochłonięte czymś innym.

Przez jakiś czas myślałam, że chcę zrobić dla tych dzieci coś dobrego, wesołego i pozytywnego. I może dla nas też. Znowu sobie przypomniałam, jak stałam w kuchni babci i obierając ziemniaki, próbowałam zgadnąć, kiedy są święta Bożego Narodzenia. Byłam dość rozgoryczona i zdołowana tym, że inwazja ograbiła nas z urodzin i świąt. Ale teraz uświadomiłam sobie, że w pewnym sensie jej w tym pomogliśmy. Nikt nie mógłby ukraść Bożego Narodzenia bez naszej zgody. Sami je sobie kradliśmy.

Kiedy zdałam sobie z tego sprawę, poszłam poszukać Fi.

I tak zaczęliśmy przygotowania do najdziwniejszych świąt Bożego Narodzenia w dziejach. Nie były dziwne tylko dlatego, że przyszły z lekkim opóźnieniem. Chodziło raczej o to, że miały być Bożym Narodzeniem według naszego pomysłu, bo nie mieliśmy zbyt wielu tradycyjnych rekwizytów. Nie było pasterki, nie było aniołka siedzącego na choince, nie było ostrokrzewu ani bluszczu, nie było indyka i nadzienia, nie było puddingu śliwkowego z ukrytymi w środku staromodnymi monetami, nikt nie rozwiesił skarpet przy łóżkach. Nie było nawet łóżek. Jeśli Święty Mikołaj zamierzał odwiedzić Piekło, musiał poszukać czegoś innego, w co mógłby powsadzać prezenty.

Te święta były dziwne z jeszcze jednego powodu. Szykowaliśmy się do spokojnych obchodów Bożego Narodzenia, a mniej więcej kilometr dalej Lee i dwaj mali chłopcy wesoło zastawiali pułapki stworzone po to, żeby kaleczyć albo zabijać.

Ale mimo wszystko dzieci szczerze się ucieszyły, kiedy powiedzieliśmy, że zbliża się Boże Narodzenie. Nie miały pojęcia, jaki jest miesiąc - w zasadzie nie wiedziały nawet, który mamy rok - więc uznały, że mówimy o 25 grudnia. To nie miało znaczenia. Jasne, mogłoby je mieć dla księdza albo innej religijnej osoby, ale ojca Cronina nie było akurat w pobliżu, więc po prostu postanowiliśmy spróbować.

Już na początku zrozumieliśmy, że będziemy musieli zrobić nalot na jakiś dom albo farmę. Głównie dlatego, że nasze zapasy żywności szybko znikają, bo mieliśmy do wykarmienia dziewięć osób. Nie mogłam uwierzyć, że jedzenie znika w tak zawrotnym tempie. Nazajutrz po sprowadzeniu dzieci do Piekła ja i Fi - nie mam pojęcia, dlaczego to zadanie nadal przypadało dziewczynom - usiadłyśmy i zrobiłyśmy duży remanent. A potem opracowałyśmy z grubsza jadłospis. Doszłyśmy do wniosku, że jeśli zachowamy ostrożność, starczy nam jedzenia na dziesięć dni. Byłyśmy z siebie bardzo dumne, że jesteśmy tak dobrze zorganizowane. Ale sześć dni później prawie wszystkie pojemniki, do których zaglądałam, były już puste albo ich zawartość się kończyła.

- Znowu się obżeraliście? - zapytałam Homera.

- Ja? No co ty? Patrz, jaki jestem chudy.

- Ktoś musiał. Jedzenie kończy się tak szybko, jakby nikt nie myślał o jutrze.

- Nie patrz tak na mnie. Jestem niewinny, jak zwykle.

- Możliwe, że to dzieci.

- Nie zauważyłem, żeby tak dużo jadły. Nie więcej, niż można się spodziewać po zgrai na wpół zagłodzonych prosiaczków.

- Może w takim razie Kevin i Lee?

- Wątpię. Dlaczego ich po prostu nie zapytasz?

Tu mnie miał.

- Ostatnio raczej nie rozmawiam z Lee. Zresztą podobnie jak z Kevinem.

- No tak, zauważyłem.

Na chwilę zapadła cisza. Domyślałam się, co Homer sądzi o moich słabych relacjach z Kevinem i Lee, ale w pewnym sensie chciałam to od niego usłyszeć. Nie wiem dlaczego. Jediną osobą, która ostatnimi czasy dawała mi rady, była Fi, ale czasami to mi nie wystarczało. Musiałam usłyszeć opinię faceta, a facetem, którego opinie szanowałam najbardziej na świecie - nie licząc mojego taty - był właśnie Homer. Chciałam się dowiedzieć, czy zgadza się z tym, co usłyszałam od Fi w drodze do Piekła.

Po chwili Homer powiedział:

- Myślałem, że wyjaśniliście sobie wszystko z Lee na Szwie Krawca, kiedy poszliście obejrzeć tamto obozowisko.

- Chyba powinniśmy byli to zrobić. Ale byliśmy zbyt zajęci zastanawianiem się, kto tam biwakował. Szukaliśmy śladów. W każdym razie - roześmiałam się - było za zimno i za mokro.

Homer zignorował mój śmiech. Czytał książkę, którą mieliśmy w Piekło od wieków, *Red Shift* Alana Garnera. Przyniósł ją chyba Chris. Homer czytał książki tylko w chwilach desperacji, ale ostatnio zakazaliśmy wszelkich działań mogących robić hałas. A większość tego, co lubił robić Homer, powodowała hałas. Dlatego teraz, kiedy nie prowadził swojego przedszkola, często był zmuszony zabijać czas czytaniem książek.

Siedział, bawiąc się rogami kartek i przerzucając strony, jakby tasował karty.

- Ostatnio nie jesteś szczęśliwą obozowiczką, prawda, Ellie? -Jakoś nie zauważyłam, żeby ktokolwiek z nas chodził uśmiechnięty.

- Wiesz, co mam na myśli.

Próbowałam coś wymyślić - nie zastanawiałam się, co powiedzieć, ale jak to ująć, żeby nie wystraszyć Homera. Musiałam to przełożyć na jego język. Bo do Homera nie można powiedzieć czegoś w rodzaju: „Nadal jestem zakochana w Lee, ale wątpię, czy mogę mu jeszcze zaufać”. Sposób rozmawiania z Homerem jest zupełnie inny niż sposób rozmawiania z Fi.

W końcu powiedziałam:

- Nadal nie potrafię zrozumieć, jak Lee mógł kręcić z tamtą dziewczyną w Stratton.

- No wiesz, to facet. Tacy już jesteśmy. Naucz się z tym żyć. Nie dałam się złapać na tę przynętę. I Homer wcale na to

nie liczył. Po prostu zareagował odruchowo. Trudno się pozbyć dawnych nawyków i nie zamierzał zrezygnować z wkurzania dziewczyn, kiedy nadarzała się okazja. Ale jego umysł posunął się o krok dalej. Nie czekając na moją odpowiedź, dodał:

- Pytanie brzmi: na ile błędów możesz facetowi pozwolić?

- Tylko na jeden, jeśli jest wystarczająco duży.

To go na chwilę przystopowało. Zaczął nawet robić małe rozdarcia z boku jednej kartki, co bardzo mnie oburzyło. Nigdy nie niszczyć książek. Jako trzylatka wpakowałam się w kłopoty, bo zaczęłam bazgrać w encyklopedii babci, i chyba dostałam nauczkę.

Ale po kilku minutach Homer znowu skupił się na mnie. Uparty koleś z tego Homera, jakiś taki zawzięty.

- Więc zamierzasz mieć mu to za złe przez następne pięćdziesiąt lat? Spróbowałam mu wytłumaczyć.

- Gdyby to była tylko pomyłka, gdyby Lee na parę tygodni stracił rozum i zaczął się kierować jajami, mogłabym to

przeboleć. Ale co jeśli to pokazuje jakąś ogromną wadę charakteru, tak poważną, że już nigdy nie będzie godny zaufania? Właśnie to mnie najbardziej przeraża. Boję się, że jest w nim coś, o czym wcześniej nie wiedziałam.

— A myślisz, że jest? -Nie.

Kiedy to powiedziałam, poczułam ogromną ulgę. To było to, z czym wcześniej nie umiałam się zmierzyć, co do czego nie miałam pewności.

- Mogłabyś przynajmniej z nim o tym porozmawiać - mruknął Homer.

Brzmiał zupełnie jak jego ojciec, kiedy próbował przekonać mojego, że powinni pójść do lokalnego posła i zmusić go do działania w sprawie dziurawych dróg, zapasów wełny albo cen paliw. O mało znowu się nie roześmiałam.

Ale byłam wdzięczna Homerowi. Poczułam, że robię się wobec niego trochę sentymentalna. Po raz kolejny dowiedział, że jest prawdziwym przyjacielem. Po prostu nie wiedziałam, jak rozwiązać swój problem z Lee.

Tymczasem usiadłyśmy z Fi, żeby dokładniej zaplanować Boże Narodzenie. Nie było łatwo, bo nasze zapasy przedstawiały opłakany widok. Na początku zdecydowałyśmy, że trzeba zrobić nalot na którąś z farm i ukraść trochę pożywienia. Ze szczegółami mogłyśmy poczekać na grupową naradę, ale uznałam, że trzeba wyruszyć w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Gdyby nalot się nie udał, mogliśmy zapomnieć o świętach.

Jak ja tęskniłam za wyprawą do supermarketu! Torturowałam się wspomnieniami rzędów alejek wypełnionych brzoskwiniami w puszcze, płatkami All Bran, czekoladą Snack i krakersami

Jatz, chłodziarkami z szynką, salami, serem brie King Island oraz zamrażarkami z ciastem czekoladowym Sara Lee, lodami Pauls i nuggetami z kurczaka. Kiedy te działy mi się znudziły, przechodziłam w myślach do delikatesów, stoisk z mięsem, rybami, pieczywem, owocami i warzywami. Supermarkety z mojej wyobraźni dawały mi więcej przyjemności niż te prawdziwe przed wojną.

Ale musiałam odsunąć fantazje na bok. Nadeszła pora, żeby pobudzić naszą zmęczoną wyobraźnię do pracy.

- Zróbmy burzę mózgów - zaproponowałam Fi.

- Papier do pakowania - rzuciła odruchowo. - Flamastry.

- To mój dowcip. Daj spokój, mówię poważnie. Zaczniemy od najważniejszych spraw. Święty Mikołaj?

- Zdecydowanie tak. Dla Natalie - powiedziała bez wahania, a potem dodała: - I dla mnie.

- Tylko co on przyniesie? No bo przecież nie rowery górskie, rolki ani bombonierki.

- Nie. Myślę, że kiedy będziemy zabierać z farmy jedzenie, możemy spróbować coś znaleźć...

- No jasne. Zrezygnujemy z makaronu, żeby przynieść Natalie samochodzik dla Barbie.

Fi śmiała się z tego przez jakieś pięć minut. Mocno mnie tym zaskoczyła. Ostatnio rzadko słyszeliśmy taki śmiech. Cieszyłam się, że nadal potrafię ją rozbawić, bo przecież jeszcze niedawno była na mnie bardzo wkurzona.

- Już widzę, jak Homer zatrzymuje się wśród świszczących kul, żeby podnieść jeden z sandałów Barbie - powiedziała.

- No tak, jeśli Mikołaj ma przynieść jakieś prezenty, będziemy musieli się sprężyć. Co można by przynieść dla Gavina?

- Jego nic nie zadowoli.

Zajęło nam to dwie i pół godziny, ale w końcu zrobiłyśmy listę. Nie tylko prezentów, wszystkiego: dekoracji, jedzenia, napojów i gier. Musiałyśmy zrezygnować z paru rzeczy, na przykład z papieru do pakowania i z puddingu śliwkowego, ale moim zdaniem spisałyśmy się całkiem dobrze. Mimo to byłam wyczerpana, a przecież jeszcze nawet nie wzięłyśmy się do pracy. Zaczynałam rozumieć, dlaczego rodzice nie zawsze cieszyli się na święta tak bardzo jak my.

Kiedy o tym wszystkim rozmawiałyśmy, pojawił się jeszcze jeden problem: zachowanie prezentów w tajemnicy przed dziećmi. Zwłaszcza Casey była małą spryciarą. Wiedziała, że rozmawiamy o Bożym Narodzeniu, i ciągle chciała być na bieżąco. Wymyślałyśmy jej różne sprawy do załatwienia, ale podkradała się do nas między drzewami, żeby podsłuchiwać. Ten rok w Stratton nauczył dzikusów sztuczek, z których korzystali jeszcze długo potem. Na szczęście nasz rok z lesie też nie poszedł na marne, więc chyba ostatecznie Casey usłyszała niewiele.

Kazałam jej usiąść na pniaku i po raz kolejny obejrzałam jej rękę. Trudno było zdecydować, co z nią zrobić. Z tego, co widziałam, goiła się dość dobrze, ale nie chciałam jej za bardzo ruszać. Zajmowanie się rannymi ludźmi kosztowało mnie o wiele więcej stresu niż zajmowanie się rannymi zwierzętami na farmie. Zdjęłam taśmy opasujące rękę. Robiłam to codziennie i prałam je w strumieniu razem z własnymi rzeczami. Ręka wyglądała blado i była trochę chudsza od drugiej, ale można się było tego spodziewać. Nie była do końca prosta, chociaż nie wiedziałam, czy to cokolwiek znaczy. Opuchlizna zdecydowanie się zmniejszyła.

- I jak? - zapytałam Casey.

- Nie wiem. Chyba jest coraz lepiej. Już tak bardzo nie boli.

- Lepiej, żebyś nią już w nic nie uderzała.

Dzień wcześniej Casey uderzyła się w rękę, kiedy goniła Natalie między drzewami, i słysząc krzyk bólu, wszyscy popędziliśmy w tamtą stronę. Nie wystraszyliśmy się wyłącznie dlatego, że mogła znowu uszkodzić sobie rękę, ale też dlatego, że hałas mógł na nas ściągnąć wielkie niebezpieczeństwo. Jeśli na Szwie Krawca węszył akurat jakiś patrol, na pewno ją usłyszał.

Naprawdę wszystko wskazywało na to, że upłynie dużo czasu, zanim Casey w końcu wyzdrowieje.

Następnego dnia nasze zapasy żywności wyglądały naprawdę nędznie. Chłopcy unikali tego tematu, bo byliśmy skonani i myśl o wdrapaniu się z powrotem na Szew Krawca, przejściu na drugą stronę i wpakowaniu się w kolejną niebezpieczną sytuację żadnemu z nas nie wydawała się kusząca. Mimo to wytłumaczyłam sobie, że nie ma sensu tego odwlekać. Jeśli trzeba pocierpieć, równie dobrze można mieć to już za sobą. Nie byłam o tym do końca przekonana, ale odgrodziłam się od wszystkich wątpliwości i zaczęłam, aż cała nasza piątka będzie razem, po podwieczorku.

Zmywaliśmy naczynia w strumieniu. Dzieci były przy ognisku. Nie mieliśmy wystarczająco dużo talerzy, więc przy „brudzących” posiłkach, których nie dało się zjeść palcami, jedliśmy na dwie zmiany: najpierw dzieci, potem my. Szorując zawzięcie, żeby oderwać od dna kawałek przypalonego makaronu, powiedziałam pewnym głosem:

- Dziś wieczorem musimy wyruszyć po jedzenie. Nie ma sensu dłużej tego odkładać. Czaimy się jak oposy w sadzie.

Wymusiłam na nich zgodę. Jedyne problem polegał na tym, że najwyraźniej tylko ja zostałam automatycznie uznana za

członkinię ekspedycji. Po dalszych rozmowach uzgodniliśmy, że potrzeba jeszcze dwóch osób. Szczęśliwymi kandydatami zostali Homer i Fi. Nikt nie powiedział głośno, dlaczego właśnie oni, ale ja znałam powód. Zostali wytypowani dlatego, że nie mogliśmy zostawić w Piekło Fi z Kevinem. Gdyby coś poszło nie tak - a skoro wokół Szwu Krawca weszli żołnierze, taki okropny scenariusz był całkiem prawdopodobny - nie mogliśmy być pewni, że Fi i Kevin sobie poradzą. Fi była na swój sposób dość silna, ale - jak zresztą każdy z nas - miała określoną wytrzymałość. Poradzenie sobie z taką sytuacją jedynie z Kevinem u boku byłoby ponad jej siły.

Jakimś cudem znaleźliśmy się na Szwie Krawca. Nawet nie zauważyłam, kiedy tam dotarliśmy. Gdy już zapadła decyzja, wszystko potoczyło się dość szybko. A z pustymi plecakami i bez strzelb było znacznie łatwiej. Mknęłam po stromych zboczach Piekła, marząc o tym, żeby życie zawsze było takie łatwe. Plecak na moich plecach był leciutki. Ciężył mi tylko balast w głowie, ale już się do niego przyzwyczajałam. Było tyle niedokończonych spraw. Oczywiście dzieci. Złamana ręka Casey, nieustanny płacz Natalie, długie milczenie Jacka. I głuchota Gavina. To było dla mnie coś nowego. Nie znałam żadnych głuchych ludzi oprócz pana Jaya, ale on miał ze sto dziesięć lat.

Do tego była jeszcze moja kłótnia z Lee, słowa, które usłyszałam od Fi i Homera, obecność obcych ludzi na Szwie Krawca, niedostatek jedzenia... Ta lista wydawała się nie mieć końca.

Ale jakimś cudem, kiedy tak stałam w czystym nocnym powietrzu, pod niebem jaśniejącym jak deszcz iskierek, żadna z tych spraw nie miała dla mnie znaczenia. Uleciały ze mnie. To było jak zrzucenie ubrań przed wejściem pod prysznic. Poczulałam, że znowu wróciłam do korzeni. W tamtej chwili miałam

wrażenie, że jestem bardzo blisko Boga. Myślę, że człowiek może się tak poczuć tylko wtedy, kiedy patrzy na niebo. Czasami się zastanawiałam, jak musiało wyglądać w dawnych czasach, zanim dotarło do niego zanieczyszczenie. Nawet tutaj, w tym czystym powietrzu, było mnóstwo niewidzialnych, szkodliwych substancji. Patrzyliśmy na gwiazdy przez brudny, zamazany ekran. Tysiąc lat temu gwiazdy płonęły pewnie prawie tak mocno jak słońce za dnia. Nic dziwnego, że te wszystkie stare cywilizacje poświęcały im tyle uwagi, opowiadając swoje historie i myśląc o swoich bogach. Trudno byłoby zignorować niebo, które jaśniało jak miliard ognisk.

Ale nie było czasu o tym rozmyślać. Przez dziesięć minut staliśmy w milczeniu jak na Dniu Anzac albo czymś w tym rodzaju. Patrzyliśmy i nasłuchiwalismy. Podziwialiśmy płonące niebo, ale był też bardziej praktyczny powód: chcieliśmy zachować ostrożność. Jeśli na Szwie Krawca byli ludzie, chcieliśmy się dowiedzieć o ich obecności, zanim oni dowiedzą się o naszej. Okazało się jednak, że jest dość cicho. I była to dobra cisza. Nie ta głucha, kiedy w powietrzu czuje się potworne napięcie. I nie ta wypełniona odgłosami niepokoju, które słyszy się w lesie, kiedy coś jest nie tak: trzepotaniem skrzydeł paszczaka, szuraniem łap oposa o pień drzewa, gwałtownym wzbiciem się do lotu ptaka, który jeszcze przed chwilą spokojnie spał. Nic z tych rzeczy.

No więc wszystko wydawało się w porządku, kiedy Homer spojrzął na mnie i pytająco uniósł brwi. Kiwnęłam głową.

Ruszyliśmy spokojnie i cicho. Homer przodem, za nim Fi, ja na końcu. Nie tyle szliśmy, ile skradaliśmy się. Miękkie kroki. Pan Addams, mój wuefista z liceum w Wirrawee, mówił o miękkich rękach, kiedy uczył nas grać w krykieta. „Najlepsi

zawodnicy uderzają miękkimi rękami". Nie do końca wiedziałam, o co mu chodzi, ale zapamiętałam to wyrażenie, bo zabawnie brzmiało. Idąc po Szwie Krawca, skupiałam się na miękkich stopach.

Przeszliśmy jakieś dwa kilometry - mieliśmy zejść z grani i ruszyć w stronę mojego domu - i nagle usłyszałam dźwięk, który nie pasował do otoczenia. Nawet nie wiedziałam, co to było. Ale w lesie nie sposób nie rozpoznać obcego dźwięku. Myślę, że prawdopodobnie czyjś but zaszurał o skałę. W każdym razie od razu wiedziałam, że mamy problem. Fi była trochę za daleko, żeby ją zawołać, ale i tak nie jestem pewna, czy bym zaryzykowała. Zamiast tego podniosłam kamyk i rzuciłam w nią. Nie zauważyła - cała Fi. Nadal cicho sunęła po skałach. To była straszna chwila. Myślałam, że jeśli narobię hałasu, mogę dostać kulkę w plecy, ale oczywiście nie chciałam pozwolić, żeby Fi i Homer szli dalej, skoro czyhało na nas niebezpieczeństwo. Dlatego pobiegłam. Problem w tym, że kiedy przyspieszyłam, sprzączki mojego pustego plecaka zaczęły stukać i podzwaniać. Wcześniej nie zadałam sobie trudu, żeby je wszystkie pozapinać. Przeklęłam się w myślach, że nie pomyślałam o tym wcześniej. Ale nawet ten hałas nie zwrócił uwagi Fi. Odwróciła się dopiero, kiedy ją klepnęłam w ramię. No i porządnie się wystraszyła. Podskoczyła, jakby wylądował jej na plecach spadający niedźwiedź. Szkoda, że nie była uważniejsza, ale na tym właśnie polega problem, kiedy idzie się w środku grupy: człowiek myśli, że może się wyluzować.

Przynajmniej Homer zareagował szybko. Usłyszał odgłos, który wydała podskakująca Fi i sam też podskoczył, a potem odwrócił się i bardzo szybko do nas podszedł. W dodatku cicho, jak na tak wielkiego faceta. Żadne z nich się nie odezwało.

Tylko na mnie patrzyli. Kiedy pokazałam za siebie, wtopili się w rząd drzew tak błyskawicznie, że byłam pod sporym wrażeniem. Chyba po raz pierwszy do mnie dotarło, że nauczyliśmy się paru rzeczy, że w zasadzie całkiem dobrze sobie radzimy. Zostaliśmy prawdziwymi leśnymi wojownikami, nawet Fi.

Przed wojną najbardziej ryzykowną rzeczą, na jaką mogłaby się zdobyć, było zostanie na imprezie do północy.

Ale nie mieliśmy czasu na gratulacje. Wtopiłam się w zarośla równie szybko jak tamci dwoje i stanąwszy za średniej wielkości pniem, spojrzałam na szlak. Poczułam ciepło ciała Homera, a potem jego gorący oddech, kiedy szepnął mi do ucha:

- Co jest?

- Usłyszałam coś. -Co?

- Nie wiem. Chyba czyjś but.

Homer się odsunął. Stałam i czekałam. Chłodny wietrzyk muskał mi nogi i kark. Kilka minut wcześniej myślałam, że jest słodki i przyjemny. Teraz wydawał się zimny i nieprzyjazny. Ale myślałam o nim równie krótko jak o tym, że staliśmy się wspaniałymi leśnymi wojownikami. Zamiast tego wyteżyłam słuch tak mocno, że prawie poczułam, jak wydłużają mi się uszy. Przypominałam tego gościa ze sztuki Szekspira - tego, który zmienił się w osła. Ale choć bardzo się starałam, niczego więcej nie usłyszałam.

Po piętnastu minutach Homer znowu zbliżył się do mnie w ciemności. Spojrzał na mnie z wielkim znakiem zapytania wypisanym na twarzy. Wiedziałam, o co pyta. „Jesteś pewna, że coś słyszałaś?” Nie musiał tego mówić.

Oczywiście wtedy miałam już wątpliwości. Na początku byłam przekonana, że ktoś za nami idzie. Ale im dłużej stałam

zaniepokojona za moim drzewem, tym bardziej w to wątpiłam. Problem w tym, że nocą w lesie rozlega się mnóstwo dźwięków. Zawsze odnosi się wrażenie, że po zmroku jest ich więcej niż za dnia. Wątpię, żeby naprawdę tak było. Po prostu nocą słyszy się je bardzo wyraźnie. Wyróżniają się. Wiedziałam, że coś usłyszałam. Tylko nie wiedziałam co.

Poza tym czas naglił. Jeśli mieliśmy dotrzeć do dość mocno oddalonej farmy - a musieliśmy pokonać spory odcinek, żeby nikt nie mógł nas skojarzyć z Piełem - musieliśmy ruszać w drogę. O świcie powinniśmy byli być z powrotem w górach, z powrotem w najbezpieczniejszym miejscu, jakie znaliśmy.

Dlatego gdy minęło następne piętnaście minut, spojrzałam na Homera i Fi, wzruszyłam ramionami i wyszłam na skraj szlaku. Jeszcze parę minut staliśmy i nasłuchiwalismy, a potem zajęliśmy te same pozycje co wcześniej: ja miałam iść na końcu. No i ruszyliśmy.

Szlak był poorany koleinami i nierówny, a po drodze na nasze pastwiska oferował kilka niespodzianek. Tam, gdzie wypłukały go deszcze, zrobiliśmy z tatą kilka objazdów - podobnie jak w paru innych miejscach, gdzie koleiny były tak głębokie, że nie podołałby im nawet samochód z napędem na cztery koła. Jeden z takich objazdów był wąską dróżką porośniętą miękką trawą i prowadził po płaskim kawałku ziemi. Homer poszedł tamtędy, żebyśmy mogli ominąć te głębokie koleiny. Kiedy szliśmy po trawie, usłyszałam następny dźwięk, który na pewno nie pasował do otoczenia.

Gwałtownie się zatrzymałam. Tym razem Fi też uważała i po dwóch, trzech krokach również przystanąła. Homer, obserwując nas oczami z tyłu głowy, znieruchomiał natychmiast. Wszyscy cicho zeszliśmy ze ścieżki na lewą stronę. Podeszłam

na paluszkach do Fi i stanęłam obok niej dokładnie w tej samej chwili co Homer.

- No i? - szepnął.

- Znowu to samo.

- Co dokładnie? — zapytała Fi.

- Za pierwszym razem chyba but. Prawdopodobnie na skale. Tym razem złamana gałązka.

- Gdzie?

- Na głównym szlaku. W miejscu, gdzie z niego zeszliśmy. Przez kilka minut nikt się nie odzywał. Czekaliśmy i nasłuchiwalismy z niepokojem.

Wreszcie Homer mruknął do mnie:

- Musimy przejąć inicjatywę.

- Właśnie o tym myślałam.

Ostatnią rzeczą, jakiej chciałam, było bezczynne czekanie, aż ktoś nas złapie. Nie mówiąc nic więcej, ruszyliśmy z Homerem w przeciwnych kierunkach. Ja poszłam w prawo, a on w lewo. Fi została na miejscu, jakby wiedziała, że to nie jej bajka.

Poruszałam się bardzo ostrożnie. Podnosiłam jedną stopę, trzymałam ją w górze, rozglądając się za dobrym miejscem, a potem stawiałam ją zdecydowanie, ale delikatnie. Później następną. Jednocześnie wpatrywałam się w ciemność, szukając najmniejszych śladów patroli. W pewnym sensie - choć zabrzmiało to niewiarygodnie głupio - prawie miałam nadzieję, że są tam jacyś żołnierze. Gdyby ich nie było, wyszłabym na kompletną idiotkę. I zatrzymałabym naszą wyprawę na niebezpiecznie długi czas.

Oczywiście tak naprawdę nie chciałam, żebym tam byli żołnierze. Po prostu nie mogłam znieść myśli o docinkach, jakie zaserwuje mi Homer, jeśli się okaże, że sprawcą zamieszania był wombat.

Dwadzieścia metrów dalej znowu usłyszałam trzask łamanej gałązki. Zatrzymałam się i zaczęłam nasłuchiwać, węsząc na wietrze jak pies dingo. I wreszcie nabrałam pewności, że się nie pomyliłam. Ktoś tam był. Czulałam jego zapach, czulałam w powietrzu delikatne wibracje, kiedy się poruszał. W zasadzie niczego więcej nie potrzebowałam wiedzieć. Byłam gotowa, żeby się wycofać. Teraz, kiedy pozbyłam się wątpliwości, wszystko stało się prostsze. Będziemy musieli porzucić plan wyprawy, uciec do lasu, wrócić okrężną drogą na Szew Krawca i równocześnie spróbować odkryć, kto nas śledzi w ciemności.

Zrobiłam trzy kroki do tyłu, ale wtedy zauważyłam jakiś ruch. Wyglądało na to, że osoba na szlaku poszła w lewo, trochę dalej w dół. Poczułam, jak w żołądku eksploduje mi strach. Byłam całkiem pewna, że ten człowiek przesunął się w odpowiedzi na mój ruch. Nie byłam taka ostrożna i cicha, jak mi się zdawało. Nagle ta cała sytuacja, która już na początku była wystarczająco niebezpieczna, wymknęła się spod kontroli. A po chwili zrozumiałam coś jeszcze gorszego: przesuwał się w lewo, żołnierz mógł się natknąć na Homera.

Nie mieliśmy przy sobie broni, ale byłam na tyle zdesperowana, żeby zacząć jej szukać. Przykucnęłam i przesunęłam palcami po ziemi. Leżało tam mnóstwo kamyków, ale gdy sięgnęłam dalej, moje palce zacisnęły się na kamieniu wielkości pomarańczy. Wolałabym coś jeszcze większego, ale to musiało mi wystarczyć. Złapałam go i zaczęłam się skradać. Musiałam być szybsza niż przed chwilą, więc przyplącałam to większym hałasem.

Potem wszystko rozegrało się w jednej chwili. Jakby partia szachów zmieniła się w mecz piłkarski. Czarna plama w ciemności przede mną szybko przesunęła się jeszcze bardziej w lewo.

W tym samym czasie zobaczyłam zwałistą postać Homera na szlaku. Szedł w górę, w stronę tego intruza. Krzyknął, jakby zaskoczony, kiedy zdał sobie sprawę, że za chwilę na siebie wpadną. Ja też krzyknęłam, żeby odwrócić uwagę napastnika, i z całej siły rzuciłam w niego kamieniem. Kamień w starciu z karabinem nie miał większych szans, ale niczego więcej nie miałam. Chybiłam, choć tylko o szerokość małego palca. I już pędziłam w górę, prosto na tego człowieka, wyjąc jak spragniona krowa. Robiłam wszystko, żeby odwrócić jego uwagę i dać Homerowi szansę.

Dopadliśmy go z Homerem z dwóch stron. Albo raczej dopadlibyśmy. Przybiegliśmy z przeciwnych kierunków, jednocześnie. Miał szczęście, że go nie zmiażdżyliśmy. Połamalibyśmy mu wszystkie kości. Zasłużył na to. Przeklęty Gavin. Zasłużył na to, żeby zmienić się w kanapkę ze stekiem. A najgorsze było to, że jemu to wszystko wydawało się zabawne. Śmiał się, kiedy go złapaliśmy. Jasne, to był nerwowy śmiech, ale jednak śmiech. Gavin okazał się małym twardzielem, ale czasami się zastanawiałam, do jakiego stopnia wojna pozbawiła go zdrowego rozsądku i zdolności oceny sytuacji. A tamtej nocy zastanawiałam się nad tym naprawdę intensywnie.

- Co ty wyrabiasz, kretynie? - zdenerwował się Homer, potrząsając nim jak zatkaną butelką ketchupu.

Był jeszcze bardziej wściekły niż ja. Ja byłam zła, ale chyba przede wszystkim mi ulżyło. Mógł nas śledzić ktoś znacznie gorszy niż Gavin.

Nie wiem, ile Gavin potrafił wyczytać z ruchu ust w ciemności, ale nie trzeba było być Einsteinem, żeby się domyślić, o co pytamy. Uśmiechnął się do Homera i powiedział:

- Śledziłem was.

Nie trzeba było być Einsteinem, żeby się tego domyślić.

- Po co? - zapytałam, ale Gavin patrzył na Homera, więc Homer powtórzył moje pytanie.

Gavin wzruszył ramionami.

- Nie jestem dzieckiem. Cokolwiek robicie, mogę to robić z wami. Też chciałem iść.

Zauważyłam, że tak naprawdę bardzo się denerwuje. Z bliska było widać, jak się trzęsie. A nie licząc tego jego uśmiechu, wyglądał na zaniepokojonego.

Homer rzucił mi bezradne spojrzenie.

- Jak myślisz? Co z nim zrobimy? Już podjęłam decyzję.

- Musimy go wziąć ze sobą. Inaczej znowu za nami pójdzie. Chyba że wszyscy razem odprowadzimy go do Piekła.

- Nie ma mowy. - Homer od razu odrzucił tę ostatnią możliwość. Potarł brodę dłonią. - Zdążymy jeszcze pójść po jedzenie?

- Chyba tak. Zależy od tego, jak daleko chcemy dotrzeć. Myślałam o gospodarstwie Whittakerów. Mamy czas, ale nie wrócimy do Piekła przed świtem.

- To chyba niewielki problem. Możemy gdzieś tutaj przeczekać.

Więc decyzja została podjęta. Znowu ruszyliśmy w drogę, idąc tak szybko, jak się odważyliśmy. Trzeba przyznać, że Gavin nadażał za nami bez problemu. Szedł drugi od końca, między mną a Fi, więc dobrze go widziałam. Najwyraźniej był w stanie wytrzymać takie tempo. Minęliśmy pierwsze budynki mojego gospodarstwa - najpierw warsztat, a potem stodołę - ale byliśmy za daleko, żeby zobaczyć dom. Może to i lepiej. Przeważnie nie czułam już smutku, który tak często mnie paraliżował,

odkąd zaczęła się wojna, ale nigdy nie wiedziałam, kiedy znowu mnie dopadnie, a zobaczenie w środku nocy własnego domu zamieszkanego przez obcych ludzi... Lepiej było nie podchodzić za blisko.

Gdybyśmy szli drogą, dom Whittakerów byłby oddalony od naszego o piętnaście kilometrów, ale to nie miało większego znaczenia. Maszerowaliśmy prosto przez pola. Homer i ja znaleźliśmy teren, więc kiedy już oddaliliśmy się od budynków, mogliśmy się wyluzować - przynajmniej psychicznie. Wiedzieliśmy, że o drugiej w nocy na tej otwartej przestrzeni nikt nas nie usłyszy. Pokonując kilometr za kilometrem, mieliśmy wyłącznie czworonogie albo dwuskrzydłe towarzystwo - no, jeśli uwzględnić kangury, to dwunogie też. Poza tym było jaśniej, bo żadne drzewa nie zasłaniały gwiazd i księżyca. Szliśmy tak szybko - straciliśmy mnóstwo czasu, więc nie było innego wyjścia - że z trudem znajdowaliśmy siłę do rozmowy. Nie wiem, jak inni, ale ja zrobiłam się czerwona i sapałam.

Dość dobrze utrzymywaliśmy tempo. Oczywiście po jakimś czasie zwolniliśmy, ale się nie zatrzymaliśmy. Homer dwa razy próbował przekonać Gavina, żeby dał sobie spokój, żeby ukrył się gdzieś w pobliżu i zaczekał, aż będziemy wracali. Ale Gavin od razu odmawiał. Może myślał, że po niego nie wrócimy. Homer nie nalegał. Na to też nie było czasu.

Dom Whittakerów był duży i rozległy, otoczony słynnym ogrodem. Nie mieliśmy wątpliwości, że jest zasiedlony: taki piękny dom z pewnością został zajęty już na samym początku.

Myślałam, że ogród zapewni nam dobrą osłonę. Były w nim duże krzaki, rabaty i tego typu rzeczy. Nie do końca wiedziałam, jak włamiemy się do środka. W Piekło rozmawialiśmy o tym jak gdyby nigdy nic, jakby to była najłatwiejsza część roboty, ale

teraz, kiedy już byliśmy blisko, nagle sprawa wydała się trochę bardziej skomplikowana.

Pięć po trzeciej weszliśmy na wzgórze i zobaczyliśmy dom Whittakerów. Błyszczący dach lśnił w świetle księżyca. Tak, dom był naprawdę duży. Parterowy, ale zajmował z hektar powierzchni. No, w każdym razie tak to wyglądało. Na nasze szczęście teren wokół domu był zadrzewiony.

Położyliśmy się na wzgórzu i podczołgaliśmy się, żeby lepiej widzieć. Gavin był tuż obok mnie i przez kilka minut słyszałam tylko jego sapanie. Wyglądało na to, że wysiłek, jaki włożył w dotrzymanie nam kroku, kosztował go więcej, niż przypuszczałam. Jedno musiałam mu przyznać: w razie potrzeby umiał zachować ciszę. Musiało mu być trudno, bo przecież nie słyszał, czy hałasuje, czy nie, ale gdzieś po drodze, może w Strat-ton, może jeszcze przed wojną, opanował tę umiejętność. I całe szczęście. Dla niego i jego paczki była to pewnie kwestia życia i śmierci, a teraz stała się kwestią życia i śmierci dla nas.

Wielkie ciało Homera podczołgało się do mnie od tyłu i opadło po lewej stronie.

- Co o tym myślisz?

Odkąd zaczęła się wojna, zadawano mi to pytanie tysiące razy. „Co teraz zrobimy?”

I nie po raz pierwszy nie miałam gotowej odpowiedzi.

- Nie będzie łatwo - powiedziałam bez większego przekonania. - Ale musimy się dowiedzieć, gdzie jest kuchnia.

- Nie wiesz?

- Nie. A powinnam?

- Myślałem, że znasz ten dom.

- Skąd ci to przyszło do głowy? Nigdy w życiu tu nie byłam. Słyszałam tylko, jak mówili o nim moi rodzice.

Westchnął, jakby chciał powiedzieć: „No to cholernie nam pomogłaś”, i znowu się odsunął. Słyszałam pomruk jego głosu, kiedy skarżył się na mnie Fi.

Podczołgałam się do nich.

- Chodźcie - powiedziałam - sprawdźmy od drugiej strony. Tam powinna być kuchnia.

Otoczyliśmy dom szerokim łukiem. Już wkrótce było jasne, gdzie jest kuchnia. Whittakerowie dość mocno rozbudowali tylną część domu po prawej stronie, wykorzystując do tego cegłę w tym samym kolorze, żeby dobudówka się nie odróżniała. Ale w świetle księżyca było widać, że nowe cegły mają większy połysk. Poza tym wstawili tam większe okna. Przez trzy pośrodku zobaczyłam elementy wyposażenia kuchni - zwłaszcza błyszczący stalowy zlewozmywak rzucał się w oczy.

Podkrađłam się trochę bliżej. Najpierw pełzłam na brzuchu, a potem nisko się pochyliłam i pobiegłam. W domu było cicho, więc położyłam na szali swoje życie i podbiegłam aż do parapetu. No bo jakie niebezpieczeństwo mogło nam grozić o wpół do czwartej w nocy? Stałam na donicy i zajrzałam do środka. Tak, to była kuchnia. Zobaczyłam dwie ogromne lodówki przypominające twarde białe duchy i pociekła mi ślinka na myśl o tym, co mogą zawierać. Czyjaś ręka złapała mnie za ramię. Podskoczyłam i pisnęłam ze strachu.

- Cii - uciszył mnie Homer. - Co tam widzisz?

- To kuchnia. Widzę lodówki. I dużą misę z owocami. Homer spróbował otworzyć okno, ale albo było zamknięte,

albo za bardzo zapieczone, żeby dało się je otworzyć bez narobienia hałasu. Podeszłam do sąsiedniego: rezultat był taki sam. Czas szybko uciekał, a nie dostaliśmy się jeszcze do domu. Zdjęłam kurtkę, przyłożyłam ją do szyby i mocno, celnie uderzyłam

pięścią, trochę jak wtedy, kiedy włamywaliśmy się do sklepu w Wirrawee. Tym razem szkło pękło z łatwością, ale wpadło do kuchni z brzękiem, który wydawał się nie mieć końca.

- Jezu Chryste - przeraził się Homer.

Obydwoje bardzo szybko się wycofaliśmy i dołączyliśmy do Fi i Gavina, którzy obserwowali to wszystko zza brzozy. W domu nic się nie poruszyło, ale uznaliśmy, że lepiej odczekać kilka minut, zanim znowu podejdziemy do okna.

To czekanie trochę mnie przerażało. Cały czas wydawało mi się, że słyszę dobiegające z tyłu kroki. Może to dlatego, że wcześniej Homer tak niespodziewanie złapał mnie za ramię. Albo dlatego, że Gavin śledził nas w drodze ze Szwu Krawca. Rozglądałam się tak często, że pozostali też zaczęli się denerwować. W końcu Fi zapytała:

- Ellie, spodziewasz się jakichś gości?

Dziesięć minut później wróciliśmy z Homerem pod okno. Było już tak późno, że moim zdaniem nie mieliśmy żadnych szans na dostanie się do Piekła przed świtem. Kurczowo trzymałam się nadziei, że może jednak nam się uda. Już wiedziałam, że będziemy musieli poszukać jakiegoś bezpiecznego miejsca, w którym przeczekamy do zmroku. To mnie wkurzało i dobijało. Miałam dość ukrywania się, miałam dość nudy tych długich godzin spędzanych w jakichś norach albo ciemnych pomieszczeniach. Myśl o tym, że znowu nas to czeka, całkowicie mnie rozpraszała. W zasadzie bardziej skupiałam się na niej niż na tym, co mamy zrobić.

Podeszliśmy do okna i czekałam, aż Homer usunie ostre kawałki szkła, które zostały w ramie. Wyglądało na to, że w środku jest spokojnie, więc szybko skinęłam ręką na Fi. Jak na złość, razem z nią zjawił się też Gavin. Nie zauważyłam go, dopóki nie

usłyszałam cichego, stłumionego kaszlu. Obejrzałam się i zobaczyłam, że zbliża się do nas, wyprzedzając Fi o kilka metrów, jak rozochocony pies, który zawsze musi iść przodem. Nie mogłam w to uwierzyć. Z wściekłością machałam, dając mu znaki, żeby zawrócił. Co za marnotrawstwo energii. Gavin udał, że mnie nie widzi, a Fi przewróciła oczami i szepnęła: - On jest niemożliwy.

Oczywiście kłócenie się z Gavinem pod oknem kuchni wydawało się kiepskim pomysłem. Byliśmy na niego skazani. Nie mieliśmy tego w planach, ale z drugiej strony, jeśli mógł ponieść trochę jedzenia - no cóż, każda pomoc była mile widziana.

Dolna część okna znajdowała się na wysokości mojej brody, a donica, na której stałam, była za niska. Homer musiał mnie podsadzić. Przycupnęłam na chwilę na parapecie jak tresowana małpa i rozejrzałam się po ciemnym pomieszczeniu. Nie usłyszałam niczego z wyjątkiem szumu lodówki. Mrugały do mnie dwa czerwone światełka. Mogły być oczami jakiegoś śmiercionośnego gada. Ale prawdopodobnie były bateriami ładującymi się przez noc, zasilającymi latarkę albo telefon. Zignorowałam je i najciszej, jak umiałam, zeskoczyłam na podłogę. Fi zeskoczyła równie lekko, potem Gavin - jeszcze ciszej - i w końcu Homer: ciężko jak hipopotam. Kiedy wylądował na podłodze, w lodówce coś zabrzęczało.

Podeszłam do drzwi po lewej i delikatnie je uchylłam. Na długim korytarzu było ciemno i cicho. Stałam tam przez trzy albo cztery minuty, a reszta czekała za mną. Ale dom nadal spał. Zamknęłam drzwi.

No więc wszyscy czworo byliśmy w kuchni i nie mieliśmy czasu do stracenia. Mieliśmy trzy plecaki, które trzeba było wypełnić, ale pomyślałam, że jeśli znajdę jakąś torbę dla Gavina,

to przynajmniej będzie mógł zapłacić za wycieczkę. Podeszłam do wysokiej szafki na końcu pomieszczenia i zajrzałam do niej. Tak jak myślałam, to był schowek na szczotki, ale w środku nie znalazłam żadnych toreb. Zaczęłam otwierać duże głębokie szuflady nad podłogą i w drugiej znalazłam mnóstwo plastikowych reklamówek, stosy starych reklam i dwie sznurkowe siatki. Whittakerowie byli dość eleganckimi ludźmi, ale to było ich mniej eleganckie oblicze. Dałam Gavinowi siatki i trzy reklamówki, a potem dołączyłam do Homera i Fi, którzy opróżniali spiżarnię.

Trafiliśmy doskonale. Jasne, mnóstwo tych rzeczy nie mogło nam się przydać. Przyprawy, marynaty, zioła, sosy: to były luksusy, a my nie mogliśmy sobie pozwolić na marnowanie miejsca w plecakach ani na dokładanie sobie ciężarów. Ale znaleźliśmy trochę smacznych orzechów: nerkowców, migdałów i makadamii. Poza tym był tam duży pełny worek ryżu - dwadzieścia pięć kilo - i drugi, w połowie opróżniony. Do tego dość sporo konserw. Trochę tuńczyka, trochę ananasa i trochę pieczonej fasoli. Homer mierzył wzrokiem dwudziestopięciokilowy worek, jakby miał ochotę zarzucić go sobie na ramię i uciec, ale nawet dla Homera to mogło być za wiele. Udało nam się za to wcisnąć do jego plecaka drugi worek, wypełniony w połowie. Wymagało to odrobiny upychania i ugniatania. Kiedy Homer zapinał sprzączki, pomyślałam, że już ze względu na ten ryż wyprawa jest warta wysiłku. Fi z entuzjazmem ładowała do plecaka konserwy.

- Zaczekaj chwilę - szepnęłam. - Nie dasz rady ich wszystkich unieść.

Przełożyłam kilka puszek do swojego plecaka, a kilka dałam Gavinowi. Dorzuciłam mnóstwo różnych torebek: polentę, fasolkę borlotti, cannellini, kidney, groch łuskany. A potem

dwanaście opakowań ryżowych przekąsek, kilka paczek spaghetti oraz trochę innych różności.

Byliśmy tam zaledwie sześć albo osiem minut. Kiedy ruszyliśmy z powrotem do okna, sięgnęłam po świeże owoce, które następnie rzuciłam Homerowi i Gavinowi. Ucieszyłam się, widząc, że Fi bierze jeszcze trochę warzyw z czerwonych plastikowych półek obok mikrofalówki. „Nie mogło być lepiej - pomyślałam. - Naprawdę świetnie nam poszło”.

I właśnie wtedy gwałtownie otworzyły się drzwi.

Nie było dla nas nadziei. Jak śpiewał Bruce Springsteen: „*Nowhere to run, ain't got nowhere to go*” (nie mam dokąd uciec, nie mam dokąd iść). Mój tata grał tę piosenkę z tysiąc razy, a słyszałam ją z milion. Zostaliśmy zaskoczeni między drzwiami i oknem, choć równie dobrze mogliśmy być o kilometr od każdego z nich.

Wpadli do kuchni jak bydlę wypuszczone z ciasnej zagrody. Wbiegli tak gwałtownie i szybko, że czwarty facet dostał w twarz drzwiami. Za każdym razem, kiedy w moim życiu działo się coś naprawdę przerażającego, zawsze znajdował się w tym jakiś zabawny moment. Albo raczej chwila, która byłaby zabawna w innych okolicznościach. Tak jak wtedy, kiedy nas złapano i Kevin głośno pierdnął. Ten facet, którego uderzyły drzwi, zatoczył się na podłogę, ale zauważyłam to tylko kątem oka, bo miałam ważniejsze sprawy na głowie.

Chwyciłam Gavina i przycisnęłam go do siebie. Zrobił się prawdziwy kocioł. Homer był większy niż którykolwiek z tych mężczyzn i rzucił się prosto na nich, w stronę drzwi. Nie wiem, czy miał jakiś konkretny cel, może chciał zatrzaskać drzwi, żeby odciąć drogę pozostałym, i rozprawić się z tymi, którzy

już zdążyli wbiec. Ale prawdopodobnie kierował się instynktem. Dwaj mężczyźni zagrodzili mu drogę, a po chwili dołączył do nich trzeci. Homer odepchnął pierwszego z nich na stojak ze starymi żeliwnymi patelniami. W tym momencie ktoś zapalił światło, więc wyraźnie zobaczyłam patelnie toczące się po podłodze i leżącego wśród nich człowieka. Ale Homer przeginał się w tył pod naporem dwóch pozostałych napastników. Potem trzeci dał susa przez całą kuchnię i runął mu prosto na głowę. Przez chwilę widziałam tylko gmatwaninę wijących się ciał. Puściłam Gavina i sięgnęłam po jedną z żeliwnych patelni średniej wielkości. Wzięłam zamach i wycelowałam w najbliższą głowę, ale nie trafiłam i zamiast tego uderzyłam faceta w ramię. To chyba też go zabolalo. Nadbiegło więcej ludzi. Dwaj chwycili mnie za ręce i na tym skończył się mój wkład w walkę z wrogiem. Ale teraz kuchnia była już prawie pełna, zbiegli się głównie dwudziesto- i trzydziestoparoletni mężczyźni, choć zauważyłam też kilku nastolatków i trzy albo cztery kobiety. Kiedy tylko wypuściłam Gavina, rzucił się na kłębowisko siłujących się ciał i przylgnął do czyichś nóg jak ludzka pijawka.

Odepchnęli go, ale wtedy z młyna podniósł się Homer. To jedna z najbardziej odjazdowych akcji, jakie kiedykolwiek widziałam. Miał zakrwawioną twarz i włosy. Mimo to górował nad nimi wszystkimi. Potrzebował tylko pochodni i mógłby zostać Statuą Wolności. Zrzucił z siebie jeszcze dwóch gości, odpychając ich w przeciwne strony. Najzwyczajniej ich z siebie strząsnął, jakby miał do czynienia ze szmacianymi kukiełkami. Ruszył na niego jakiś mężczyzna i Homer rąbnął go głową. Rozległ się głuchy dźwięk, jakby ktoś rozłupał arbuza. Homer znowu ruszył do drzwi, rozganiając ludzi kopniakami. Rozpaczliwie próbowałam się wyrwać tym, którzy mnie trzymali, ale nie

byłam taka silna jak Homer, a oni ściskali mi nadgarstki, jakby mieli ręce ze stali. Jakiś facet skoczył Homerowi na plecy i próbował go powalić na ziemię. Udało mu się złapać Homera za gardło i ciągnął go do tyłu. Homer zaczął odrywać te ręce od gardła swoimi wielkimi łapskami, ale zatoczył się i dwaj młodzi faceci zobaczyli, że w końcu nadarzyła się wspaniała okazja. Natarli równocześnie, celując w brzuch, i znowu powalili Homera na ziemię. Tym razem się nie podniósł.

Widziałam, jak obute nogi zadają kopniaki i jak fruują pięści, ale postać Homera mignęła mi dopiero pięć minut później, kiedy wszyscy zaczęli się z niego podnosić i liczyć własne siniaki. Najpierw zobaczyłam nogi Homera, a potem jedno ramię. W głębi serca wpadłam w histerię, ale nie pokazywałam tego, bo za nic w świecie nie chciałam im dać satysfakcji. Nie miałam pojęcia, czy Homer nadal żyje.

Kiedy w końcu zobaczyłam jego twarz, zauważyłam też, że został starannie związany. Skrępowano mu nogi i ręce jak owcy na pace pikapa. Ale niezbyt mnie to interesowało. Chciałam tylko zobaczyć jego oczy i sprawdzić, czy znajdę w nich jakąś oznakę życia. Tylko że oczy miał zamknięte, a głowa opadła mu na bok.

Chyba nigdy nie poznam straszniejszego uczucia niż to, które mnie wtedy dopadło. Czułam się tak, jakby w moim wnętrzu eksplodowała bomba. Zupełnie jakby moje serce zostało rozdarte na pół. Naprawdę pomyślałam, że mam zawał. Nie mogłam złapać tchu, a ból zdawał się ciągle rosnać. Tylko otwarte oczy Homera mogłyby mi przynieść ulgę. Jak przez mgłę widziałam, że obok niego dwóch facetów trzyma Gavina, a po mojej lewej stronie ktoś trzyma Fi. Ale tak naprawdę oni mnie nie interesowali. Czułam tylko potworne, wszechogarniające pragnienie,

żeby rzucić się na zakrwawione ciało Homera i z powrotem tchnąć w niego życie.

Potem nagle mnie podniesiono i wyrzucono z kuchni. Wtedy złapałam oddech i zaczęłam krzyczeć:

- Nie, nie!

Myśleli, że się boję, ale tak naprawdę byłam tylko zła i zrozpaczona z powodu tego, co spotkało Homera.

Znalazłam się w długim korytarzu, wąskim i ciemnym. Przegonili mnie po nim z dość dużą prędkością. Byli bardzo rozzłoszczeni, bardzo przejęci i wyglądało na to, że nie mają konkretnego przywódcy. Sześć osób ciągle pokrzykiwało. Za każdym razem, kiedy wchodziliśmy do jakiegoś pomieszczenia, wahali się, a potem ktoś coś mówił, ktoś inny mówił coś innego i szliśmy dalej. Chyba szukali pomieszczenia, w którym można by mnie bezpiecznie przechować. Potem czyjś dość młody głos coś zaproponował. Wszyscy się roześmiali i zachowywali się tak, jakby właśnie podjęli decyzję, bo teraz popychali mnie naprzód, jakby już wiedzieli, dokąd mnie zaprowadzić.

Ku mojemu zdziwieniu wyszliśmy na zewnątrz. Zrobiło się chłodniej. Omal nie zapłakałam z ulgi, znowu czując na skórze świeże, uczciwe powietrze. Podniosłam głowę i pozwoliłam mżawce delikatnie dotykać mojej twarzy, jakby była deszczem życia. Ale mężczyźni nie zwolnili kroku. Poczułam, że wchodzimy pod jakiś dach, i zauważyłam, że jesteśmy w ogromnym warsztacie o betonowej podłodze, otwartym z przodu i z tyłu. Były tam wszystkie zwyczajne pojazdy, jakie można znaleźć na dużej farmie - traktory, ciągniki, motory i samochody z napędem na cztery koła. Nie zaprowadzili mnie do żadnego z nich. Nadal nie miałam pojęcia, co im chodzi po głowie. Popchnęli mnie na koniec warsztatu, gdzie stały samochody. Nie miałam

okazji przyjrzeć się tym pojazdom, ale był tam stary niebieski falcon, bardzo stare renault albo citroen i nowsza szara alfa. Nie dali mi czasu na zastanowienie, ale gdybym go dostała, uznałabym, że zamierzają mnie zawieźć do miasta razem z pozostałą trójką i oddać nas w ręce władz.

Wtedy otworzyli bagażnik falcona.

Nadal nie rozumiałam. Bagażnik? Ale szybko rozwiali moje wątpliwości. Rechocząc z zadowoleniem i sypiąc żarcikami, pokazali mi, że mam wejść do środka. Odsunęłam się na tyle, na ile eskorta mi pozwoliła. Nie mogłam uwierzyć, że są aż tak okrutni.

- Nie ma mowy - powiedziałam. - Nie wejdę tam.

Dostałam tak silny cios w tył głowy, że o mało nie upadłam. Nie wiem, czym mnie uderzyli: nie była to pięść, tylko coś twardszego. Może kawałek drewna. Gdyby mnie nie podtrzymywali, pewnie bym upadła. I nie miałam szansy dojsc do siebie. W pośpiechu praktycznie mnie podnieśli, przetaszczyli do samochodu, wrzucili do środka i zatrzasnęli bagażnik.

W dawnych czasach, p.w., przed wojną, mama i tata żartowali, opowiadając, jak ich przyjaciele chowali się w bagażnikach, żeby wjechać za darmo do kina dla zmotoryzowanych. Mama drżała na to wspomnienie i mówiła: „Nie zrobiłabym tego za żadne skarby. Nawet gdyby kasowali sto dolarów za bilet, nie wlaźłabym do bagażnika”.

Słyszając tę historię, wzdrygnęłam się, zadrżałam i pomyślałam: „Ja też nie”.

W zasadzie nie mam klaustrofobii, ale zdecydowanie nie lubię czuć się uwięziona. Może to przez te straszne chwile, które

przeżyłam wiele lat temu w stogu siana u Corrie, kiedy pełzliśmy tunelami z wąskich otworów między belami. Głęboko w stogu nagle ogarnęła mnie panika i pomyślałam, że nigdy się stamtąd nie wydostanę, że się tam uduszę. Zaczęłam się wycofywać i oczywiście w końcu wyszłam, ale nigdy nie zapomnę tych przerażających kilku minut panicznej ucieczki spomiędzy bel.

Jeśli jednak nabawiłam się klaustrofobii, to pobyt w więzieniu o zaostrowym rygorze w Stratton z pewnością mi nie pomógł.

Dlatego przez kilka pierwszych minut w bagażniku kompletnie mi odbiło. No, prawie kompletnie: nie krzyczałam, nie błagałam o litość ani nie wpadłam w histerię - nadal liczyła się dla mnie pewna drobna sprawa zwana honorem. Ale w głębi serca histeryzowałam na całego. Problem w tym, że nie mogłam na tę histerię nic poradzić. Trochę się wiłam i przekręcałam na boki, gryząc knykcie. Wepchnęłam do ust połowę prawej pięści i ugryzłam tak mocno, że myślałam, że za chwilę krew popłynie mi po ręce. Tył głowy, w miejscu, gdzie mnie uderzyli, był zdrętwiały, jakby już do mnie nie należał, jakby został usunięty przez chirurga, który później będzie mógł mi go zwrócić, tyle że bez znieczulenia - jeśli dopisze mi szczęście.

Musiałam się jakoś uspokoić. Nawet podczas ataku histerii dobrze o tym wiedziałam. Jak warzęcha przeszukująca wodę w sadzawce, lustrowałam swój mózg w poszukiwaniu czegoś, czegokolwiek, co mogłoby mi pomóc. I stopniowo pojawiło się wspomnienie. To był głos Robyn. Nagle przestał być tylko wspomnieniem: przyjaciółka równie dobrze mogłaby leżeć ze mną w bagażniku. Przypomniałam sobie jej historię o Szadrachu, Mészachu i Abed-Negu, o tym, jak przetrwali, kiedy król

kazał ich wrzucić do pieca. Poszedł z nimi anioł albo ktos' w tym rodzaju. Piec spalił wszystkich wokół, ale oni przeżyli.

I naprawdę mnie to uspokoiło. Nie wiem, kto ze mną był w tym bagażniku - Robyn, anioł czy może sam Bóg - ale zaczynałam zauważać, że zawsze, kiedy potrzebuję Boga, przychodzi mi z pomocą. Tyle że niekoniecznie w takiej postaci, na jaką liczyłam, i niekoniecznie robił to, co chciałam. Nie szedł mi na rękę i sprawiał wrażenie bardzo upartego: za to ja byłam całkiem pewna, że znam się na wszystkim lepiej niż ktokolwiek inny, a kiedy mówię „ktokolwiek inny”, mam też na myśli Boga. Ale w ciemnym wnętrzu bagażnika uczepliłam się kurczowo obrazu rozgrzanego pieca, który nie był przecież piecem z piekła.

To, że myślałam o piecu, leżąc w bagażniku, zakrawało na ironię, bo oprócz tego, że w bagażniku było zimno, wydał mi się najczarniejszym, najciemniejszym miejscem, w jakim kiedykolwiek byłam. W ramach eksperymentu podniosłam rękę i zatrzymałam ją przed twarzą. Nic. Nie widziałam nawet zarysu własnych palców. Niczego poza tą okropną czernią, która zdawała się być zarówno we mnie, jak i wokół, tak że nie potrafiłam powiedzieć, gdzie kończę się ja, a zaczyna się powietrze.

Najbardziej bałam się tego, że się tam uduszę, że zwyczajnie nie będę miała czym oddychać. Powoli zrozumiałam jednak, że powietrze jakoś dostaje się do środka. Leżałam tam pewnie już z dziesięć minut i choć powietrze robiło się nieświeże, nie brakowało mi tlenu. Może wlatywało przez jakieś dziurki - tyle że w środku nocy nie było światła, które mogłoby mi je ukazać.

Kiedy zaczęłam odzyskiwać kontrolę nad umysłem, spróbowałam wymyślić jakiś plan. Wyglądało na to, że nie zamierzali mnie zawieźć prosto do Wirrawee. Może odłożyli to do rana. Pewnie nie za bardzo im się chciało tam jechać w środku nocy.

Musiałam się jakoś wydostać z tego bagażnika, zanim mnie oddadzą w ręce władz. Macając palcami, znalazłam zamek i zaczęłam go rozpaczliwie ciągnąć, w nadziei, że uda się go jakoś otworzyć od wewnątrz. Okazał się jednak mocno zatrzaśnięty i raczej nie było szans, żeby ustąpił. Zrezygnowałam i z powrotem opadłam na twardą podłogę.

Miałam mnóstwo na głowie. Choćby to, że w ciemności ogarniała mnie czysta panika, nie miałam miejsca, żeby się ruszyć, a powietrze coraz bardziej się psuło. Ale to i tak były drobne zmartwienia. Oprócz nich miałam jeszcze te poważne: co się stało z Homerem, Fi i Gavinem? Co się stanie ze mną, kiedy już mnie stąd wyciągną i zawiozą do miasta? Jakie mamy szanse, żeby uniknąć śmierci? Nie było sensu zaprzętać sobie głowy takimi drobnostkami jak niewygodna pozycja w ciasnym bagażniku, kiedy na końcu czekał wyrok śmierci.

Jedyne, co zdołałam wymyślić, brzmiało tak: „Ellie, zajmuj się tylko tym, czemu możesz podołać, a w tej chwili możesz podołać tylko tej okropnej czarnej norze”.

Zamartwianie się losem Homera i wyrokiem śmierci miało tyle sensu, ile przejmowanie się straconymi dniami nauki szkolnej, cenami paliw w Nowej Zelandii albo liczbą powtórek programów w bułgarskiej telewizji.

W każdym razie moje ciało zaczęło się domagać tak wielkiej uwagi, że nie miałam innego wyjścia: musiałam się na nim skupić. Leżałam z kolanami przyciśniętymi do piersi, przez co bolały mnie plecy. Wróciło mi czucie w głowie, ale wolałabym, żeby tak się nie stało. Mniej więcej co minutę narastał w niej ból, który potem eksplodował jak ogromna kwitnąca roślina. Pamiętam, że kiedyś czytałam o jakiejś palmie w Kakadu, która kwitnie raz w ciągu siedemdziesięciu pięciu lat, a potem umiera. Czułam, że

z moją głową może być podobnie. W tamtej chwili oddałabym cały swój majątek - nie żebym była bogata: w filii ANZ w Wir-rawee zgromadziłam jedynie 423 dolary, których pewnie już nigdy nie zobaczę — za dwie szklanki wody i odrobinę świeżego powietrza. Oraz za dwie tabletki antidolu.

Dwadzieścia minut później oddałabym za to nawet więcej niż te 423 dolary. W bagażniku było naprawdę okropnie. Już kilka pierwszych minut dało mi w kość: przerażenie, kiedy mnie zamykali, pierwsze brutalne ataki lęku. Ale milion razy gorszy był długi, powolny, pachnący stęchlizną horror czasu upływającego w czarnej pustce. Moje oczy nie odbierały żadnych sygnałów, podobnie jak uszy. Jeśli się usiądzie przed ekranem wyłączonego telewizora i zacznie się w niego wpatrywać, po jakimś czasie zacznie się trochę wariować. A teraz sama byłam w takim telewizorze i cały mój świat skurczył się do niego.

Powietrze było coraz gorsze: gorące i ciężkie. Jakbym wdychała wate. Jeszcze bardziej rozboleła mnie od tego głowa i chociaż się wierciłam, przyjmując nowe pozycje, moje możliwości w tym zakresie były ograniczone. Ścierpły mi nogi, a plecy dokuczały jeszcze bardziej.

Najgorszy ze wszystkiego był strach, że oszaleję. Gdyby mi chociaż powiedzieli, jak długo zamierzają mnie tu trzymać. Może wtedy jakoś bym to zniosła. Ale umysł płatał mi figle. Czułam się tak, jakbym przez nieskończony czas tkwiła w nieskończonym miejscu. Z jedną nieskończonością chyba bym sobie poradziła. Ale nie z dwiema.

Naprawdę nie miałam pojęcia, ile czasu upłynęło. Dziesięć minut, dwadzieścia minut, pół godziny — nadal używałam tych słów, ale nie byłam w stanie powiedzieć, czy znaczą to co kiedyś. Minuta mogła się zmienić w godzinę. Czułam się tak, jakbym

tam tkwiła godzinę, choć równie dobrze mogło ich być dwadzieścia cztery.

W pewnej chwili straciłam przytomność. Możliwe, że zasnęłam, ale to nie przypominało snu. Obudziłam się - po jakim czasie? - i natychmiast wpadłam w panikę. A gdybym się nie obudziła? Nie miałam wrażenia, że wsadzono mnie tam po to, żebym umarła powolną i okropną śmiercią. Ale skąd oni mogli wiedzieć, co się dzieje z człowiekiem w bagażniku? Skąd ktokolwiek miałby to wiedzieć?

Zaczęłam z całej siły uderzać w pokrywę bagażnika. Na niewiele się to zdało, bo nie mogłam wziąć porządnego zamachu. I bardzo szybko przestałam. Wiedziałam, że nie narobiłam za dużo hałasu - raniłam się tylko w rękę i wdychałam jeszcze więcej zepsutego powietrza.

Leżałam tam, poskręcana jak kawałek ozdoby z kutego żelaza, pocąc się i dysząc. Pomyślałam: „Muszę coś zrobić. Muszę się stąd wydostać”. Znowu wpadłam w histerię. Zaczęłam z całej siły pchać pokrywę bagażnika, używając kolan i dłoni. Metal wydawał się dość miękki i czułam, że się wybrzusza, ale nic nie wskazywało na to, żeby zamek zamierzał ustąpić. Wpędziłam się w jeszcze większą panikę, bo zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem nie odkształcę pokrywy tak mocno, że nie będą mogli jej otworzyć, kiedy w końcu przyjdą mnie stąd wypuścić - o ile w ogóle to nastąpi. Ale zacisnęłam zęby i ponuro postanowiłam, że się nie poddam.

Znowu się położyłam. Musiał istnieć jakiś inny sposób na wydostanie się, jakieś inne podejście. Potrzebowałam odrobiny myślenia lateralnego. Leżąc, poczułam pod sobą wybrzuszenie nad kołem zapasowym. Jego twarda krawędź przez cały czas wrzynała mi się w skórę, ale wcześniej się nad tym nie

zastanawiałam i tylko mnie to denerwowało. Przypomniałam sobie koła zapasowe w naszych samochodach - gdzieś w pobliżu nich zawsze leżała skrzynka z narzędziami, zazwyczaj pod kołem. W nowym volvo pana Roxburgha była w niej nawet para białych rękawiczek chroniących ręce przed zabrudzeniem podczas wymiany koła. Nie przypuszczałam, żeby białe rękawiczki mogły mi się tu na coś przydać, ale skrzynka z narzędziami byłaby czymś, co mogłabym wykorzystać do zrobienia otworu w metalu. W najgorszym wypadku znalazłabym jakąś broń i zaczęła z nią do ich powrotu... Zakładając, że w ogóle dożyję tej chwili.

Zaczęłam macać podłogę, próbując sprawdzić, co się pode mną znajduje. Wyglądało na to, że koło zapasowe jest unieruchomione bolcem ze sznurkiem i wspornikiem przytrzymującym ten bolec. Bez problemu poradziłam sobie ze wspornikiem, ale kłopot polegał na odsunięciu koła zapasowego. Bagażnik falcona był mały, koło ciężkie, ja wyczerpana, a powietrze coraz bardziej zepsute. Próbowałam ruszyć to koło, unosząc się nad nim i szarpiąc za nie rękami. Pierwsze trzy próby się nie powiodły, zaczęłam tylko dyszeć i zrobiło mi się słabo. Przez kilka minut leżałam na kole. Potem natarłam z całej siły. Stęknęłam jak tenisistka i zrozumiałam, że nie będę miała sił na kolejne próby: to było ostatnie podejście.

I udało się. Dopięłam swego. Oparłam koło o bolec i pozwoliłam sobie na chwilę wytchnienia.

Problem w tym, że trudno o chwilę wytchnienia, kiedy nie za bardzo jest czym oddychać.

Popchnęłam koło trochę bardziej w bok, najdalej, jak się dało, a potem wsunęłam rękę we wgłębienie pod nim i zaczęłam macać. Narzędzia były porozrzucane. Zły znak: właściciel

był flejtuchem. Tata nie byłby zachwycony. Natrafiłam na klucz francuski, który na niewiele mógł mi się przydać, i na pompkę nożną, a potem na kombinerki i podnośnik. Oraz na łyżkę do opon.

Ta łyżka do opon miała w sobie coś bardzo pokrzepiającego. Moje dłonie mocno się na niej zacisnęły. Byłaby z niej całkiem dobra broń. Każdy, kogo bym nią zdzieliła, na pewno by poczuł. Biorąc porządny zamach, mogłabym rozłupać czyjąś głowę jak dynię.

Znowu odsapnęłam, a potem zacisnęłam zęby i natarłam na pokrywę. Dźgałam metal raz po raz. Musiałam zaryzykować i założyć, że na zewnątrz nie ma nikogo, kto gotów jest się na mnie rzucić. Uderzałam najmocniej, jak umiałam. Waliłam, aż zrobiłam się mokra od potu i zaczęłam dyszeć jak młodsza siostra Fi, aż zużyłam całą energię i nie byłam w stanie podnieść łyżki jeszcze raz, nie wspominając o uderzeniu nią w cokolwiek z jakąkolwiek siłą.

Pokrywa bagażnika była twarda, twardsza, niż można by się spodziewać. Ale największy problem polegał chyba na tym, że leżałam na plecach. Nie miałam miejsca, żeby wziąć zamach i byłam zbyt zmęczona, żeby mocno uderzyć. Bagażnikowi szkodziło to pewnie równie mocno jak mnie okładanie piąstkami przez młodszą siostrę Fi. „Ojej, muchy są dzisiaj nieznośne” - przekomarzałam się z nią. Miałam paskudne wrażenie, że moje ciosy w pokrywę bagażnika są niewiele mocniejsze od ataku much.

Zaczęłam rozmyślać o muchach. Czy już zaczęły bzyczeć? Czy już jest rano? Spojrzałam w kąt bagażnika i zauważyłam jakieś szare punkty: były niewyraźne, ale tak mocno kontrastowały z kompletną ciemnością, z którą długo się męczyłam, że na ich widok poczułam pewną radość i podekscytowanie.

Przyjrzałam się uważniej. Potem pomacałam dwiema rękami. Zwłaszcza po prawej stronie szare punkciki skupiały się w wybrzuszeniu, które najprawdopodobniej było tylnym światłem. Wyglądało to tak, jakby nie było zbyt dobrze umocowane. Dlatego nasunęła mi się pewna myśl. Jeszcze raz podniosłam łyżkę do opon, wzięłam największy zamach, jaki się dało, i rąbnęłam w tylne światło. Łyżka przeszła na wylot. Usłyszałam brzęk tłuczonego szkła i odgłos plastiku uderzającego o betonową podłogę warsztatu. Ten dźwięk w połączeniu ze snopem słabego, rozproszonego światła, które nagle wpadło do środka, był jak pokrzedający promyk. W ślad za światłem napłynęło świeże powietrze.

Gdybym mogła je pocałować, na pewno bym to zrobiła. Zamiast tego zamknęłam oczy i wciągnęłam je nosem.

Ale nie było czasu na odpoczynek. Ta odrobina tlenu dodała mi sił. Złapałam łyżkę do opon i powiększyłam nią otwór, pozbywając się reszty szkła i plastiku. Miałam małą - nie, właściwie całkiem sporą - obawę, że w każdej chwili bagażnik może się otworzyć, a czyjaś brutalna dłoń złapie łyżkę do opon i spuści mi nią łanie. Ale działałam dalej.

Kiedy poszerzyłam mały otwór, zaczęłam się wiercić. Trudno było przyjąć najlepszą pozycję. Zbliżał się ranek, więc podejrzewałam, że wkrótce ktoś po mnie przyjdzie. Musiałam wykorzystać każdą szansę.

Leżałam wykrecona w potwornie bolesnej pozycji, ale i tak zaczęłam wsuwać rękę w otwór. Szkoda, że nie byłam taka jak Fi! Jej długa, szczupła ręka nie miałaby z tym problemu. Wsunęłaby się tam z gracją. W moim wypadku był z tym pewien kłopot, zwłaszcza że otwór robił się coraz węższy. Poczułam, że krawędź otworu drapie mi skórę i naciągają. Nie przejmowałam się

tym. Najważniejsze, najwspanialsze było to, że moja dłoń znalazła się już na zewnątrz. Gdyby ktoś tam stał, mogłabym mu pomachać. A on mógłby mi uścisnąć rękę.

Tyle że to nie wystarczało. Sięgnęłam w lewo. Moje palce zaczęły się przesuwać po gładkim metalu. Musiałam znaleźć sam środek, który był spory kawałek dalej: drugą stronę mechanizmu zamykającego bagażnik.

Największym problemem był kąt. Gdybym mogła wygiąć rękę o dziewięćdziesiąt stopni, żeby znalazła się dokładnie wzdłuż linii bagażnika, sprawa byłaby prosta. Ale kończyny nie są aż takie elastyczne. Musiałam dosięgnąć zamka z dość dużej odległości. Nie mam wyjątkowo długich rąk, a już z pewnością brakuje mi zawiasów w łokciu. Przez głowę przemknęła mi myśl: „A jeśli zamknęli bagażnik na klucz?”. Nie przypominałam sobie żadnego zgrzytania w zamku, ale byłam w takim stanie, że pewnie i tak bym go nie usłyszała. Zresztą możliwe, że nie słysząc tego od wewnątrz. „No to co - pomyślałam. -Jeśli mnie zamknęli na klucz, nic nie zdziałam. W każdym razie spróbuję i będę miała nadzieję, że Bóg jest po mojej stronie”.

Sięgałam coraz dalej. Moje palce macały bagażnik, rozpaczliwie szukając zamka. Gapiłam się na wewnętrzną stronę bagażnika, na miejsce, gdzie powinny się znajdować moje palce, jakbym mogła je zobaczyć po drugiej stronie metalu. Nie czułam niczego, jedynie gładką powierzchnię samochodu. Moja ręka męczyła się i zsuwała bez mojej wiedzy, aż w końcu poczułam miejsce, w którym pokrywa bagażnika stykała się z karoserią falcona. Zrozumiałam, że jestem na niewłaściwej drodze. Uniosłam ją z powrotem i sięgnęłam jeszcze dalej, najdalej, jak mogłam. Opuszką środkowego palca dotknęłam zamka. Przeżyłam taki szok, jakby porażono mnie prądem. Ale jednocześnie było

to strasznie dobijające. Po prostu nie umiałam sięgnąć dalej. Moje ramię pewnie już i tak wyszło ze stawu. Może zdołałabym pokonać jeszcze z milimetr, ale potrzebowałam dwóch centymetrów. Głośno jęknęłam. „No, dalej - rozkazałam sobie w myślach. - Nie ściemniaj, musisz to zrobić”. Sięgałam coraz dalej. Miałam wrażenie, że za chwilę pękną mi ścięgna, a kości połamią się i wyskoczą ze stawów. Powoli kończyły mi się siły, więc podjęłam ostatnią rozpaczliwą próbę. Wszystko albo nic. Uderzyłam w zamek najmocniej, jak mogłam. Był znacznie bardziej oporny, niż przypuszczałam. Przez chwilę myślałam, że uderzyłam za słabo. Na moment ogarnęła mnie czarna rozpacz. Ale kiedy nacisnęłam mocniej, skrzypnął i dał się wcisnąć do środka. Pokrywa bagażnika powoli zaczęła się otwierać.

Nie byłam w stanie się ruszyć. Czułam wszystko po trosze: paraliż ciała, emocje związane z ponownym oddychaniem świeżym powietrzem, szok wywołany światłem poranka i to, że moja ręka boleśnie utknęła w małym otworze po tylnym świetle. Powoli ją stamtąd wysunęłam, krzywiąc się, kiedy podrapana skóra została podrapana po raz drugi. Z niepokojem spjrzałam na wnętrze warsztatu. Nikogo nie było widać. Zaczęłam się wydostawać, wytaczając się i gramoląc z tej przeklętej dziury. Zajął mi to pełną minutę, ale w końcu stanęłam na betonowej podłodze. Huczało mi w głowie, bolały mnie plecy, ręka szczypała i z trudem trzymałam się na nogach. Ale czułam się cudownie.

Rozejrzałam się. W warsztacie panowała niewinna cisza. W domu też. Po zamieszaniu w środku nocy jego mieszkańcy spali pewnie twardym snem. Taką miałam nadzieję. Próbując nie zważać na ból i inne dolegliwości, powlekłam się w stronę przednich drzwi falcona. Nie było kluczyków w stacyjce. A niech to. Sprawdziłam w innych pojazdach. To samo. Tylko

w motorach zostały kluczyki. Rozglądałam się dalej i czułam coraz większą rozpacz. Musiałam szybko coś znaleźć - coś, co nie tylko umożliwiłoby mi ucieczkę, ale też pomogłoby uratować pozostałą trójkę.

Wtedy stała się dziwna rzecz. Kiedy przechodziłam obok ostatniego samochodu, starego renault, pomyślałam: „Mogłabym przysiąc, że ten samochód się poruszył”. Nie chodziło o to, że zaczął odjeżdżać bez kierowcy, ale zatrząsł się i zadrżał, jakby silnik pracował w mroźny zimowy poranek. Zatrzymałam się i patrzyłam. Czyżbym miała przywidzenia? Nie mogłam sobie pozwolić na stanie i gapienie się na samochód, ale z drugiej strony coś tak niezwykłego mogło mi jakoś pomóc. Kiedy tak stałam, zobaczyłam to ponownie. Samochód się zatrząsł. Podeszłam do niego zdenerwowana, martwiąc się, że marnuję czas, ale wiedząc, że nie mogę przejść obojętnie obok czegoś tak niezwykłego. Kiedy od renault dzieliło mnie już tylko parę metrów, usłyszałam stłumiony głuchy dźwięk. Widocznie podczas pobytu w bagażniku mój mózg został znieczulony brakiem tlenu, bo nadal nie łąpałam, o co chodzi. I nagle zrozumiałam. Skoczyłam w stronę samochodu, Przez chwilę siłowałam się z bagażnikiem, ale potem znalazłam coś w rodzaju dźwigienki pod pokrywą, którą trzeba było przesunąć w lewo. Pokrywa odskoczyła, ze środka buchnęło zepsute powietrze i zobaczyłam Fi, która z przerażeniem mrugała oczami i kuliła się, spodziewając się przemocy albo czegoś jeszcze gorszego.

Nawet nie czekałam, żeby zobaczyć, jak zmienia jej się wyraz twarzy, a już z pewnością nie pomagałam jej wyjść. Od razu popędziłam do drugiego samochodu, alfy. Miała bagażnik bez rączki. Musiałam otworzyć drzwi po stronie kierowcy, znaleźć dźwigienkę przy podłodze i szarpnąć za nią. Na szczęście drzwi

nie były zamknięte. Kiedy podbiegłam do bagażnika, w środku znalazłam bladego, dygoczącego chłopca. „Co za dranie” - pomyślałam.

Pomogłam Gavinowi wyjść, a Fi podeszła do nas, słaniając się na nogach. Wszyscy troje szybko się uściskaliśmy. Ale jednocześnie wiedzieliśmy, że nie możemy marnować czasu na odnawianie więzi.

- Wiem, gdzie wsadzili Homera - od razu powiedziała Fi.

- Więc żyje? Wszystko z nim w porządku?

- Nie wiem, czy w porządku. Ale był żywy. Nie spodobało mi się to „był”.

- Gdzie on jest?

Fi wskazała lewy kraniec domu, jego głównej części.

- Na końcu długiego korytarza mają tam małe pomieszczenie. Trochę przypomina celę. Możliwe, że dawniej była tam spiżarnia albo coś w tym rodzaju: nie ma okna. Zamierzali mnie tam wsadzić razem z nim, ale potem ktoś zdecydował, że należy nas rozdzielić.

- Jak się tam dostać?

- Trzeba wejść tymi szarymi drzwiami. Potem skręcasz, hmm, niech pomyślę, w lewo, idziesz do końca, znowu skręcasz w lewo i jesteś w korytarzu, o którym mówiłam. Drzwi do dawnej spiżarni są naprzeciwko, na samym końcu.

Stałam i zmuszałam umysł do pracy, pobudzając go do maksymalnych obrotów. Nadal czułam ból po ciosie w głowę, ale taki już był los mojego mózgu.

- Zabierz Gavina i uciekajcie stąd - powiedziałam po chwili do Fi. - Spotkamy się na początku szlaku na Szew Krawca. Jeśli nie będzie nas tam przed północą, nie martwcie się o nas i po prostu zejdźcie do Piekła.

Wykonałam gest w stronę Gavina.

- Idź z Fi. Ja i Homer dołączymy do was wieczorem. Obydwoje zastygli, wpatrując się we mnie. Widząc ich miny,

mogłam się domyślić, co się dzieje. Docierało do nich, że mam rację. Nie chcieli tego przyznać, ale powoli dochodzili do wniosku, że rzeczywiście nie ma innego wyjścia. Gdyby znowu nas wszystkich złapali, byłoby strasznie - nawet nie mogłam myśleć o czymś tak potwornym. Niewybaczalnym. A suche fakty wyglądały tak, że Fi i Gavin nie mogli mi się już na wiele przydać. To nie było zadanie dla żadnego z nich i chyba w głębi serca obydwójce o tym wiedzieli.

- Szybko - powiedziałam do Fi. - Ruszajcie, bo niedługo się pobudzą.

Spojrzała na mnie, zrobiła smutną minę, złapała mnie za rękę, uścisnęła ją, chwyciła Gavina i pobiegli. Nie zadałam sobie trudu, żeby podsuwać im pomysły, co robić i jak stąd uciec. Musiałam się skupić na Homerze i na sobie. Bóg mi świadkiem, że potrzebowałam każdej najmniejszej odrobiny koncentracji, żeby nas stąd wydostać.

Mniej więcej trzy sekundy później z domu wyszedł jakiś facet, ruszył w stronę ogródka z ziołami, rozpiął rozporek i porządnie podlał lawendę. Wyglądało na to, że moje najgorsze obawy się spełniły: dom wcześniej budził się do życia. Tych kilka chwil, które poświęciłam Fi i Gavinowi, mogło mieć fatalne skutki dla Homera i dla mnie.

Cicho odsunęłam się w lewo. Nie miałam żadnego planu, pragnęłam tylko zniknąć z pola widzenia temu facetowi w ogródku. Sytuacja szybko się pogorszyła. Kiedy facet zapinał rozporek, z domu wyszedł następny, ziewając, a za nim kobieta. Jakiś nastolatek otworzył drzwi po drugiej stronie budynku

i wychylił się ze środka, po czym odwrócił się i zaczął mówić do kogoś, kto był w domu.

Dom naprawdę obudził się do życia.

Kiedy mnie zobaczyli, stałam tuż obok motorów. Mężczyzna i kobieta, którzy przed chwilą wyszli z budynku, zobaczyli mnie w tej samej chwili. Pokazali mi palcem i zaczęli krzyczeć. Fakt, że stałam obok motorów, przesądził o wszystkim. To się nazywa zbieg okoliczności. Zrozpaczona, rozejrzałam się wokół. Tuż obok mnie stała duża yamaha triton. No jasne, Whit-takerowie mieli to, co najlepsze. Podeszłam do niej, odchyliłam wajchę, przerzuciłam nogę nad siodełkiem i odpaliłam kopniakiem. Dobrze było znowu siedzieć na motorze. Poczulałam nagły przypływ pewności siebie. Ale motor raczej nie podzielał mojego entuzjazmu: nie zapalił. Kopnęłam jeszcze raz i dopiero wtedy ożył z rykiem. Zawróciłam. W zasadzie nie wiem, dlaczego to zrobiłam. Chwilę wcześniej miałam przed sobą otwarty warsztat, a za nim łąki, wzgórza i błękitne, bezkresne niebo. Mimo to zawróciłam, stając naprzeciw niewoli i śmierci.

Ruszyłam prosto na nich. Przynajmniej zapewniłam tym sobie element zaskoczenia. Nie miałam pojęcia, co robić. Chyba po prostu chciałam ich wystraszyć motorem, żeby trochę się odsunęli. Dałam gazu i z warkotem popędziłam w stronę domu.

Miny na ich twarzach były dość komiczne. Nie mogli się doczekać, żeby zejść mi z drogi. Dwaj z nich wpadli na siebie i wylądowali w lawendzie. Miałam nadzieję, że w tym samym miejscu, które przed chwilą obsikał ich kolega.

Zanim się obejrzałam, pędziłam na szare drzwi, które mi wcześniej pokazała przyjaciółka. Były otwarte, a zresztą nie pozostawiłam sobie innych możliwości. Wjechałam do środka.

W budynku było dziwnie, jakoś tak ciepło i intymnie, nawet mimo dymu z rury wydechowej. Ale najdziwniejsze było to, że jeździłam motorem po domu. Whittakerowie nigdy by mi tego nie wybaczyli. Hałas był przerażający: odbijał się od grubych starych ścian i czułam się jak w kabinie pogłosowej. Zdecydowanie nie pomagało mi to na ból głowy, chociaż właściwie raczej się tym nie przejmowałam. Zamiast tego rozpaczliwie próbowałam sobie przypomnieć, co powiedziała Fi. „Najpierw w lewo,

potem prosto i na końcu znowu w lewo". Problem w tym, że jechałam przez dziwnie rozmieszczone małe pomieszczenia, o których Fi nie wspomniała ani słowem i które najwyraźniej nie pełniły żadnej funkcji: po prostu otwierały się jedno na drugie. Marnotrawstwo przestrzeni. Stało w nich kilka mahoniowych stołów i krzeseł, to wszystko.

Potem z lewej strony ukazał się korytarz i gwałtownie w niego skręcałam.

W chwili kiedy to zrobiłam, z pierwszego pomieszczenia po prawej, mniej więcej trzy metry ode mnie, wyszedł jakiś mężczyzna. A ja przyspieszyłam. Wyciągnął rękę - nie żeby spróbować mnie zatrzymać, tylko odruchowo. Wyglądał tak, jakby połknął granat ręczny. Staralam się zanurkować pod jego ręką, ale mi się nie udało. Dość mocno w nią uderzyłam, a on runął do tyłu. Dostałam następny bolesny cios w głowę, ale facet prawdopodobnie złamał sobie rękę, bo usłyszałam trzask i jego ramię nagle zwiotczało. Krzyknął jak oparzony. A ja po prostu pędziłam dalej.

W tym wąskim korytarzu hałas brzmiał potwornie. Stary dom był zbyt solidny, żeby drzeć, ale każdy mniejszy budynek wibrowałby jak latawiec podczas wichury. To był ryk, nie znajduję innego określenia. Miałam nadzieję, że jeśli Homer żyje i siedzi przytomny w swojej celi, usłyszy go i będzie czujny, gotowy na spotkanie ze mną.

Zdecydowanie za szybko znalazłam się na końcu korytarza. Mocno, gwałtownie hamowałam, zarzucając tylnym kołem i stawiając lewą nogę na podłodze, żeby skrócić. Za zakrętem podniosłam głowę i zobaczyłam ostatnią rzecz, jakiej potrzebowałam. Młody facet z największymi oczami, jakie kiedykolwiek widziałam, właśnie unosił karabin. Miał duże oczy, bo wytrzeszczył je

ze strachu, przejęcia i determinacji, żeby mnie zabić. Przyklękał na jedno kolano, żeby oddać strzał. Z tej odległości nie mógł chybić. Pewnie wypełniałam mu całe pole widzenia. Mógł się poczuć jak ktoś, kto obserwuje wieloryba przez szkło powiększające. Rozpoczął się wyścig. Czy zdołam go rozjechać, zanim strzeli? Dodałam tyle gazu, ile było można. Rozległo się czknięcie i charkot, zanim gaźnik dostał wiadomość od przepustnicy. Miałam wrażenie, że ta chwila trwa wiecznie. Czułam się jak w próżni, jakbym trwała w bezruchu, podczas gdy on nadal unosił karabin. Pamiętam jego błyszczące oczy. Potem go rozjechałam.

Motor zachowywał się jak dzika bestia. Próbowałam przejechać po tym gościu, nadal na pełnym gazie, kopiąc, wierzgając i przechylając się na boki, a jednocześnie starałam się pozostać na siodełku i odzyskać kontrolę. Nie myślałam o tym człowieku, jeśli nie liczyć tego, że mi ulżyło, kiedy stracił przytomność. Może już nie żył, nie wiem. Wiem, że kiedy go skosiłam, wyrznął głową o ścianę.

Ostatecznie musiałam przeprowadzić po nim motor i straciłam cenny czas. Ale w końcu stanęłam przed tymi drzwiami, o których mówiła Fi. To były solidne, mocne stare białe drzwi, zaokrąglone u góry i osadzone w grubej kamiennej ścianie. Nie było w nich klamki, tylko dziurka od klucza. Od klucza, którego nie miałam.

Aż do tej chwili nie zastanawiałam się, jak je otworzę. W zasadzie nad niczym się nie zastanawiałam. Po prostu działałam instynktownie. Chyba zakładałam, że otworzą się przede mną same jak za sprawą czarów. Albo że je staranuję motorem. Albo coś w tym rodzaju.

Zatrzymałam się i wbiłam wzrok w drzwi. W moim mózgu huczało jak na pokazie fajerwerków. Rozejrzałam się

w poszukiwaniu jakiegoś narzędzia. Niczego nie znalazłam. Spojrzałam za siebie.

Tak, tam znalazłam odpowiedź. Nie miałam czasu, żeby oprzeć motor na stopce, więc oparłam go o ścianę i podbiegłam do faceta leżącego na podłodze. Karabin był pod nim. Spróbowałam gościa podnieść, ale okazał się za ciężki. Chwyciłam kolbę karabinu i wydobyłam broń spod niego, poruszając nią w przód i w tył.

Spaliny z rury wydechowej wypełniały korytarz tak szybko, że poczułam się jak w bagażniku. Tlenek węgla mieszał się z benzyną i olejem. Oczy szczypały mnie od potu, który poza tym zmoczył mi włosy. Musiałam go otrzeć, żeby nie oślepnąć. Ale zdobyłam karabin. Trochę się przeraziłam, widząc, że jest odbezpieczony. Z łatwością mógł wypalić, kiedy go wyciągałam. Ale nie zabezpieczyłam go z powrotem.

Pobiegłam do motoru. Obejrzałam się za siebie. Dokładnie w tej samej chwili ktoś wychylił się zza zakrętu korytarza. Nie widziałam, czy to mężczyzna, czy kobieta, młody czy stary, ale zauważyłam karabin. Gwałtownie się odwróciłam i strzeliłam z biodra, a pościg zniknął za zakrętem równie szybko, jak się pojawił.

Teraz mój problem polegał na tym, że Homer mógł kucać przy dziurce od klucza i nie usłyszeć mojego głosu przez te grube drzwi. Warkot motoru też mi nie pomagał. Nie mogłam sobie pozwolić na zgaszenie silnika, bo istniało niebezpieczeństwo, że drugi raz nie odpali. Wiedziałam, że ryzykuję postrzeleniem najlepszego kumpla, ale musiałam postawić wszystko na jedną kartę. Zbliżyłam się do drzwi:

- Homer! Przestrzeleję zamek! - zawołałam, po czym przycisnęłam końcówkę lufy do dziurki od klucza.

Pociągnęłam za spust. Kula zrobiła tylko małą dziurę, ale wyglądało na to, że przeszłam to, co należało. Otworzyłam drzwi kopniakiem.

No cóż, nie postrzeliłam Homera, ale o mało nie znokautowałam go drzwiami. Chyba kopnęłam dość mocno. Kiedy go zobaczyłam, zatoczył się do tyłu po tym, jak drzwi uderzyły go w ramię. Zresztą i bez tego wyglądał raczej przerażająco: cały był oblepiony zaschniętą krwią, miał podarte ubranie i okropną zanieczyszczoną otwartą ranę na kolanie. Przez chwilę myślałam, że dosięgła go kula, ale potem zdrowy rozsądek odpowiedział, że gdybym go postrzeliła z tak małej odległości, zrobiłabym mu większą krzywdę. Poza tym widziałam, w co trafił pocisk. Może i nie za bardzo zniszczył zamek w drzwiach, ale nadrobił zaległości, uderzając w przeciwległą ścianę. Wciąż jeszcze sypał się z niej tynk.

Praktycznie zignorowałam Homera. Po prostu chwyciłam kierownicę i wsiadłam na motor. Nie musiałam Homerowi mówić, co ma robić. Poczułam, jak motor ugina się pod jego ciężarem. Potem wielkie ręce Homera chwyciły mnie w pasie. Mimo tego, przez co przeszedł, nadal miał w sobie siłę.

- Bierz karabin! - krzyknęłam, odwracając się do tyłu.

Jedną ręką oderwała się od mojej talii, więc założyłam, że usłyszał. Wyprostowałam kierownicę i ruszyłam. Zamiast wrócić tam, skąd przyjechałam, wybrałam jedyną alternatywną trasę: następny korytarz po prawej stronie.

Ten korytarz był krótki i po chwili wpadliśmy do ogromnej sali, która wyglądała na jadalnię albo coś w tym rodzaju. Nie bardzo miałam czas przyjrzeć się otoczeniu, ale zauważyłam duży stół i kilka starych foteli oraz regał z książkami. Kiedy wjechaliśmy do środka, dwie albo trzy osoby rozbiegły się

w popłochu. Żeby nie potracić jednej z nich, gwałtownie okrążyłam fotel. Homer się tego nie spodziewał i nie przyjął odpowiedniej pozycji, więc manewr okazał się dość powolny. Ale kiedy skręcaliśmy, Homer oddał strzał. Przyspieszyłam, przewracając mały stolik. Dzbanki i wazy poszybowały w powietrze. Nawet pomimo ryku silnika słyszałam brzęk, kiedy runęły na podłogę i roztrzaskały się. Pędem wyjeżdżaliśmy z tego pomieszczenia, zarzucając tylnym kołem. Skręciliśmy w prawo i pomknęliśmy przez większą jadalnię. Stół był nakryty. Rozglądając się, zauważyłam, że Homer wyciągnął karabin i zmiata nim wszystko, czego zdoła dosięgnąć. Talerze i kubki wirowały na wszystkie strony i kończyły tak samo: roztrzaskane na wypolerowanej drewnianej podłodze.

W salonie było identycznie. Miałam wyraźne wrażenie, że siedzący za mną Homer z radością dokonuje zemsty. W salonie porozstawiano tyle mebli, że kiedy skręcałam i okrążałam krzesła i stoliki do kawy, musiałam się podpierać nogami dla utrzymania równowagi. Przypominało to slalom z Homerem, który zabawiał się rozbijaniem wszystkiego, co było w jego zasięgu. Tak mocno zaciskałam ręce na kierownicy, że nie wiedziałam, czy kiedykolwiek zdołam jeszcze otworzyć dłonie. Spaliny z rury wydechowej i ciągły ryk głośnego silnika w zamkniętych pomieszczeniach sprawiały, że huczało mi w głowie i niczego nie słyszałam. Ale nawet pomimo zatkanych uszu dotarł do mnie odgłos następnego strzału oddanego przez Homera. Przede wszystkim dlatego, że strzelił tuż obok mojego prawego ucha. To się stało tak szybko, że z przerażenia o mało nie spadłam z siodełka. Pojawił się błysk, rozległ się huk i gorący płomień poparzył mi kark.

Przeklęty Homer. Powinnam go była zostawić w tej celi. Nie uczono nas posługiwania się bronią w taki sposób.

Chyba po prostu torował nam drogę. Po chwili znaleźliśmy się w kuchni. Trochę mnie to zaskoczyło, bo nie przypuszczałam, że jesteśmy tak blisko niej. Po przejeździe przez te wszystkie pomieszczenia byłam zupełnie zakręcona. Ale nagle wróciliśmy na znajomy teren. Leżały tam nawet nasze plecaki ułożone na ławie obok zlewozmywaka. Rzuciłam na nie okiem i uznałam, że jeden z nich rozpakowano, ale pozostałe nadal są wypchane. Widocznie uznali, że wpadliśmy z wizytą o zbyt późnej porze i nie zaprzęтали sobie głowy sprzątaniami. Gwałtownie zahamowałam obok plecaków.

- Co jest? - zawołał Homer.

- Bierz je! - krzyknęłam.

Zawahał się, ale jedyna korzyść z bycia tak upartą osobą jak ja polega chyba na tym, że ludziom czasami jest łatwiej zrobić to, czego chcę, niż mi się sprzeciwiać. Homer złapał jeden plecak, potem drugi i wcisnął je między nas. Dzięki swoim szerokim ramionom mógł je tam przytrzymać, ale z trzema nie dałby sobie rady.

Przystanek przy plecakach okazał się jednak złym pomysłem. Nie mieliśmy na to czasu. Na drugim końcu kuchni były drzwi prowadzące na zewnątrz. Stały się naszym celem. Zwiększyłam obroty. Zamierzałam przejechać przez kuchnię, a potem kazać Homerowi otworzyć te drzwi, ale nagle okazało się, że to nie będzie takie proste. Znaleźliśmy się w poważnych tarapatach. Z salonu przybiegł jakiś facet, a potem zjawił się następny, z lewej strony. Nie wiem, jak się dostał do kuchni. W nocy nie zauważyłam żadnych dodatkowych drzwi, ale być może było tam jakieś wejście do chłodni albo do pralni.

Problem polegał na tym, że obydwaj mieli broń i od razu zaczęli strzelać. Nie byli głupi. Wykorzystywali kule dla osłony.

Trudno do kogoś strzelać, kiedy ten ktoś strzela do ciebie. Obydwoje z Homerem pochyliliśmy się najniżej, jak umieliśmy, i dodałam gazu, pędząc wzdłuż kuchennej ściany z nadzieją, że duże, solidne lawy zapewnią nam ochronę. Wszystko rozegrało się błyskawicznie. Zastanawiałam się, co zrobimy, kiedy lawy się skończą. Całe szczęście, że Whittakerowie mieli taką olbrzymią kuchnię, ale za chwilę to szczęście miało się wyczerpać.

Trwała dzika strzelanina. Tamci dwaj mieli karabiny maszynowe i najwidoczniej niekończący się zasób amunicji. Po mojej prawej szyby w oknach wypadały ciągłym hałaśliwym wodospadem szkła, a na półkach eksplodowały pojemniki i sprzęt AGD. Fruwające fragmenty szkła i porcelany zagrażały nam w równym stopniu jak kule. Jakby wokół krążyły setki wściekle bzyczących komarów. Hałas był niewiarygodny, bardziej niż bolesny. Nigdy nie utknęłam w grze komputerowej i pewnie nigdy mi się to nie zdarzy, ale właśnie tak się czułam. Coś ukłuło mnie w policzek. Przez jedną okropną chwilę myślałam, że drasnęła mnie kula, ale szybko zdałam sobie sprawę, że to niemożliwe. Zaczęłam hamować, bo dotarliśmy do końca kuchni, ale nie miałam pojęcia, co dalej. I wtedy prawie jak we śnie zobaczyłam, że drzwi przede mną się otwierają. Dodałam gazu, znowu pochyliłam głowę i ruszyłam, nie wiedząc, kto albo co otworzyło te drzwi, i nie mając pewności, kto albo co czeka po drugiej stronie. Wiedziałam tylko, że to nasza ostatnia i jedyna szansa. Wyjeżdżając z kuchni, usłyszałam świst kuli przelatującej nad głową i nagle znaleźliśmy się w pięknym świetle dnia, na świeżym powietrzu.

Wtedy ku swojemu przerażeniu zdałam sobie sprawę, że muszę się zatrzymać.

Akurat w chwili, w której myślałam, że mamy szansę. Akurat w chwili, kiedy w oddali zobaczyłam miękkie szarawe wzgórza.

Znowu Gavin. Ten mały gnojek. Zawdzięczaliśmy mu życie, ale ta chwila wszystko skomplikowała. Zupełnie jakby mignął nam przed oczami wolnością, a potem znowu ją nam odebrał. Okrutne. Gwałtownie wdepnęłam hamulec, a Gavin zatrzasnął za nami drzwi do kuchni. Ten dzieciak nie był głupi. Wiedział, ile jest warta dodatkowa sekunda. Potem jak mały zawodowy kaskader rozpedził się i wskoczył na motor, lądując na plecach między mną i Homerem. Nawet nie musiałam się do końca zatrzymać. Zwolniłam, a po chwili Gavin już się wiercił za moimi plecami. Nie czekałam, żeby sprawdzić, czy nic mu nie jest, tylko od razu dodałam gazu. Może jednak nadal mieliśmy szansę.

Musieliśmy wyglądać dziwnie. Trzy osoby i dwa plecaki na jednym motorze. Poczułam, jak przeładowany jest nasz pojazd, kiedy spróbowałam gwałtownie skręcić w lewo i o mało się nie wywróciliśmy. Prawie zaliczyliśmy glebę. Przednie koło mocno się zachybotowało, a tylne uciekło w bok. Podparłam się nogą i tylko dzięki mojej sile wróciliśmy do pionu. Ale wiedziałam, że daleko tak nie zajedziemy. W czasie pokoju taka przejażdżka na pastwisko nie byłaby niczym złym. Często przewoziłam motorami nieforemne ładunki. Zazwyczaj zabierałam dwa psy, a czasami wracałam z owcą na kolanach i na baku. Ale tym razem, gdyby jakimś cudem udało nam się odjechać od domu, nieunikniony pościg szybko by nas dogonił.

Postanowiłam zaryzykować jeszcze bardziej. Zobaczyłam dwóch starszych mężczyzn wybiegających zza budynku pięćdziesiąt metrów z prawej strony - nie byli uzbrojeni. Krzyczeli do ludzi, którzy znajdowali się poza zasięgiem, mojego wzroku, i ogólnie wyglądali tak, jakby nie bardzo wiedzieli, co robić. Jestem pewna, że na drugim końcu domu też byli jacyś ludzie, ale

warsztat, do którego chciałam dotrzeć, był z kolei poza zasięgiem ich wzroku.

Wzięłam następny ciasny, chybotliwy zakręt i popędziłam ku cieniom warsztatu. Kiedy tam byłam poprzednim razem, zamknięta w bagażniku, wydawał mi się strasznym i ciemnym miejscem. Zdziwiłam się, kiedy pomyślałam, że od tamtego czasu upłynęło zaledwie jakieś dziesięć minut. Teraz nasza jedyna szansa na ucieczkę z tego koszmaru tkwiła właśnie w tym warsztacie.

Podjechałam do najlepszego motoru z tych, które tam zostały: do suzuki. Homer nie potrzebował żadnych instrukcji, podobnie jak Gavin. Miałam wrażenie, że Homer wskoczył na suzuki jednym susem. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby poruszał się z taką prędkością. Kiedy odpalał motor, Gavin wrzucił mu na bak jeden plecak, a potem znowu wskoczył na miejsce za mną. Doceniłam to wotum zaufania. I szczerze mówiąc, trochę się zdziwiłam. Drżące ręce Gavina chwyciły mnie za biodra. Nie były w stanie dosięgnąć niczego innego, bo nadal dzielił nas pękaty plecak. Gdy tylko Homer odpalił, ruszyłam. Nie czekałam na niego. Przejechałam na jednym kole na drugi koniec warsztatu, a potem, kiedy znowu wyjechaliśmy na słońce, zatoczyłam koło, pochyliłam głowę i dałam gazu.

Pruliśmy jak szaleni. Gavin już wcześniej mocno się trzymał, ale teraz ścisnął mnie, jakbyśmy właśnie wyskoczyli z samolotu i tylko ja miałabym spadochron. Mknęliśmy po płaskiej nawierzchni szybciej niż iskra elektryczna. Obejrzałam się do tyłu i zobaczyłam tuman kurzu, a trochę dalej Homera, który robił uniki i jechał zygzakiem. Przypomniało mi to, że też powinnam stosować środki ostrożności. Jasne, pędziliśmy szybko, ale

nie tak szybko jak kule. Na szczęście z lekkim Gavinem z tyłu łatwiej było manewrować motorem.

Kiedy płaski teren zaczął się kończyć, gwałtownie odbiłam w prawo i wjechałam na wzgórze. Skakaliśmy jak kangur po stumetrowym pofałdowanym odcinku, a potem z zawrotną prędkością popędziliśmy po króliczej kolonii. Mieliliśmy przed sobą stare ogrodzenie, ale bez trudu znalazłam w nim lukę. A za nią był czarny asfalt drogi.

Przechyliłam motor w prawo, wchodząc w zakręt jak prawdziwy rajdowiec. Byłam pod wrażeniem własnego stylu, ale Gavin popsuł nastrój, klepiąc mnie mocno w ramię. Przestraszyłam się. Myślałam, że chce mnie przed czymś ostrzec, najprawdopodobniej przed pościgiem. Ale nie przypuszczałam, żeby byli aż tacy szybcy. Obejrzałam się i popatrzyłam na niego. Nie chciałam zwalniać ani tracić koncentracji.

Wskazał coś za nami i kiedy mu się przyjrzałam, próbując zgadnąć, o co mu do cholery chodzi, krzyknął, zagłuszając na chwilę ryk silnika:

-Fi!

Nadal nie miałam pojęcia, o czym on mówi, ale wiedziałam, że nie mogę uciekać w bezpieczne miejsce, kiedy Gavin pokazuje w przeciwną stronę i woła imię mojej ptzyjaciółki.

Gwałtownie zaczęłam hamować. Sekundę później wyprzedził nas Homer.

- Dlaczego się zatrzymałaś? - wrzasnął.

Całą twarz miał pokrytą pyłem. Tak to jest, kiedy się jedzie z tyłu.

- Chyba została tam Fi - krzyknęłam w odpowiedzi. Kopniakiem wrzuciłam jedynekę i zawróciłam. Kiedy odjeżdżałam, Homer, który nie wyszedł jeszcze z zakrętu, znowu

dostał pyłem w twarz. Ale miałam inne zmartwienia na głowie, już myślałam, że udało nam się odjechać od gospodarstwa Whittakerów, a trzeba było zawrócić. To strasznie niesprawiedliwe.

Na szczęście musieliśmy się cofnąć tylko o kilkaset metrów. Okrążyliśmy mały łysy pagórek i nagle z zarośli u jego podnóża wyłoniła się oszołomiona postać. Mogła być zrozpaczonym aniołem: miała potargane jasne włosy, dzikość w oczach i bezradnie wyciągała do mnie ręce.

- Zgubiłam Gavina - zawołała.

Ale wtedy go zauważyła. Chyba nie była pewna, czy go uściskać, czy raczej sprać. Tyle że na żadną z tych rzeczy nie było czasu. Zawahała się i wtedy krzyknęłam:

- Wsiadaj do Homera!

Znowu zawróciłam i dałam gazu. Nie widziałam reakcji Fi na widok zakrwawionego Homera, ale zauważyłam minę Homera, kiedy Fi wskoczyła na miejsce za nim. Ten patałach nawet w takim momencie miał na twarzy lekki uśmiezek, kiedy Fi objęła go w pasie. Nie trzymała się jednak zbyt mocno. Wyglądała tak, jakby mogła spaść na pierwszym większym wyboju.

Może tak było dla niej bezpieczniej.

Pędziliśmy drogą przez parę kilometrów. Rozpędziłam yamahę do stu dziesięciu kilometrów na godzinę. Byłoby wspaniale, gdybym mogła zostać na tej drodze trochę dłużej, rozkoszując się gładką nawierzchnią, ale musieliśmy założyć, że ludzie z gospodarstwa Whittakerów zadzwonili do władz jakieś dziesięć minut temu, więc pogoń mogła się zjawić z dwóch stron. Ciagle się rozglądałam na prawo i lewo, szukając najlepszego miejsca, w którym można by zjechać z drogi, i w końcu je znalazłam, kiedy zobaczyłam w oddali spore skupisko skał. Uznałam to za

idealne rozwiązanie, bo na kamienistej nawierzchni nie widać śladów.

Homer i Fi zostali kawalek w tyle - ich suzuki nie było takie szybkie jak nasza yamaha - ale nadal byli w zasięgu wzroku, więc widzieli, co robimy. Nie musiałam sygnalizować skrętu kierunkowskazem.

Wjechanie na te kamienie nie było łatwą sprawą. Rosło tam sporo trawy, od której chciałam się trzymać jak najdalej. Płaskie kamienne odcinki były w porządku, ale okazały się dość strome i oczywiście brakowało nam na nich przyczepności. Kilka razy musiałam zsiąść z dużego, ciężkiego motoru i pchać. Myślę, że Gavinowi podobała się ta cała akcja, co zresztą wcale mnie nie dziwiło. Siedział skulony jak mały dżokej i w ogóle mi nie pomagał.

Nie miałam czasu się nim zajmować: całą energię i skupienie poświęciłam dostaniu się na szczyt wzgórza.

Byliśmy mniej więcej w połowie skalistego odcinka, kiedy na drodze zaczął się ruch. Dwa gaziki przemknęły obok, jadąc w stronę Whittakerów. W zasadzie prowadziłam wtedy motor, więc usłyszałam, że się zbliżają. Mogłam się ukryć w cieniu i oprzeć motor o wielki głaz, a przy okazji trochę odsapnąć. Spojrzałam w dół i zobaczyłam, że Homer i Fi schowali się za innym głazem. Zastanawiałam się, jak Homer daje sobie radę mimo tych wszystkich obrażeń. Przynajmniej miał do pomocy Fi. Gavin najwidoczniej zupełnie opadł z sił.

Kiedy tylko gaziki zniknęły, na nowo podjęliśmy ciężką wspinaczkę. Dość niespodziewanie pojawił się spory płaski odcinek, cały porośnięty trawą. Zostawiłam na nim ślady. Przyspieszyliśmy i potem szło już lepiej: nie było aż tak stromo, a skały były mniejsze. Pokonałam jeszcze dwa kilometry, potem znowu

się zatrzymałam. Oparłam motor na stopce i zaczekałam na pozostałych. Dotarli do nas po mniej więcej czterech minutach.

- Co radzicie? - zapytałam.

- Musimy jechać dalej - powiedział Homer. Wyglądał okropnie, był szary od pyłu i spocony, ale już nie tak bardzo zakrwawiony. - Na lotnisku dobrze nam się przyjrżeli, więc kiedy wymienią się informacjami z ludźmi na farmie... - musiał przerwać, żeby złapać oddech - nie będą potrzebowali dużo czasu, żeby dojść do tego, że jesteśmy na szczycie listy najbardziej poszukiwanych przestępców.

- Jasne - mruknęłam zniecierpliwiona. Tyle to i ja wiedziałam. - Ale którądy jechać?

- Może naokoło Mingle ow? - podsunął Homer. - A potem przez most niedaleko Holloway. Nie będą w stanie nas ścigać aż tak daleko, a gdyby nawet byli, nie skojarzą nas z Piekiełm.

- Starczy ci benzyny? - zapytałam.

- Tak, jeśli wskaźnik nie kłamie, powinniśmy dojechać. Nie miałam siły się kłócić. Złożyłam stopkę.

- Jadę z Homerem - powiedział Gavin i zeskoczył z motoru. Fi wzruszyła ramionami i usiadła na jego miejscu. Znowu ruszyliśmy. Pokonaliśmy resztę kamieni i wjechaliśmy w las.

W zasadzie część tego dnia okazała się całkiem miłą. Jasne, byliśmy coraz bardziej zmęczeni. Wysiłek włożony we wspinaczkę po bezsennej nocy i z pustym brzuchem połączył się z serią okropnych zdarzeń, żeby odebrać moim nogom siłę, a sercu odwagę. Na chwilę po prostu się wyłączyłam - tak naprawdę na większość poranka - i jechałam jak w transie. Fi ciągle mnie trącała, żebym nie zasnęła. Ale las ma w sobie coś uspokajającego. Staram się nim za bardzo nie zachwycać, bo wiem, jaki potrafi być okrutny, i widziałam, co zrobił Darinie, ale i tak czasami

potrafi podnieść człowieka na duchu. Mieliśmy kiedyś gości z miasta, którzy na jego widok strasznie się roztkliwiali i rozpływali w zachwytach. Dwie przyjaciółki mamy patrzyły na stadko kaczek na drugim brzegu strumienia i mówiły: „Prawda, że są piękne? Co za sielska scena”. Gapiłam się na re panie i nie mogłam uwierzyć w to, co słyszę. Wśród kaczek właśnie wybuchła wrzaskliwa kłótnia, istna wojna domowa. Ptaki biegały w kółko, trzepocząc skrzydłami, darły się wniebogłosy i wrywały sobie pióra, jakby zamierzały się pozabijać.

Jeśli chodzi o las i o przyrodę w ogóle, nie należy mieć złudzeń.

Doskonale o tym wszystkim wiedziałam, ale i tak nie mogłam się oprzeć mocy tego miejsca. Przez jakiś czas jechaliśmy wśród eukaliptusów. Drzewa rosły dość rzadko i nie było poszycia. Wszystko wydawało się takie łatwe, takie miłe. Wysokie białe pnie obłożące z płowej kory, brązowe ptaszki pędzące od drzewa do drzewa. Żadne jaskrawe kolory nie raziły w oczy. Cisza, świeżość, samowystarczalność. Nie był to raj — o nie — ale mnie wystarczał.

Tuż po południu w mojej yamasze skończyła się benzyna, więc wrzuciliśmy ją do sadzawki. Przez następną godzinę jechaliśmy na zmianę drugim motorem. Wiózł dwie osoby i dwa plecaki. Uzgodniliśmy, że kiedy w suzuki Homera skończy się benzyna, zatrzymamy się na lunch. Byliśmy twardzi, każąc sobie czekać, ale przed postojem musieliśmy się znaleźć jak najdalej od farmy. Zauważyłam, że rozpaczliwie wyczekuję chwili, w której suzuki zakrztusi się albo czknie, dając nam upragniony sygnał, że bak jest już prawie pusty.

W końcu piętnaście po pierwszej silnik wydał ostatnie tchnienie i zamilkł. Wepchnęliśmy motor w krzaki jeżyn.

Cisza wydawała się dziwna. Tak bardzo przywykłam do warkotu motorów, że musiało minąć trochę czasu, zanim z powrotem oswoiłam się z ciszą. Ale urządziliśmy sobie miły piknik. Gavin z wygłodniałą miną patrzył, jak otwieramy plecak. Od kradzieży jedzenia minęło tyle czasu, że nie pamiętałam, co do niego włożyliśmy. Niestety, wyglądało na to, że nie zabraliśmy plecaka z moimi ulubionymi nerkowcami i innymi orzechami. Znaleźliśmy za to ryżowe przekąski oraz banany i pomarańcze, które dorzuciłam w ostatniej chwili.

Nikt nie odezwał się słowem. Wiedzieliśmy, że czas nagli, a zresztą i tak nie mieliśmy siły na rozmowy. Jedliśmy jakoś tak niepewnie, jakbyśmy nie mieli do tego prawa. I to we własnym kraju! To takie niesprawiedliwe. Homer ciągle się oddalał, stawał między drzewami z bananem w ustach i z przechyloną głową nasłuchiwał, podczas gdy my jedliśmy. Potem wracał po dokładkę.

Pięć minut później zmusiłam resztę do dalszej drogi. Zarzuciłam na plecy jeden plecak, Homer wziął drugi. Ruszyliśmy na północny zachód, ale stopniowo zataczaliśmy łuk, aż w końcu mniej więcej o czwartej zobaczyliśmy w oddali błogosławiony zarys Szwu Krawca, wysoką fioletowoszarą grań. Ten widok dodał mi energii. Zaczekałam na Fi i Gavina, żeby dotrzymać im towarzystwa, żeby ich podnieść na duchu. Zostali w tyle i wiedziałam, że opadli z sił. Ale poza tym wiedziałam, że jeśli utrzymamy przyzwoite tempo, o poranku możemy być już w Piekło.

Najdziwniejsze było to, że wszystko w Piekło wyglądało zupełnie normalnie: jakby w chwilach, w których my leżeliśmy zamknięci w bagażnikach albo uciekaliśmy motorami wśród świszczących kul, oni opalali się, bawili i czytali. Dzikusy przejawiały zainteresowanie naszymi przygodami tylko wtedy, kiedy razem z Fi opatrywałyśmy Homera. Najwidoczniej lubiły patrzeć, jak się krzywi, przygryza wargę i przeklina, kiedy dezynfekujemy rany.

Pod gęstymi włosami miał paskudnie rozciętą głowę. Najprawdopodobniej stąd pochodziła krew zaschnięta na jego twarzy. Poza tym większość jego obrażeń stanowiły rany cięte i siniaki, zwłaszcza na prawym biodrze i goleni. Musiały cholernie boleć.

Niewiele mogliśmy na to poradzić. Pozostawało nam najwyżej podziwianie widowiskowych fioletowo-granatowo-zielono-czarnych kolorów.

Ale Homer - jak to Homer - był twardy. Może i się krzywił, może i przeklinał, ale za każdym razem, kiedy się wahałyśmy, martwiąc się, że sprawimy mu zbyt wielki ból, mówił: „No, dalej, załatwcie to, w czym problem?”.

Gavin i Jack patrzyli na niego z zazdrością. Widziałam, że to dla nich cenna lekcja. W pewnej chwili zapytałam Homera:

- Może jednak uroniłbyś kilka łez, żeby pokazać tym maluchom, że płacz to nic złego?

Marzenia.

Kiedy tylko skończyłyśmy, Natalie zaczęła się domagać, żebym jej opowiedziała bajkę, a Jack i Casey odciągnęli mnie na bok, chcąc pokazać wymyślną tamę, którą zbudowali na strumieniu.

Prawdę mówiąc, była całkiem dobra. Patrząc na nią, myślałam, że kiedy urosną, mogliby zostać dobrymi inżynierami. Potem zrobiło mi się smutno, bo sobie uświadomiłam, że prawdopodobnie nie pożyją wystarczająco długo, żeby dostąpić zaszczytu zostania inżynierami albo kimkolwiek innym. Zostanie zwłokami to kiepski plan na przyszłość.

Na razie wydawali się jednak dość pogodni. Pokazali mi, jak przepuszczają wodę przez szereg blokad. Mogli zmienić jej bieg, przesuwając kilka kamieni. „Sprytne gnojki” - pomyślałam. A głośno dodałam:

- Potrzeba wam już tylko turbiny i moglibyście zaopatrzyć Piekło w energię elektryczną.

Wytrzeszczyli oczy. Pewnie już sobie wyobrażali całą kotlinę rozbłyskującą światłem latarni. Założę się, że Casey marzyła o telewizorze i grach wideo. Nie chciałam im mówić, że to nie będzie takie proste.

Lee i Kevin byli ciekawi, co się działo na farmie, i z radością słuchali naszych niekończących się relacji, ale opowiadanie o czymś ludziom, których przy tym nie było, to jednak nie to samo. Homer opisywał, jak przestrzeliłam zamek w drzwiach. Kevin kiwał głową, jakby naprawdę go to interesowało, ale kiedy

przyszła kolej na najbardziej dramatyczną część opowieści, zdjął skarpetkę i zaczął oglądać swój wrosnięty paznokieć. Naprawdę czasami dochodziłam do wniosku, że Kevin jest beznadziejny.

Leżąc w bagażniku, podjęłam pewną decyzję. Dotyczyła Lee. Te przerażające godziny sprawiły, że spojrzałam na nas z trochę innej perspektywy. Skulona w tej małej ciemnej przestrzeni zrozumiałam, że nie chcę umierać, nie naprawiwszy naszych relacji. Nie było sensu rezygnować z wielkiej przyjaźni z powodu dumy. W życiu istniały ważniejsze rzeczy. Czasami nie wystarczało mieć rację.

Tyle że trudno było odciągnąć kogokolwiek od jedzenia. Oprócz dwóch wypakowanych plecaków przynieśliśmy zabite jagnię. Uznaliśmy, że waf to poświęcić energię, żeby je złapać, zabić i wypatroszyć, a następnie usunąć ślady krwi i zakopać odpadki, żeby nie zostawić żadnych śladów.

Niestety, nie pomyśleliśmy o tym, że trzeba będzie przenieść to jagnię po Szwie Krawca i zataszczyć je do Piekła. Fi i Gavin byli tak wycieńczeni, że cała robota przypadła w udziale mnie i Homerowi. Całe szczęście, że nie musieliśmy nieść jeszcze tamtych dwojga: Gavin trzy razy próbował pytać, czy nie wzięlibyśmy go na barana i trzy razy odmawialiśmy, zanim zdążył dokończyć zdanie. W pewnym sensie żałowałam, że nie mogę go ponieść. Po raz pierwszy okazał słabość, miękkość, sympatię. Po raz pierwszy pękła jego twarda skorupa. Po raz pierwszy o cokolwiek mnie poprosił. Ale jak to mówią, wojna to nie bajka i nikt nie zamierzał nikogo nosić. Gavin sam chciał wziąć udział w tej wyprawie, więc musiał się zmierzyć z konsekwencjami.

W każdym razie po powrocie szukałam okazji, żeby porozmawiać z Lee sam na sam, ale kiedy wyjeśliśmy jedzenie, szybko zdałam sobie sprawę, że nie ma na to najmniejszych szans, bo

wszyscy skupili się na zapasach. Dopiero gdy udało mi się od-gonić te ludzkie sępy i gdy w końcu wszystko posegregowałam, poszłam poszukać Lee.

Kilka minut później zauważyłam, jak idzie nad strumień z butelką na wodę, więc ruszyłam za nim. Zastałam go kuczającego na brzegu. Patrzył, jak woda wpływa do butelki, ale nie robił nic, żeby wpływała szybciej.

Podchodząc do niego, specjalnie robiłam dużo hałasu, bo wiedziałam, że na tej wojnie bezszelestne zjawienie się może wywołać porządny szok.

Ale Lee się nie odwrócił.

Usiadłam obok niego i patrzyłam, jak wpycha butelkę trochę głębiej, aż bulgoczą bąbelki. Potem znowu ją uniósł, wylał większość wody i wepchnął butelkę z powrotem, robiąc więcej bąbelków. Chyba powtarzały to godzinami, gdybym się nie odezwała. Wyglądało na to, że z tadością kucaliby tam całą wieczność, patrząc, jak woda płynie i wiruje.

- Lee - powiedziałam w końcu - muszę z tobą porozmawiać. Nie zareagował, więc mówiłam dalej.

- Wiem, że to, co zaszło w Stratton, popsuło nasz związek. Uważam, że to okropne. Ta historia z dziewczyną była straszna, ale szczerze mówiąc, jeszcze gorsze jest to, że przestaliśmy ze sobą rozmawiać, przyjaźnić się. Zrobiłabym wszystko, żeby było tak jak dawniej. Wiem, że to nigdy nie wróci, ale jeśli obydwoje będziemy wystarczająco mocno chcieli, możemy odzyskać przyjaźń. Chciałam ci tylko powiedzieć, że ja tego chcę. I to bardzo. Po chwili dałam mu lekkiego kuksańca w ramię i zapytałam: - Więc jak? Będziemy znowu kumplami?

Byłam bardzo spięta i chyba trochę miałam do niego żal, że sama muszę ciągnąć tę rozmowę.

W końcu odwrócił do mnie głowę i choć nie patrzył mi w oczy, powiedział:

- Jak myślisz, co nas powstrzymuje od bycia przyjaciółmi? Mówił takim spokojnym głosem, że nie sposób było zgadnąć, do czego zmierza.

- No wiesz - zaczęłam - chyba byłam dla ciebie dość surowa. Ale pogodziłam się z pewnymi sprawami. Ciągłe zapominam, jak bardzo wojna zmienia życie i że wszyscy robiliśmy głupie rzeczy, z których niekoniecznie jesteśmy dumni...

- Więc - przerwał mi - dla ciebie najważniejsze jest wybaczenie mi, że kręciłem z Reni.

Tak miała na imię tamta dziewczyna ze Stratton.

Słyszając te słowa, głośno przełknęłam ślinę. Miałam silne poczucie, że wkroczyłam na niebezpieczny teren. Ale spróbowałam być szczerą.

- Okej, jeśli chcesz to ująć w ten sposób, chyba rzeczywiście chodzi o coś w tym rodzaju.

No, wreszcie to wykrztusiłam. Wbiłam paznokcie w dłonie i czekałam. Ale on wcale się nie wściekł. Po prostu podniósł butelkę, która nadal była pusta, i ruszył w stronę wzgórza. Odchodząc, powiedział jednak:

- Nie to jest najważniejsze. Najważniejsze jest to, żebym wybaczył sobie.

Idiotka. Nigdy o tym nie pomyślałam w ten sposób. Byłam za bardzo zaabsorbowana własnymi uczuciami.

Siedziałam tam bardzo długo, próbując wykombinować, co teraz zrobić. Nie miałam pojęcia.

I rozmyślałabym o tym dwadzieścia cztery godziny na dobę, gdyby nie inny plan, który przez cały czas tkwił w mojej głowie.

Boże Narodzenie.

Chciałam zorganizować święta, przede wszystkim ze względu na dzieci. Od początku wiedzieliśmy, że to będzie najdziwniejsze Boże Narodzenie w dziejach. Dzieci zaczęły się trochę oswajać, ale Bóg mi świadkiem, że musieliśmy się nad nimi mocno napracować. Największa poprawa nastąpiła dzięki Gavi-nowi. Reszta prawie we wszystkim brała z niego przykład, a po naszych szalonych przygodach na farmie Whittakerów był do nas lepiej usposobiony. Przeżył ciężkie chwile w bagażniku alfy, więc chyba był mi wdzięczny, że go stamtąd wyciągnęłam. Ale nadal był małym łobuzem. Kilka minut po opuszczeniu farmy uciekł Fi, nie zdradzając swoich planów choćby słowem. Najwidoczniej miał żal, że odsunęliśmy go od akcji. Fi była absolutnie przerażona, nie wiedziała, dokąd uciekł ani co się stało. A Gavin pobiegł oczywiście prosto na farmę. Z tego, co mówił, przyczał się tam jak lis pod kurnikiem. Wiedział, że ja i Homer nadal jesteśmy w środku.

Kiedy Gavin opowiadał jakąś historię, aż miło było patrzeć. Relacjonował całym ciałem. Jego ręce kreśliły zarys domu, twarz pokazywała, jak jego strach przechodził w podekscytowanie, a potem w nienawiść i znowu w strach. Na paluszkach zademonstrował, jak cicho okrążał budynek i jak uskakiwał w cień, gdy tylko kogoś zauważył.

Pozostałe dzieci słuchały go z przejęciem. My też. Fascynowały mnie jego umiejętności aktorskie. Jeśli Casey i Jack mieli zostać inżynierami, Gavin z pewnością byłby wielkim akrorem.

Gavin nie widział, jak wskakuję na motor i nacieram na dwoje ludzi. Ale już parę minut po dotarciu na farmę zauważył poruszenie w środku: ludzie biegali i zapalali światło. Kiedy w budynku zapanował chaos, Gavin wycofał się do warsztatu. Nagle z domu wybiegli ludzie, żywo gestykulowali i pędzili we

wszystkich kierunkach. Dwie osoby miały karabiny. Gavin porządnie się wtedy zestresował. W końcu nadeszła chwila, w której teren przed kuchennymi drzwiami opustoszał. Gavin niczego więcej nie potrzebował. Popędził prosto do drzwi jak rzutka wyrzucona z całą siłą. Otworzył je na oścież. I zobaczył, jak jedzie na niego wielki motor, a na nim dwaj dzicy i szaleni nastoletni maniakalni mordercy...

Naprawdę dobrze nas naśladował — Natalie turlała się po ziemi, pękając ze śmiechu. Ten widok mnie ucieszył. Roześmiana Natalie była zjawiskiem równie rzadkim jak płaczący Homer, przeklinająca Fi albo latające emu.

Powiedziałam to Fi parę minut później, kiedy poszliśmy do toalety. Strasznie się oburzyła.

- Przecież przeklinam!

- Wcale nie!

- Właśnie, że tak! Serio, przeklinam bardzo często.

- Fi, nigdy w życiu nie słyszałam, żebyś przeklinała. Chociaż mówiąc to, przypominałam sobie jak przez mgłę,

że użyła słowa „cholerne”, kiedy organizowaliśmy włamanie do supermarketu w Wirrawee. O mało nie wpadliśmy wtedy w pułapkę.

- Przeklinam, przeklinam.

Aż się prosiła, żeby się z nią podroczyć. Tak bardzo chciała udowodnić, że jest buntowniczką. A naprawdę taka z niej była buntowniczka jak ze mnie supermodelka.

- No dobrze, więc kiedy ostatnio przeklinałaś?

- Na farmie Whittakerów.

- Nie słyszałam. Są jacyś świadkowie? Musisz mieć jakiegoś świadka.

- Nie, przeklinałam po cichu. W zasadzie nikt tego nie słyszał.

- To się nie liczy!

- Liczy się - upierała się Fi, zupełnie bez sensu.

Wojna zmieniła wiele spraw - albo większość z nich - ale Fi nadal była równie niewinna, równie nieskażona złem jak na początku. Nie mam pojęcia, jak jej się to udawało.

Myjąc ręce, rozmawiałyśmy o świętach. Postanowiłyśmy, że dzisiaj mamy 22 grudnia, i podczas lunchu ogłosiliśmy, że Boże Narodzenie będzie za dwa dni. Dzieci przestały pożerać zimną jagnięcinę z sucharkami i spojrzały na nas, wytrzeszczając oczy.

- Można tu obchodzić święta? - dopytywał się Jack. Miło było zobaczyć jakąś reakcję z jego strony. Nadal był

bardzo wycofany, prawie nie rozmawiał z innymi dziećmi, nie wspominając o nas, choć najwyraźniej uważał, że Tatusiek Homer zasługuje na odrobinę uwagi. Biedne pomyłone dziecko.

-Jasne, że można - odpowiedziałam wesoło. - Będziemy mieli choinkę, ozdoby i pośpiewamy kolędy. Poza tym mamy nadzieję, że jutro w nocy Kevin i Lee wybiorą się po następne jagnię.

- Przyjdzie Mikołaj? - zapytała Natalie.

- No pewnie. Mikołaj nigdy nie zawodzi. Ale tym razem przyniesie specjalne leśne prezenty zrobione na czas wojny. Nie jak za dawnych czasów. Nie będzie lalek Barbie, gier wideo ani rolek.

Casey i Gavin wydawali się zainteresowani, ale podejrzliwi. Sądząc po ich minach, ogólne nastawienie można by podsumować słowami: „Okej, jeśli wam się uda, być może zrobicie na nas wrażenie, ale uwierzemy dopiero, jak zobaczymy”.

Dlatego tym bardziej się starałam, żeby wszystko wypaliło.

Po południu robiłyśmy z Fi świąteczne ozdoby. Asystowały nam Casey i Natalie, które w zasadzie bardziej przeszkadzały, niż pomagały. Na chwilę dołączył do nas Jack. Spisał się całkiem

dobrze, mimo że przez cały czas udawał obojętność. Cieszyłam się, że podjął wysiłek.

Zrobiliśmy stroiki z drutu z naszego dawnego kurnika, wykorzystując bluszcz, lawendę i laki rosnące przed chatką pustelnika. Potem ułożyliśmy dwanaście bukietów z czerwonych borówek.

Homer, Kevin i Lee poszli do chatki pustelnika, żeby zorganizować prezenty. Podsunęliśmy im kilka pomysłów i przetrząsnęliśmy nasz nowy dobytek w poszukiwaniu rzeczy, które można by podarować. Dzikusy ograbiły nas w Stratton z tyłu rzeczy, że niewiele nam zostało. Na dodatek trzeba było znaleźć coś, czego dzieci jeszcze nie widziały.

Poza tym chciałam coś podarować Fi i chłopakom. Długo się zastanawiałam, co to by mogło być. Dla Lee ostatecznie napisałam wiersz na kawałku kory. Na korze pisze się świetnie, tak samo jak na papierze. Dla Homera przygotowałam rysunek na korze przedstawiający jego dom. Fi zrobiłam kolczyki z drutu i piórek sowy. Prezentem dla Kevina była miska z obrzęku pnia, który lekko wydrążyłam papierem ściernym, ale od początku miał tak dobyt kształt, że nie wymagał wiele pracy.

To były pracowite dwa dni. Po pierwszym zdałam sobie sprawę, że wydarzył się mały cud. Wszyscy byli tak bardzo zajęci, tak nas pochłoneły te świąteczne przygotowania, że czuliśmy się, jakby wcale nie trwała wojna. Nikt o niej nie wspominał. Byliśmy tak pochłonięci swoimi małymi tajemnicami, że nie mieliśmy czasu wspominać złych i brzydkich wydarzeń ostatnich dwunastu miesięcy. Myślałam z dumą, że mój pomysł zorganizowania świąt już dowiódł swojej wartości. Nawet gdyby nasze Boże Narodzenie okazało się kompletną klapą, tak naprawdę nie miałyby to znaczenia: już dostaliśmy świąteczny prezent.

Oczywiście nadal sprawdzaliśmy, czy na Szwie Krawca nie pojawili się kolejni nieproszeni goście, ale wszystko wskazywało na to, że na górze nikt się nie kręci. Mieliśmy dwa i pół dnia spokoju i był to najcenniejszy prezent, o jaki moglibyśmy prosić. Ostatecznie te wszystkie świąteczne kartki z życzeniami „spokojnych i wesołych” świąt nie były jednak takie głupie.

Dzieci nie mogły się doczekać świąt. Zanim nadeszła Wigilia, zdążyły prawie zwariować. Nawet Jack, który był mniej więcej tak uczuciowy jak góra plasteliny, dostał słowotoku. No, przynajmniej jak na jego możliwości. Kiedy powiedziałam mu dobranoc, zapytał, czy jutro będą jakieś lizaki, i rozpoczął długą, nudną opowieść o swoich ulubionych słodyczach sprzed wojny. Natalie po raz pięćdziesiąty zapytała, czy Mikołaj aby na pewno znajdzie nas w Piekło, a ja po raz pięćdziesiąty ją zapewniłam, że nie będzie miał z tym problemu, jeśli tylko Natalie uwierzy, że Mikołaj przynosi prezenty dzieciom ukrywającym się w lesie podczas wojny. Wydało mi się zadziwiające i wzruszające, że pomimo okropnych doświadczeń Natalie nadal wierzyła w Świętego Mikołaja.

Musieliśmy czekać godzinami, żeby te małe gnojki w końcu zasnęły. Zaczęłam rozumieć, jak wycieńczające musiały być święta dla naszych rodziców. Nie sądzę, żeby Gavin albo Jack naprawdę interesowali się Mikołajem. Po prostu nie chcieli iść spać, żeby narobić większego zamieszania. A Casey po prostu lubiła, jak się ją o coś prosi.

W każdym razie w końcu wydobyliśmy z ukrycia naszą żalną kupkę prezentów. Nie wyglądało to jak na reklamach w telewizji. Nie było wstążek, nie było kolorowego papieru, a już z pewnością brakowało rowerów.

Rano zmusiłam wszystkich, żeby przed otwarciem prezentów poszli do kościoła. W domu zawsze tak robiliśmy, a chyba

im dłużej trwała wojna, tym ważniejsze wydawało mi się pielęgnowanie naszych tradycji. Dlatego zebraliśmy się nad strumieniem - niektórzy z entuzjazmem, a inni mniej ochoczo.

- Będziemy teraz słuchać o Bogu? - burknął Jack.

Woda cichutko bulgotała w tle, a ja przeczytałam fragment z Biblii Robyn. Potem zaśpiewaliśmy *Cichą noc* i inne kolędy. Dla Gavina nie było to chyba zbyt porywające, ale reszta się starała. Cieniutkie głosiki dzieci mieszały się z szorstkim mruzeniem Homera i fałszującym barytonem Kevina. W zasadzie nikt nie pamiętał słów. Pierwsze wersy były łatwe. Potem zaczynały się schody, ale wspólnymi siłami jakoś daliśmy radę.

Później przyszła pora na prezenty.

Ku mojemu zaskoczeniu poszło całkiem nieźle. Najwidoczniej dzieci zrozumiały, że bożonarodzeniowe zasady obowiązujące w Piekło są zupełnie inne od tych, które obowiązywały za dawnych czasów. Nikt nie narzekał na brak plastikowych prezentów, zabawek na baterie i gadżetów reklamowanych w telewizji. Biorąc pod uwagę to, jak bardzo te dzieci lubiły narzekać, byłam całkiem zadowolona.

Chłopaki świetnie się spisały w warsztacie z zabawkami. Dla Natalie powstały na przykład pacynki ze starych skarpetek Homera. Miały oczy z guzików, nosy i usta z materiału i wyszły z tego zabawne postacie. W wypadku Natalie to był strzał w dziesiątkę. Jack dostał trzy dtewniane ciężarówki z kółkami z guzików i osiami z drutu. Chyba zrobił je Lee. Dla Casey był zestaw pięciu kostek wyjętych ze szkieletów owiec i zapakowanych w piękne pudełeczko.

Poza tym zarwałam dwie noce, żeby zrobić cztery drewniane krucyfiksy, które nawlekłam na sznurówki. To było dla mnie bardzo ważne. Zrobiłam je głównie ze względu na Robyn,

ale także dla siebie samej. Im dłużej trwała ta wojna, tym bardziej byłam religijna. Kiedy w nocy patrzyłam na gwiazdy, na te wierne ogniki, coraz trudniej było mi wątpić w istnienie siły, która to wszystko kontroluje. Dlatego zrobiłam krucyfiksy, próbując podarować tym dzieciom odrobinę dodatkowej ochrony. Polubiłam te małe stworzenia, nawet jeśli czasami bywały leniwe, samolubne, wkurzające i nieodpowiedzialne. W końcu Gavin uratował nam życie.

Jedyną osobą, która wyglądała na trochę zawiedzioną, był Jack, który spojrzał na mnie z ponurą miną i zapytał:

- Naprawdę nie ma lizaków?

Tylko wzruszyłam ramionami. Był strasznym łasuchem. Zajął się swoimi ciężarówkami, ale miałam wrażenie, że brak lizaków popsuł mu cały dzień.

Kevin podarował mi małe didgeridoo, przepraszając, bo wiedział, że będę mogła na nim zagrać dopiero po wojnie. Lee dał mi szarozielony kamień, który co kilka minut, kiedy zmieniało się światło, zmieniał kolor. Fi zrobiła dla mnie wieniec: po jednej stronie miał liście eukaliptusa, a po drugiej wysuszoną trawę i zielone gałązki w kolorze tych liści. Homer podarował mi wisiołek wyrzeźbiony z kości, trochę przypominający piękne ma-oryskie ozdoby, które widzieliśmy w Nowej Zelandii.

Nawet Casey i Natalie dały mi prezent: bransoletkę uplecioną z trawy i gałązek w różnych kolorach. Podejrzewam, że większość pracy wykonała Casey. To była ładna bransoletka. Casey miała talent i jak na kogoś ze złamaną ręką odwaliła kawał dobrej roboty.

Dziewczynki zrobiły drugą bransoletkę dla Fi i podobne prezenty dla chłopaków, tyle że oni dostali naszyjniki. Pech chciał, że naszyjnik Lee rozleciał się przy pierwszym dotknięciu, ale Lee szybko go zasłonił i nikt inny nie zauważył.

Jack i Gavin nie byli aż tak dobrze zorganizowani. Nie mieli dla nikogo prezentów. Nie wiem, czy dlatego, że o tym nie pomyśleli, czy może nadal nie byli do nas przekonani, ale wydawali się trochę zakłopotani, kiedy Casey i Natalie wyjęły swoje podarunki.

Na lunch mieliśmy prawdziwą ucztę. Kiedy przetrząsnęłam dwa plecaki z zapasami od Whittakerów, okazało się, że kilka smakołyków ocalało. Ukryłam je w swoim namiocie. Ale posiłek rozpoczął się od innej niespodzianki. Kevin i Lee poszli po jagnię, a zamiast niego przynieśli cztery kurczaki. Zrobili nalot na moje gospodarstwo i triumfalnie wrócili z kurczakiem w każdej ręce. Dwa były starymi bojlerami, ale dwa pozostałe okazały się trochę młodsze. Akcja była ryzykowna, mimo że nasz kurnik jest daleko od domu. Kevin i Lee podnieśli spód ogrodzenia i podkopali się, żeby wszystko wyglądało tak, jakby do kurnika wdarł się lis.

Bardzo się puszyli i byli z siebie okropnie dumni, prawdopodobnie wskutek chwilowego przebywania wśród kogutów.

— Po prostu jesteśmy leniwi — powiedział Lee. — Nie chciało nam się taszczyć jagnięcia taki kawał drogi.

Myślę, że po aferze, w jaką się wplątaliśmy u Whittakerów, chcieli coś udowodnić.

Wrócili wczesnym rankiem i tylko ja nie spałam, więc razem zanieśliśmy kurczaki do lasu, żeby je oskubać i wypatroszyć. Praca była długa i nudna i nie spisaliśmy się zbyt dobrze, bo zostało mnóstwo małych końcówek piór, ale spójrzmy prawdzie w oczy: i tak nikt się tym nie przejął.

Wieki temu zrobiliśmy szafkę do przechowywania mięsa z siatki na muchy, którą przywiozłam do Piekła, kiedy jeszcze używaliśmy land-rovera. Zbudowałam wtedy ramę z lekkich gałęzi i przybiłam do nich siatkę, a potem przyszyłam do drutu

kilka starych ręczników. Na szafce położyłam tacę i przytwierdziłam do niej końcówki ręczników. Potem włożyłam to wszystko do beczki, od której odprowadziłam wąską rurkę, żeby woda mogła ściekać do wiadra. Nie mam pojęcia, jakie zasady fizyki rządzą tym procesem, ale woda chyba się kondensuje albo coś w tym stylu i dzięki temu w środku jest chłodno. W każdym razie dopóki pamiętaliśmy o napełnianiu tacy na górze, wewnątrz naszej szafki na mięso pozostawało prawie tak chłodne jak w lodówce. Przyznaję, parę razy wyschło, zwłaszcza pewnego dnia, kiedy wiał gorący wiatr, ale kurczaki były w dobrym stanie, a jagnię wyglądało świeżo nawet po trzech dniach.

Nasza konspiracja zdała egzamin, a kiedy wyjęliśmy kurczaki z podziemnego piecyka i zobaczyłam miny przyjaciół, pomyślałam, że była warta zachodu. Po raz pierwszy w Piekło mogliśmy wybierać w jedzeniu: jagnię albo kurczak. Oczywiście w końcu wszyscy zdecydowaliśmy się na kurczaka. Upłynęło tak dużo czasu, odkąd czuliśmy ten nieodparty aromat złotobrazowej skórki. Na chwilę zamknęłam oczy i poczułam się tak, jakbym znowu znalazła się w Wirrawee.

Oprócz mięsa Kevin - który został naszym specjalistą od warzyw — przyniósł fasolkę i marchewki. Myślę, że dzieciom musiało bardzo brakować tych wszystkich witamin, które znajdują się w fasolce i marchewkach, bo praktycznie od razu je pochłonęły. Nie mogłam w to uwierzyć.

Potem przyszła pora na mój *coup de grace* (jeśli to właściwe określenie). Pół paczki oreos i torebka małych batoników mars. Napis na opakowaniu nie był po angielsku, ale marsy smakują tak samo w każdym języku.

Wyjmując słodczyce, obserwowałam Jacka. Nigdy nie widziałam aż tyle czystej radości. Jakby ktoś zapalił światło za jego

twarzą. Świeciło mu przez oczy, przez usta i skórę. W tamtej chwili naprawdę zapomniałam o wojnie i on chyba też.

- O - szepnął z przejęciem - to naprawdę dla nas?

Nie wiem, dla kogo jego zdaniem miałyby być - dla oposów?

Ale mój najlepszy prezent bożonarodzeniowy był jeszcze przede mną. Zgodnie z prawdziwie żeńską tradycją ja i Fi zajęłyśmy się większością przygotowań i pichceniem, a zgodnie z inną bożonarodzeniową tradycją z wdziękiem dałyśmy chłopakom i dzieciom do zrozumienia, że w zamian oni powinni posprzątać. Najlepiej przed pojawieniem się much, które też bardzo chciały przeżyć miłe Boże Narodzenie i zlatywały się tłumnie do każdej pozostawionej kości i resztek jedzenia.

Ale ku mojemu zdziwieniu Lee wstał, podniósł stertę dziwnych manatków, które nazywaliśmy talerzami, i powiedział:

- Zajmiemy się tym z Ellie. Chodź, Ellie.

Zawahałam się, połknęłam ciętą uwagę, która cisnęła mi się na usta, i wstałam. Zaczęłam zbierać talerze razem z Lee. Kiedy obładowani maszerowaliśmy nad strumień w asyście pełnych optymizmu much, Casey zaczęła gwizdnęła. Co za smarkula! Cieszyłam się, że jestem do nich zwrócona plecami i nikt nie może widzieć mojej czetwonej twarzy.

Nad strumieniem zaczęliśmy zanurzać talerze w wodzie i szorować je. Przez chwilę żadne z nas się nie odzywało. Gwizd Casey wprowadził mnie w zakłopotanie. Miałam wrażenie, że błyskawicznie uporaliśmy się z talerzami, i zaczynałam się martwić, że ostatecznie nic się nie wydarzy. Przeklęta Casey.

Ale w końcu, kiedy patrzyłam na wodę unoszącą ostatnie resztki jagnięciny, usłyszałam nerwowe chrząknięcie i podniósłszy głowę, zobaczyłam brązowe oczy Lee.

- Ellie, chciałem ci tylko powiedzieć...

Zamilkł. Wstałam, wpatrując się w te oczy, i miałam nadzieję, że dokończy, że nie straci odwagi. Po chwili zdołał dokończyć zdanie:

- ... wiem, że nie zachowałem się wobec ciebie w porządku. Już wcześniej byłam czerwona, ale teraz moja twarz przybrała chyba kolor purpury.

- Cierpiałś przeze mnie, mimo że nie zrobiłaś nic złego. To wszystko wyłącznie moja wina, zachowałem się samolubnie i głupio.

„Nie do wiary - pomyślałam. - Kiedy Lee przeprosza, to przeprosza naprawdę”.

- No więc pomyślałem: teraz albo nigdy - ciągnął. - Boże Narodzenie to najlepsza okazja do przeprosin.

Prawie się uśmiechnęłam, bo tak naprawdę wcale nie było świąt - po prostu wybraliśmy ten dzień i nazwaliśmy go Bożym Narodzeniem. Ale to nie miało znaczenia.

Przykucnęłam i westchnęłam. Wielki głąz stoczył mi się z serca. Uśmiechnęłam się lekko do Lee i powiedziałam:

- Dzięki.

Domyślałam się, ile go kosztowały te słowa. Czułam, że całe poczucie winy i smutek, jaki się we mnie zebrał, natychmiast odpłynęły. W pewnym sensie przez ten cały czas w mojej głowie odzywał się głos wyrzutów sumienia, próbujący mi wmówić, że to przeze mnie Lee zaczął kręcić z tamtą czarnowłosą dziewczyną. Ten głos nie chciał się zamknąć, nawet kiedy inny głos przekonywał, że to kompletna bzdura.

Na koniec naszej rozmowy nie rzuciłam mu się na szyję i nie kochaliśmy się namiętnie nad strumieniem. Niestety, nasze życie w Piekło nie przypominało tego w Hollywood. Czułam się bardzo niezręcznie. Chyba dlatego, że niezręcznie było słuchać

Lee tak pokornego i zakłopotanego. W zasadzie nic więcej nie powiedziałam. Wróciliśmy do pozostałych. Mimo to wiem, że czułam się inaczej, bo przez następne półtorej godziny bawiłam się z dziećmi w szalone zabawy, na przykład w chowanego, w doczepianie ogona Homerowi i w buldoga angielskiego, czego normalnie nie robiłabym za żadne skarby. Potem poszliśmy nad strumień i bawiliśmy się w misie-patysie. Gavin ciągle wygrywał.

Ale poza tym wydarzyło się coś dość dziwnego. Kiedy poszłam schować jedzenie, które nam zostało - orzechy, ugotowany ryż i puszkę kukurydzy - zauważyłam, że jego część zniknęła. Nie było migdałów ani orzechów makadamia. Dziwne. Na początku pomyślałam, że komuś po prostu zachciało się jeszcze jeść, ale takie częstowanie się jedzeniem było wbrew naszym zasadom, nawet w Boże Narodzenie. A kiedy zaczęłam pytać, kto to zabrał, wszyscy zaprzeczyli. Potem pomyślałam: „Może to leśne szczury, oposy, sroki?”. Ale wiedziałam, że to nie zwierzęta. Orzechy zostały zgrabnie zabrane ze sterty innych rzeczy, nie został po tym żaden bałagan. To musiała być sroka w ludzkiej skórze. Byłam wkurzona, bo wzajemny brak zaufania mógł bardzo skomplikować nasze życie w Piekło.

Dzieciaki. Czasami naprawdę czuję się przy nich jak mama. Nagle zauważyłam, że wcieliłam się w rolę bazarza, a dzieci bez końca domagają się opowieści z czasów mojego dzieciństwa na farmie. Z bólem przypominałam sobie, jak byłam w ich wieku i podczas długich wycieczek samochodem, siedząc przy kuchennym stole albo leżąc w łóżku, prosiłam rodziców o historie z ich najmłodszych lat. Słuchałam o tym, jak mama stawiała swoją młodszą siostrę pod ścianą, kładła jej na głowę jabłko i rzucała w nie rzutkami, dopóki nie nakryła ich moja babcia, która kazała mamie stanąć pod tą samą ścianą, a potem wzięła rzutki, poszła na drugi koniec pokoju i zamachnęła się, jakby chciała rzucić. Słuchałam o tym, jak tata w wieku dziewięciu lat położył na drodze portfel, do którego przywiązał żyłkę wędkarską, a potem schował się w krzakach i czekał. Za każdym razem, kiedy zatrzymywał się samochód i ktoś wychodził, żeby podnieść portfel, tata pociągał za żyłkę. Słuchałam, jak po przegranym meczu hokeja mama przekonała wszystkie koleżanki z drużyny, żeby napluły na rękę, zanim uścisną dłonie rywalkom. Jak tata po raz pierwszy poszedł na papierosa z kolegami i tak bardzo

próbował wyjść na luzaka, że kiedy już go wyjął i zapalił, zepsuł efekt, wkładając do ust podpalony koniec. Jak moi rodzice się poznali, kiedy tata zasnął na pace pikapa mamy po wiejskiej potańcówce.

No więc teraz opowiadałam własne historie. Dziwne: robiąc to, zauważyłam, jak bardzo takie opowieści nas kształtują. Jakby historie naszego życia czyniły z nas ludzi, którymi jesteśmy. Gdyby ktoś nie miał żadnych historii, nie byłby człowiekiem, w ogóle by nie istniał. A gdyby moje historie były inne, nie byłabym osobą, którą jestem.

Moje opowieści często były proste, ale to właśnie te najprostsze historie podobały się dzieciom najbardziej. Na przykład uwielbiały słuchać, jak w piątej klasie oszaleliśmy na punkcie kleju Perkins Pastę. Ładna, rzadka pasta była na topie. Na przerwach dolewaliśmy do niej wody, a potem, kiedy nauczyciel coś czytał, wyjmowaliśmy swoje mikstury i mieszaliśmy. Zrobiło się jeszcze ciekawiej, kiedy Fi wpadła na wspaniały pomysł i dodała do swojej wkład flamastra. Już następnego dnia wszyscy mieli klej Perkins Pastę w jakimś jaskrawym kolorze. Straszne dziwactwo, ale tak właśnie robiliśmy. Nie pamiętam, kto zapoczątkował tę modę ani jak się skończyła, ale dostarczała nam rozrywki przez wiele tygodni.

Dzieciom najbardziej podobały się opowieści o farmie, w których przeważnie występowały zwierzęta: na przykład krowa, która się powiesiła. Tylne kopyto uwięzło jej w króliczej norze i zsunęła się łbem w dół z małej skarpy. Opowiadałam im o naszym psie pasterskim, którego kiedyś na targu kopnął byk. Pies poszybował na odległość dwudziestu metrów, wstał, otrzepał się, wrócił, dostał jeszcze jednego kopa, znowu przeleciał dwadzieścia metrów, wstał, chyłkiem uciekł do ciężarówki i już do

końca życia nie zbliżał się do innych zwierząt. Nie trzeba dodawać, że nie żył zbyt długo, ale o tym dzieciom nie wspomniałam. Na farmie czasami trzeba być bezwzględny, lecz uznałam, że już i tak wystarczająco nasłuchały się o śmierci i naoglądały się jej aż nadto.

Raz wąż ukąsił naszą kotkę. Jad sparaliżował jej tylne łapy i była tak osłabiona, że musieliśmy ją karmić zakraplaczem.

Innym razem wróciłam ze szkoły i znalazłam węża śpiącego w kuchennym zlewie. Rozkoszował się stałą nierdzewną rozgrzaną wpadającym przez okno słońcem.

To były dzieci z miasta, wszystkie wychowywały się na przedmieściach Stratton. Z biegiem czasu - zwłaszcza po świętach Bożego Narodzenia - zaczęły mi opowiadać własne historie.

Casey dorastała na obrzeżach Stratton w domu wzniesionym przez swoich rodziców. Przez trzy lata, kiedy jeszcze budowali wymarzony dom, mieszkali w przyczepie. Miała brata i siostrę oraz dwie świnki morskie: Czarną i Niebieską. Przez kilka dni po kapitulacji Stratton miało spokój, ale potem zjawili się żołnierze. Tydzień później załadowano wszystkich na ciężarówki i do pociągów, a następnie wywieziono. W zamieszaniu Casey została oddzielona od rodziny i trafiła do ciężarówki do przewozu bydła. Kiedy pojazd zatrzymał się przed przejazdem kolejowym pod miastem, wyslizgnęła się i pobiegła z powrotem, szukając ciężarówki, w której była jej rodzina. Ale konwój odjechał, zanim zdążyła ją znaleźć.

Jack mieszkał w blokach, które, jak się domyśliliśmy, wchodziły w skład osiedla niedaleko centrum Stratton. Był jedynakiem, a jego rodzice się rozwiedli. Mieszkał z tatą. Pewnego dnia, kiedy żołnierze przejęli miasto, jego tata nie wrócił do domu. Jack nie miał pojęcia, co robić, bo tak naprawdę nie

mieli na osiedlu żadnych znajomych - tata nie chciał, żeby Jack zadawał się z sąsiadami. Dlatego Jack posilił się i zasnął na kanapie. Nazajutrz obudził go hałas. Żołnierze przyjechali zabrać ludzi. Jack był przerażony. Schował się w dużym kufrze w sypialni i choć żołnierze wyważyli drzwi, przebywali w mieszkaniu zaledwie chwilę. Kiedy Jack w końcu wyszedł z kryjówki, na osiedlu było pusto.

Gavin przedstawił swoją historię z fantastyczną precyzją. Kiedy przyszła jego kolej, opowiedział, jak żołnierze przyszli do jego domu. Na to wspomnienie twarz chłopca zapłonęła gniewem. Opowiedział nam, jak jeden z żołnierzy uderzył jego młodszą siostrę, bo zbyt wolno wchodziła do ciężarówki. Gavin pobiegł po polanie, pokazując nam, jak zaatakował tego żołnierza. Potem upadł i miotał się na ziemi, jakby żołnierz dawał mu kopniaki. Po chwili, wyjaśniając, jak ciężarówka odjechała bez niego, tak bardzo posmutniał, że nie wiedziałam, czy odgrywa to dla nas, czy może naprawdę rozpacza po utracie rodziny. Pewnie jedno i drugie.

Gavin miał tylko mamę i siostrę. Jego tata zginął w eksplozji w fabryce, kiedy Gavin miał trzy lata.

Najsmutniejsze w historiach tych dzieci było to, że Natalie miała bardzo mało do powiedzenia. Zapomniała większość tego, co działo się przed wojną. Nie pamiętała na przykład imion swoich rodziców. Wiedziała, że ma na nazwisko Keast i że mieszkała przy Summer Crescent, ale nie umiała sobie przypomnieć, pod jakim numerem. Nie pamiętała nazwy swojej szkoły, nazwiska nauczyciela, imion przyjaciół, swojego numeru telefonu ani żadnych szczegółów na temat swoich ciotek, wujów i kuzynów. Wiedziała, że ostatnio chodziła do drugiej klasy, że jej mama i tata mieli konia, że raz spadła z huśtawki i złamała obojczyk,

i że jej ulubiona zabawka nazywała się Lu-lu Nellie, bo codziennie przy niej zasypiała. Poza tym pamiętała bardzo niewiele.

Przerażała mnie ta mętność naszych wspomnień. Na angielskim czytaliśmy kiedyś książkę zatytułowaną *Noc* i pani Ka-wolski wspomniała, że jej autor nazwał chorobę Alzheimera przeciwieństwem tożsamości. Zastanawiałam się, czy przeciwieństwem tożsamości nie jest przypadkiem wojna. Oddzielając nas od przeszłości, wyrwijąc wszystkie wcześniejsze strony naszego życia, wojna zostawiła nas z niczym. Czułam się tak, jakby moje życie zaczęło się w styczniu, a przedtem było tylko niewyraźnym snem, który z każdym dniem coraz bardziej się zacierał. A skoro ja się tak czułam, o ile gorsze było to wszystko dla Natalie? Ledwie zdążyła rozpocząć życie, ledwie zaczęła wyrastać na istotę ludzką, świat wokół niej po prostu się rozpadł.

Chciałam ich nakłonić do opowiedzenia o tym, co się działo w Stratton w ciągu ostatniego roku, ale minęło sporo czasu, zanim poruszyli ten temat. Nigdy nie były to historie mające początek, środek i koniec. Zamiast tego słyszałam fragmenty, części i urywki, przypadkowe zdania, które stopniowo układałam w całość.

Nikt z tej czwórki nie był w grupie od początku. Wszyscy przez jakiś czas żyli na własną rękę, zanim dołączyli do gangu dzikusów, który napadł na nas w alejce. Wyglądało na to, że czasami grupa liczyła nawet dwadzieścia osób. Ale ta liczba ciągle się zmieniała. Ludzie zjawiali się i znikali. Niektórych aresztowano albo zabito. Troje dzieci zachorowało i zmarło.

Jednoczył ich chłopiec o imieniu Aldo. Odniosłam wrażenie, że był prawdziwym dyktatorem i na pewno musiał mieć silną osobowość. Dzieci skarżyły się, że „się rządził”, ale wyraźnie go podziwiałały, i pomyślałam, że to właśnie jemu zawdzięczają

przetrwanie. Wątpię, czy bez silnego przywódcy wytrzymałyby chociaż pięć minut. Aldo miał mnóstwo pomysłów, jak zdobyć jedzenie, jak uniknąć żołnierzy i jak się chronić za pomocą pułapek i systemu wart. Gavin był jednym z jego najważniejszych ludzi, za to pozostała trójka najwyraźniej nie miała w tej organizacji wiele do gadania.

Pomimo starań Aida spotykały ich jednak paskudne chwile. Wszyscy chorowali i wyglądało na to, że nikt nie opiekował się tam chorymi. Zwyczajne sprawy, które z łatwością załatwiono by w czasie pokoju, na przykład przeziębienia albo kaszel, ciągnęły się tygodniami. Dzieci bez końca nękał rozstrój żołądka. W zasadzie wyglądało na to, że dwoje z nich zmarło właśnie z tego powodu. Łapały różne infekcje. Casey powiedziała, że jedna rana na jej nodze była zainfekowana tygodniami: spuchła, dwukrotnie zwiększając obwód, zrobiła się czerwona i gorąca, a poza tym towarzyszyły temu halucynacje i gorączka. Myślę, że Casey miała dużo szczęścia, skoro udało jej się przeżyć. Pozostałe dzieci zebrały podobne doświadczenia.

Opowiadały nam niestworzone historie o chłopcu, którego najwidoczniej nienawidzili. Prawdopodobnie oszalał na skutek wojennych przeżyć. Dźgnął innego chłopca nożyczkami i Aldo wykopał go z grupy, ale wygnany chłopak kręcił się wokół nich tygodniami, a spotykany na ulicy, opowiadał dziwne rzeczy. Potem zniknął i już nigdy go nie widziały.

Chyba naprawdę radziły sobie całkiem dobrze. Spójrzmy prawdzie w oczy: każdy, kto przetrwał tyle czasu, musiał sobie dobrze radzić. Wiedziały, że jako dzieci mają pewną przewagę, bo żołnierze nie zamierzali tracić czasu i energii na ściganie takich maluchów. Dopóki nie dawały im się za bardzo we znaki, miały większą szansę na uniknięcie niewoli niż dorośli.

Na początku dostawały pomoc od napotkanych dorosłych osób, ale takie spotkania stawały się coraz rzadsze. Mężczyzna, który się z nimi zaprzyjaźnił, próbował zgwałcić jedną z dziewczynek i potem dzieciaki już nie ufały dorosłym. Napadły na kilka osób i okradły je, ale zanim się zjawiliśmy, nie widywały obcych przez wiele miesięcy. Kilka razy znalazły żywność pozostawioną w widocznym miejscu, lecz zjedzenie jej zawsze kończyło się chorobą, więc nabrały przekonania, że ktoś ją zatruiła: że to celowe działanie wroga, który chce ich wykończyć. Właśnie dlatego nie tknęły jedzenia, które im zostawiłam.

Dzieci strasznie się wstydziły tamtego napadu na nas. Za każdym razem, kiedy o nim wspominałam, nawet w żartach, robiły się czerwone, mamrotały coś pod nosem i szybko znajdowały sobie jakieś inne ważne zajęcie. Jedno było pewne: nie mieliśmy co liczyć na zwrot skradzionych rzeczy. Wiedziałam, że już nigdy nie zobaczę swojego zegarka ani pierścionka.

No więc opowiadaliśmy sobie różne historie i organizowaliśmy zabawy, ale czas mijał powoli i wkrótce po Bożym Narodzeniu wszyscy zrozumieliśmy, że nuda będzie coraz bardziej dawała się dzieciom we znaki.

To chyba Fi zaproponowała zorganizowanie szkoły. Siedzieliśmy wokół ogniska, gdzie zawsze się spotykaliśmy, mimo że przeważnie nie palił się ogień. Tamtego wieczoru go nie rozpaliliśmy. Dzieci już dawno poszły spać. Zazwyczaj pozwalaliśmy im siedzieć do późna, ale tym razem przez cały dzień doprowadzały nas do szału swoimi sprzeczkami, marudzeniem i pytaniami.

Rozmowa o szkole bardzo nas rozbawiła. Chyba nikt z nas nie wyobrażał sobie siebie w roli nauczyciela. W każdym razie nie w ostatnich latach. W podstawówce często bawiliśmy się

w szkołę. W trzeciej i czwartej klasie to była moja ulubiona zabawa. Marzyłam o tym, żeby być taka jak pan Coles, mój nauczyciel w czwartej klasie. Dawno wyrosłam z tych marzeń.

Ale teraz pomyśleliśmy, że byłoby całkiem fajnie, gdybyśmy zorganizowali szkołę. Zaczęliśmy tworzyć głupie zasady, na przykład obowiązek noszenia mundurków, reguły zachowania w bibliotece i ustawiania się w kolejce do autobusu. Homer domagał się kar w postaci kozy i pism do rodziców w wypadku złego zachowania. Fi chciała wywiadówek. Kevin się uparł, że dzieci powinny chodzić parami, wstawać, kiedy wejdziemy na teren szkoły, i śpiewnym głosem mówić: „Dzień dobry panu”, na początku każdego dnia.

Kiedy już przestaliśmy się śmiać, podeszliśmy do tego pomysłu poważnie. Wydawał się całkiem dobry. Nie tylko dlatego, że dzieci mogłyby sobie przypomnieć to, co już wiedziały, i nauczyć się czegoś nowego, ale też dlatego, że pomogliśmy im zrozumieć, że po wojnie też będzie jakaś przyszłość. Nie musiały się poddawać.

Rano, kiedy powiedzieliśmy o tym dzieciom przy śniadaniu, ku naszemu zaskoczeniu zareagowały naprawdę pozytywnie. O mało nie padliśmy z wrażenia. Ale potem, kiedy byłam sama w lesie i zbierałam drewno, rozmyślając o życiu, zrozumiałam, dlaczego są takie chętne. Przez rok żyły jak zwierzęta i niczego się nie uczyły. Chyba tęskniły do normalnego życia, ale poza tym tęskniły do nauki. To przecież naturalna cecha ludzi, prawda? Chcemy się uczyć. Jesteśmy ciekawi, szukamy odpowiedzi -taka nasza natura. To, że przez większość czasu szkoła jest nudna, wcale nie znaczy, że dzieci nie chcą się uczyć.

Dlatego zaczęliśmy już następnego dnia. Na początku dzieci traktowały to jak świetny kawał, ale kiedy zobaczyły, że

podchodzimy do tego poważnie, wczuły się w rolę. Wiedzieliśmy, że musimy to traktować serio od samego początku, bo jeśli nie, dzieci będą nas olewać. Ja i Fi nauczyliśmy angielskiego, Kevin przyrody (co szło mu naprawdę dobrze), Lee plastyki i muzyki, a Homer matematyki (co szło mu raczej beznadziejnie).

Było zaskakująco ciężko. Moim zdaniem najgorzej miał Lee, bo musiał sobie radzić z dotkliwym niedoborem materiałów. Ale Lee był naprawdę pomysłowy. Jeśli chodzi o instrumenty muzyczne, polecił dzieciom zrobić piszczałki z drewna i z pustych w środku masztów namiotów, a do tego używać takich przedmiotów jak butelki z wodą i stare dobre liście eukaliptusa, na których można było gwizdać. Powiedział, że muzykę można tworzyć z czegokolwiek, i chyba tego dowiódł. Gavin dość dobrze łapał rytm i często widziałam, jak przytula się do któregoś z pozostałych dzieci, żeby poczuć wibracje rękami i ciałem.

Jak powiedział Jack, Gavin co nieco słyszał: pewnej nocy była burza i kiedy rozległ się szczególnie donośny grzmot, Gavin powiedział swoim dziwnym głosem: „Ale huknęło”, a potem tarzał się ze śmiechu na widok mojej zdziwionej miny. Powiedział to tylko po to, żeby wywołać tę reakcję.

Poza tym Lee uczył dzieci teorii i podstaw rytmu, kładąc im na przykład wyklaskiwać podane sekwencje. To było całkiem fajne i często do nich dołączałam. Muszę przyznać, że dzieciom szło lepiej niż mnie. Kiedy rytm się komplikował, kompletnie się gubiłam. Wyklaskiwałam „pam-pam, pam-pam, pam” zamiast „pam-pam-pam, pam-pam”, a wtedy wszyscy patrzyli na mnie z politowaniem i Lee przewracał oczami.

Największym problemem Lee był hałas. Nie mogliśmy pozwolić, żeby dzieci zachowywały się za głośno, więc trzeba było tworzyć muzykę szeptem. Kilka razy spróbowałam zagrać na

didgeridoo, które dostałam od Kevina na Boże Narodzenie, i chociaż na początku efekt przypominał pierdnięcia i beknięcia, udało mi się wydobyć kilka całkiem dobrych dźwięków.

Po sesji z Lee — po klaskaniu, nuceniu, śpiewaniu i graniu *pianissimo* na domowej roboty didgeridoo - przyszła pora na przyrodę i Kevina. Nauczył dzieci siać nasiona, łapać owady, robił doświadczenia z dźwigniami, kołami pasowymi i równią pochyłą. Kevin okazał się objawieniem. Reszta z nas dukąca, robiła mnóstwo błędów, zwłaszcza nie doceniając możliwości dzieci lub przeceniając je, oraz próbowała zadań, które były zbyt oklepane albo zbyt złożone. Natomiast Kevin instynktownie wiedział, co zda egzamin, a co nie. Wkrótce zaczęliśmy go pytać o zdanie na temat naszych lekcji i prosić o radę.

Przeważnie lubiłam uczyć angielskiego, mimo że czasami nie byłam w nastroju i w takie dni wychodziło nam to dość niedbale. Chyba Fi w pewnym sensie brała ze mnie przykład, więc kiedy ja miałam lenia, nie przejmowała pałeczki, żeby tchnąć w naszych podopiecznych entuzjazm i energię. W takie dni wołałyśmy siedzieć nad strumieniem i rzucać do wody kamyki

i gałązki. Ale ogólnie powiedziałabym, że pracowałyśmy dość ciężko. Casey miała kłopot z pisaniem, bo nadal nosiła rękę na szynie, ale podejrzewam, że czasami skarżyła się na ból tylko dlatego, żeby wymigać się od pracy. Natalie częściowo zapomniała, jak się czyta, ale powoli odświeżyła tę umiejętność. Ja i Fi pisałyśmy dla niej historie, a potem wpadłyśmy na sprytny pomysł i poleciłyśmy Gavinowi i Jackowi, żeby też układali dla niej opowiadania, bo naprawdę lubili tę dziewczynkę i strasznie ją rozpieszczali. Wcześniej nie palili się do pisania, ale doszli do wniosku, że wymyślanie takich historyjek to całkiem fajne zajęcie.

Część ich twórczości okazała się smutna. Kiedy przeczytałam to, co napisali, znacznie lepiej zrozumiałam ich życie w Stratton. Raz Jack napisał: „Dawno, dawno temu był sobie dom, w którym mieszkały dzieci. Jadły paskudne, okropne, ohydne rzeczy, na przykład zgniłe jabłka, marmoladę i góry sardynek, aż pewnego dnia przyszli żołnierze i zastrzelili dwoje z nich, a potem, innego dnia, zjawiły się fajne duże dzieci i zabrały te mniejsze dzieci do kryjówek w lesie”.

Tak brzmiała cała historia. Już wiedziałam, że kiedyś znaleźli w barze mlecznym karron sardynek, ale nie miałam pojęcia, że dwoje dzieci zastrzelono.

Gavin napisał coś, co brzmiało jak jego najśmielsze marzenie: „Była sobie czarodziejska kraina. Chłopiec i dziewczynka mieszkali tam z mamą. Mieszkali w ładnym domu z basenem i telewizorem. Pewnego wieczoru zjedli na kolację pieczonego kurczaka, a potem lody bananowe. Później mama dała im wielkiego buziaka, przytuliła je na dobranoc i dzieci usnęły w ładnym łóżku”.

Wyglądało na to, że pisząc historyjki dla Natalie, zapominali o swoich mechanizmach obronnych.

Cieszyłam się, że mamy spory zapas kartek - a mieliśmy je tylko dzięki temu, że przyniosłam je tam z myślą o sobie. Zużywaliśmy papier w zatrważającym tempie.

To wszystko trwało przez cztery tygodnie po świętach Bożego Narodzenia. Czas znowu zaczął szybciej płynąć. Mierzyłam go na dwa sposoby: między innymi cotygodniowymi wyprawami po jedzenie. Po wizycie u Whittakerów, która o mało nie skończyła się katastrofą, odbyliśmy naradę i doszliśmy do wniosku, że najbezpieczniej będzie ograniczyć się do mięsa, owoców i warzyw. W praktyce oznaczało to łapanie jagniąt na pastwisku - za każdym razem na innym - oraz nocne szabrowanie

w sadach i ogródkach w poszukiwaniu owoców i warzyw. Wykopywanie ziemniaków o trzeciej w nocy, tak żeby nikt nie zauważył naszej obecności, było niezbyt przyjemne, ale dzięki takiej diecie pozostawaliśmy dość zdrowi i dobrze odżywieni. Po kilku tygodniach dzieci wyglądały zdecydowanie korzystniej. Zaczęły przybierać na wadze, miały więcej sił do zabawy, a nawet lepiej im szło na lekcjach.

Drugim sposobem, w jaki mierzyłam upływ czasu, były nasze połączenia z pułkownikiem Finleyem. Tak jak uzgodniliśmy, raz w tygodniu wdrapywaliśmy się na szczyt Wombegonoo i kontaktowaliśmy się z Nową Zelandią. To były krótkie rozmowy, bo nie chcieliśmy marnować baterii i martwiliśmy się, że ktoś nas namierzy - a poza tym nie mieliśmy wiele do powiedzenia. Pułkownik Finley nie zaszczycił nas już rozmową. Operator przekazywał nam jego słowa, które zawsze były trochę inaczej sformułowane, ale sprowadzały się do jednego: „Nie ruszajcie się stamtąd, coś wymyślimy”.

Wyglądało na to, że jakimś cudem staliśmy się żołnierzami pod rozkazami pułkownika, co zresztą nam odpowiadało, bo znaczyło, że dopóki nam mówi, żebyśmy nic nie robili, możemy się relaksować w Piekło bez większego poczucia winy.

W końcu czas przestał tak wartko płynąć, ale nie miało to nic wspólnego z rozkazami pułkownika Finleya. Istniały pewne sprawy, których nie mógł kontrolować, siedząc w Nowej Zelandii.

Pewnej nocy wyszłam z Homerem z Piekła, żeby się połączyć z Nową Zelandią. Wcześniej zdarzało się, że przy takich okazjach byliśmy obecni wszyscy, łącznie z dziećmi. Maszerowaliśmy bardzo przejęci i staraliśmy się nie gadać zbyt głośno. Ale teraz, gdy czar nowości już prysł, nie było łatwo o ochotników.

Zawsze jednak lubiłam widok ze szczytu Wombegonoo, a noc była w sam raz na spacer. W zasadzie mi ulżyło, że dzieci straciły zainteresowanie, bo kiedy nam towarzyszyły, trudno je było uciszyć. Ostatnio czuły się o wiele swobodniej i zachowywały się tak, jakby nie potrafiły uwierzyć, że w lesie może nam grozić jakiegokolwiek niebezpieczeństwo ze strony żołnierzy. Kiedyś sama też tak myślałam, ale odkąd Lee pokazał mi ciepłe miejsce po ognisku w obozie wroga, zachowywałam maksymalną czujność.

Teraz, idąc na Szew Krawca, zawsze braliśmy broń z naszej sterty strzelb i śrutówek. Niestety, zapasy amunicji nadal były na wyczerpaniu. U Whittakerów nie znaleźliśmy żadnych nabojów. W zasadzie tym razem w ogóle zapomniałam wziąć strzelbę. Przyniósł mi ją Homer.

Wyszedł z Piekła wcześniej niż on.

— Spotkamy się na szczycie — zawołałam.

Chciałam odrobiny czasu i przestrzeni. Ostatnio z czworgiem dzieci w Piekło zrobiło się dość tłoczno. Otaczały mnie dniem i nocą, domagając się zabaw, pokazując mi swoje opowiadania albo zadania domowe i skacząc wokół mnie.

Dlatego poszłam na szczyt sama i usiadłam na skale nad drzewem rosnącym na końcu naszego szlaku. Boże, jaki piękny był stamtąd widok. Właśnie pojawiał się kawałek wschodzącego księżyca w pełni. Usiadłam i patrzyłam na niego jak na najwspanialszy pokaz na ziemi. Bo naprawdę był wspaniały. Nigdy nie mogę się nadziwić, jaki ogromny jest księżyc widziany z bliska. Nie znam się za bardzo na geografii, ale wschodzący księżyc musi być o wiele bliżej ziemi, więc pewnie dlatego wydaje się taki olbrzymi.

Otaczały go setki chmur, białych i przezroczystych, więc mimo że tworzyły coś w rodzaju patchworku wokół księżyca, oświetlał on krajobraz na tyle, by drzewa i skały rzucały cienie.

Obok księżycyca świeciła jasna gwiazda, prawdopodobnie planeta Wenus. Wiem, że nazywają ją Gwiazdą Wieczorną, bo pokazuje się na niebie jako pierwsza i świeci najjaśniej. A ta była naprawdę jasna. Wisiała dość nisko, świecąc za chmurami, jakby zasilał ją neon.

Usłyszałam Homera, dopiero kiedy zachręściły kamyki za moimi plecami. Odwróciłam się, a on szeroko się uśmiechnął i podał mi strzelbę.

- Nieźle, nie? - powiedział, kiwając głową w stronę księżycyca.

Zrobiło mi się głupio, że zapomniałam o strzelbie, więc go przeprosiłam.

- No, nic się nie stało - wzruszył ramionami. - Nie zawracałbym sobie nią głowy, gdybym wiedział, że przyjdzie mi ją taszczyć na samą górę. Nie wiedziałem, że jesteś już tak daleko. Ciągłe mi się wydawało, że za chwilę cię dogonię.

Księżyc oddalił się już od horyzontu i zbliżała się pora naszej rozmowy z Nową Zelandią. Wstałam, podniosłam strzelbę jedną ręką, a drugą sięgnęłam po radio. Podeszliśmy do Wombegonoo, nie stosując żadnych szczególnych środków bezpieczeństwa, ale też nie byliśmy głupi. Ostatnio ciche i ostrożne poruszanie się było dla nas czymś oczywistym. A w taką noc każdy dźwięk wydawał się wzmocniony dwadzieścia razy.

Ostatni odcinek był luźno usiany kamieniami, na których nie dało się zachować całkowitej ciszy. Prawdę mówiąc, nawet się za bardzo nie staraliśmy. Obchody Bożego Narodzenia i miłe tygodnie, które nastąpiły potem, sprawiły, że za bardzo się odprężyliśmy. Czasami prawie zapominałam, że trwa wojna.

Drzę na myśl o tym, co by się stało, gdybyśmy dotarli na Wombegonoo kilka minut później.

Wysunęłam antenę i po raz kolejny połączyłam się bez zbędnych ceregieli. Ostatnio nie mieliśmy żadnych problemów z łącznością. A już na pewno nie słyszeliśmy tych dziwnych szumów, które komplikowały sprawę, kiedy byliśmy w Stratton. Kobieta - ta sama, która ostatnimi czasy prowadziła z nami prawie wszystkie rozmowy - odezwała się tak głośno, że szybko ściszyłam odbiornik. Traktowaliśmy ją jak starą przyjaciółkę, mimo że nawet nie znałam jej imienia.

Zacząłam zdawać raport, który w zasadzie sprowadzał się do oznajmienia, że nie mamy żadnych wieści. Nagle Homer lekko się podniósł i pochylił, drżąc, jakby był zrobiony z nowiutkiego drutu. Przestałam mówić i spojrzałam na niego z niepokojem.

- Rozłącz się - syknął, nie rozglądając się.

Powinam była od razu wyłączyć radio, ale jeśli byliśmy w niebezpieczeństwie, chciałam, żeby Nowozelandczycy o tym wiedzieli, bo zwyczajnie nie byłam w stanie zmierzyć się z tym sama. Jasne, oni znajdowali się daleko stąd, bezpieczni i cali, ale świadomość, że o nas myślą, mogła być pewnego rodzaju pocieszeniem.

Dlatego szepnęłam do radia:

- Mamy kłopoty.

A potem gwałtownie pstryknęłam wyłącznik. Wsunęłam radio do małego pokrowca i zawiesiłam je sobie na szyi. Jednak po namyśle zdecydowałam się na coś innego. Zdjęłam radio z powrotem i wcisnęłam je we wgłębienie pod skałą po prawej, mając nadzieję, że nie wsadzam ręki do gniazda węży.

Homer pochylił się jeszcze mocniej, a potem przykucnął i zsunął się z pagórka o parę metrów, sięgając po strzelbę. Przestraszył mnie tym. Sięgnęłam po swoją. Żałowałam, że nie wiem, ile mam naboju. Nagle przypomniałam sobie wieczór,

kiedy śledził nas Gavin, więc przysunęłam się do Homera i klepnęłam go w ramię. Nie odwrócił się.

- Może to znowu Gavin - mruknęłam.

Homer tylko pokiwał głową, a potem przesunął się jeszcze o dwa metry. Nadal nie miałam pojęcia, co przyciągnęło jego uwagę. Ale uniosłam strzelbę do ramienia, odbezpieczyłam ją i poszłam za nim.

Pokonaliśmy jakieś dziesięć metrów, co zajęło nam dobre pięć minut. Homer też uniosł strzelbę i w końcu coś zauważyłam. To był cień przesuwany się między drzewami. Widziałam go tylko przez sekundę, ale moje nerwy były już napięte po pięciominutowym wyczekiwaniu i o mało nie upuściłam dwudziestki dwójki. Od razu uświadomiłam sobie jedną rzecz. Ten cień to nie był Gavin. Gavin był niższy. To mógł być Lee albo Kevin, tyle że nie był. Wiadomość, którą przekazałam Nowej Zelandii, okazała się śmiertelnie trafna. Mieliśmy poważne kłopoty.

Przysunęłam się do Homera.

- Jak myślisz, ilu ich jest?

- Zauważyłem trzech.

- Ja tylko jednego.

Odczekaliśmy jeszcze parę minut, nie wiedząc, dokąd iść ani co robić. Potem zobaczyłam następny cień, dalej z lewej. Zachodził nas od tyłu. Moje wnętrzności przemieniły się w wodę. Czułam się tak, jakbym miała słonia w żołądku. Jakbym miała tam dwa słonie, którym zachciało się parzyć.

- Chyba nas otaczają - szepnęłam do Homera.

- Cholera - powiedział. Rozpaczliwie rozglądaliśmy się na boki.

- Musimy coś zrobić - mruknęłam.

Miałam na myśli to, że musimy przejąć inicjatywę, tak jak wtedy, kiedy nas śledził Gavin. Podczas tej wojny ciągle musieliśmy sobie o tym przypominać. Jeśli zostaniemy w miejscu, wykończą nas równie łatwo jak wykańcza się króliki w siatce na fretki.

Zaczęliśmy się czołgać, ramię przy ramieniu. Cała ta sytuacja wydawała się nierzeczywista i po cichu nadal się zastanawiałam, czy Lee i Kevin nie postanowili przypadkiem zrobić nam kawału. Oczywiście nie byłiby aż tak głupi, bo wiedzieli, że mamy strzelby. Ale nie było czasu roztrząsać takich spraw. Musiałam się skupić na obserwowaniu terenu wokół nas. Nic innego się nie liczyło.

W świetle księżyca w pełni wszystko przypominało krajobraz obcej planety. Nie było drzew i prawie żadnych innych roślin. Jasne, rósł mech, a gdzieś tam coś innego, ale o tej porze niewiele było z tego widać. Praktycznie cały krajobraz pokrywały skały: wielkie, średnie i małe. Szare, czarne, białe. Zawsze myślałam, że są bardzo piękne, ale nagle to wszystko wydało mi się nagim, samotnym miejscem, w którym przyjdzie mi zakończyć życie. Chyba właśnie dlatego trzymałam się tak blisko Homera.

Dotarliśmy na skraj szczytu, gdzie teren zaczął lekko opadać. Aż do tamtej chwili nic się nie wydarzyło. Nadal byliśmy w nierzeczywistym świecie, gdzie najwyraźniej nie istniało nic takiego jak czas i przestrzeń.

W jednej chwili wszystko się zmieniło. Ciszę i mrok przeciął huk wystrzału. Kula przyleciała z lewej, nieco za nami. Byłam tak blisko Homera, że poczułam, jak jego ciało sztywnieje i odrobinę unosi się nad ziemią. Przez jeden okropny moment myślałam, że go trafili. Ale gdyby tak było, kula przeszłaby najpierw mnie. Homer uniósł się z czystego przerażenia. Ja

pewnie zrobiłam tak samo. Tak, to było przerażające. Huk był potworny, rozdarł ciszę jak grzmot. Czuło się, jak rozłupuje powietrze na pół.

Zobaczyłam błysk wystrzału i przywarłszy do ziemi, obróciłam się w tamtą stronę. Odczekałam kilka sekund i gdy tylko zobaczyłam lekki ruch, prawie dokładnie w miejscu, w które się wpatrywałam, pociągnęłam za spust. Zadzwonilo mi w uszach. Od strony głazów nie dobiegał najmniejszy szmer, ale po chwili ciemny kształt powoli osunął się do przodu jak ścięte drzewo, które przechyla się ku ziemi, podtrzymywane gałęziami innych drzew.

Ten człowiek runął na ziemię, nie wydawszy żadnego dźwięku. Kiedy zrozumiałam, co się stało, na chwilę zapadła cisza. Jakby ziemia przestała się obracać. Nawet wietrzyk ucichł.

- Dobry strzał - szepnął Homer.

Zabawny dobór słów. Przecież właśnie kogoś zabiłam.

I nagle rozpętała się strzelanina. Wszystko rozbłysło. Latały kule. Jeszcze mocniej przywarłam do ziemi. Mogłaby nade mną przejechać maszyna do zbierania kamieni. Nie tknęłyby ani jednego włoska na moim ciele. Kule przelatowały ze świstem. Przypominało to dźwięk wiertarek udarowych. Ci kolesie musieli nawalać z automatów. Trwało to przez jakieś trzydzieści, czterdzieści sekund. Czułam, jak zęby szczękają mi od wibracji w powietrzu. Mnóstwo kul fosforyzowało. Płonęły w powietrzu jak sztuczne ognie, świszcząc nad głową i pozostawiając biało--niebieski ślad. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałam.

W samym środku ostrzału zauważyłam, że Homer znów jest w ruchu, choć nawet mnie nie uprzedził. Czołgał się w stronę grupy niskich płaskich skał. „Dzięki, Homer” - pomyślałam wkurzona i popęzłam za nim. Wiedziałam, że wlekąc się po

ziemi, obcieram sobie skórę, zdzieram ją, obijam i drapię. Ale nie wydawało mi się to aż tak ważne. Kula wyrządziłaby znacznie więcej szkód.

Ostrzał ucichł równie gwałtownie, jak się zaczął. Jakby ktoś pstryknął wyłącznik. Dzwoniło mi w uszach, ale nie z powodu nowych dźwięków - po prostu taki był efekt wcześniejszego hałasu. Świeże górskie powietrze cuchnęło prochem. Nad dolinę odpłynęła chmura białego dymu. Ja i Homer, dysząc ze strachu, przyłgnęliśmy do najwyższej skały.

- Jak myślisz, ilu ich jest? - zapytał mnie.

- Nie mam pojęcia.

Nic nie powiedział, więc szepnęłam:

- Spróbujmy zejść po tej stromej stronie.

- Okej. Ale jestem pewny, że na dole czeka co najmniej jeden z nich.

- Będziemy musieli strzelać.

- Wiem.

Szybko uścisnęłam mu rękę i zaczęliśmy się zsuwać po wyboistej pochyłości. Trudno było to robić i jednocześnie trzymać strzelbę w pogotowiu. Uświadomiłam sobie, że nadal nie wiem, ile mam naboju, i przeklełam się za taką bezmyślność. Tylko że teraz było już za późno. Pozostawało mi jedynie modlić się o to, żeby w razie potrzeby, po wymierzeniu do wroga i pociągnięciu za spust, strzelba wypaliła. Najgorszym dźwiękiem na świecie byłoby wtedy pstryknięcie iglicy pozbawione huku wystrzału.

Z lewej rozległ się trzask przypominający smagnięcie batem i po chwili Homer wystrzelił w tamtą stronę. Trafił kogoś, bo usłyszeliśmy potworny krzyk, a potem kilka krótkich, ostrych wrzasków, które trwały w nieskończoność. Przypominało to wycie alarmu samochodowego. Obydwoje zdaliśmy sobie sprawę,

że ten hałas może nam zapewnić chwilową osłonę, bo bardzo przyciągał uwagę. Dlatego popędziliśmy naprzód, pokonując mniej więcej dziesięć metrów w szybkim tempie. Potem wrzaski nagle się urwały. Rozległ się okropny bulgot, od którego poczułam się tak, jakby po karku zaczęły mi biegać mrówki. Ale nie mogłam dłużej o tym myśleć. Obróciłam się w lewo, wypatrując osoby, która stamtąd strzelała. Niczego nie zobaczyłam. Po tamtej stronie było zbyt ciemno. Spojrzałam do tyłu i zobaczyłam, że Homer skupił się na terenie po prawej. Przynajmniej mogłam się zająć tym, kto się czał w mroku. Wpatrywałam się i wpatrywałam, wyężając wzrok, ale nie zauważyłam żadnych podejrzaných ruchów. Byłam coraz bardziej zdesperowana. Nie mogliśmy sobie pozwolić na dłuższe tkwienie w jednym miejscu.

Homer poklepał mnie po kostce i dał sygnał, że powinniśmy iść dalej.

Znowu zaczęliśmy się czołgać. Ale facet, którego próbowałam zlokalizować, otworzył ogień. Leżeliśmy, a nad naszymi głowami huczał strumień kul. Naszą jedyną osłoną były kamienie, które miały mniej więcej dziesięć centymetrów wysokości. No dobra, może ze trzydzieści. W każdym razie były niskie. Dwa razy miałam wrażenie, że kule musnęły mi włosy.

Co gorsza, odbijały się rykoszetem, a to oznaczało, że mogą polecieć w dowolnym kierunku. Odłamki były prawie równie niebezpieczne. Ci kolesie postanowili chyba zmienić krajobraz. Z lewej i z prawej eksplodowały kamienie. Wokół nas latały świszczące odłamki. Parę z nich mnie uderzyło i nawet przez ubranie poczułam piekący ból. Miałam szczęście, że nie zrobiły mi większej krzywdy. Lecąc z pełną prędkością, mogły przebić miękkie ciało jak pocisk.

W chwili kiedy ten facet przestał strzelać, ja i Homer podnieśliśmy się i zaczęliśmy strzelać do niego. Homer o mało nie odstrzelił mi głowy. Na szczęście spudłował. Zresztą spudłowaliśmy obydwój, bo nie trafiliśmy w tego faceta. Odpowiedział dwoma strzałami i w końcu go zobaczyłam: biegł na nową pozycję. Tym razem widziałam, dokąd zmierza. Chciał się schować za drzewem, nieco poniżej grani.

- Dużo masz amunicji? - szepnęłam do Homera.

- Tak, jeszcze trochę mi zostało.

- Widziałeś, dokąd pobiegł? -Tak.

- Możesz go tam zatrzymać?

Zawahał się, potem potwierdził skinieniem głowy. Uniósł strzelbę do ramienia i otworzył ogień w stronę drzewa. Ja popędziłam na złamanie karku po nierównej ziemi. Nawet nie spojrzałam na drzewo, dopóki nie uznałam, że dotarłam wystarczająco daleko. Homer przez cały czas strzelał. Dysząc jak po przebiegnięciu paru kilometrów, schowałam się za skalistym wałem i wyjrzałam zza krawędzi. Teraz już widziałam tego człowieka, czarną smugę na tle pnia. Z tej odległości nie mogłam spudłować. I kiedy pociągnęłam za spust, strzelba wystrzeliła. Tak, amunicji miałam pod dostatkiem. Myślę, że trafiłam go w głowę.

Wtedy poczułam, że być może jest dla nas szansa. Załatwiliśmy trzech: ilu mogło jeszcze zostać? Na pewno niewielu. Byliśmy wysoko w górach, daleko od cywilizacji.

Usłyszałam za sobą szuranie i odwróciłam się. Zjawił się Homer.

- Dopadłaś go? - na wpół zapytał, na wpół oznajmił. Potwierdziłam skinieniem głowy.

- Dobra robota.

Usiłowałam myśleć. Musieliśmy podjąć krytyczną decyzję. Gdybyśmy poszli dalej w dół, mając żołnierzy za sobą lub z przodu, zupełnie byśmy się odsłonili, bo nie było tam żadnej osłony. Z drugiej strony, gdybyśmy wrócili na szczyt, moglibyśmy wpaść w następną zasadzkę albo dać się otoczyć. Tyle że tam były skały, które dobrze by nas osłoniły. Kusiło nas, żeby ruszyć na dół, bo ostatecznie ta droga prowadziaby w bezpieczne miejsce. Ale gdybyśmy się za bardzo pospieszyli... Cierpliwość mogła nam uratować życie.

- Chyba powinniśmy wrócić na skały - powiedziałam do Homera.

Nie był przekonany. Miał równie wiele wątpliwości jak ja.

- Nie będą się tego spodziewali - dodałam.

To przesądziło sprawę. Homer zawsze uwielbiał robić to, czego wróg najmniej się spodziewał. Zaczęliśmy wchodzić z powrotem na górę. Ale nagle wpadłam na lepszy pomysł.

- Zaczekaj - syknęłam do Homera, który był kilka kroków przede mną.

Szybko odbiłam w prawo, na przemian zsuwając się, kucając i biegnąc. Było ciężko: w każdej chwili jakaś kula mogła mi odstrzelić głowę. Ale dopadłam do drzewa szybciej, niż przypuszczałam.

Facet był martwy, bez dwóch zdań. Tak jak myślałam, trafiłam go w głowę. Jedna strona czaszki nadal była nietknięta, ale resztę po prostu rozerwało. Wszędzie była krew: na pniu drzewa, na kamieniach i na ziemi. Nie przyglądałam jej się zbyt długo. Upadając, żołnierz przygwoździł karabin własnym ciałem, więc zanim go spod niego wydobyłam, musiałam kilka razy szarpnąć za lufę. Tak samo jak w korytarzu Whittakerów, kiedy przejechałam tamtego mężczyznę.

Ale udało się. I po raz pierwszy w tej bitwie poczułam trochę pewności siebie. Znałam ten typ karabinu. Iain i Nowozelandczycy używali takich samych. Nazywały się chyba M jakoś tam. Magazynek był z plastiku i znajdowało się w nim co najmniej dwadzieścia jednostek amunicji.

Ręce miałam lepkie od krwi na kolbie. Wytarłam je o dzinsy i ruszyłam z powrotem do miejsca, w którym czekał Homer.

Ledwie zdążyłam. Z dołu posypał się na mnie grad kul. Przynajmniej postąpiliśmy słusznie, postanawiając nie schodzić ze stoku. Ale już o tym nie myślałam. Nie wypuszczając z rąk nowego karabinu, dałam susa jak gracz w rugby i poszybowałam w powietrzu. Licząc wyboje, doszłam do wniosku, że musiałam się przeturlać po sześciu albo nawet ośmiu metrach, bo turlałam się, że hej: zaliczyłam serię kamieni i zatrzymałam się obok Homera.

O mało nie zdzieliłam go karabinem.

W chwili kiedy nastąpiła przerwa w ostrzale, ruszyliśmy znowu. Tym razem uskakiwaliśmy, robiliśmy uniki i pędziliśmy zygzakiem jak szaleni, żeby dotrzeć do większych skał i zyskać tam osłonę. Obydwoje rzuciliśmy się w to samo małe wgłębienie, co nie było dobrym pomysłem, bo ledwie starczało miejsca dla jednej osoby. Wpadliśmy tam jednocześnie i jakimś cudem się wcisnęliśmy, zdyszani i roztrzęsieni.

- Chyba jest ich trzech - powiedział Homer.

- O Boże. - Niczego więcej nie udało mi się wymyślić. Ale po chwili dodałam: - Pójdę wyżej, może stamtąd uda mi się zobaczyć coś więcej. Kiedy te chmury odpłyną, powinno być sporo światła.

- W porządku. Uważaj na siebie. Wejdę od drugiej strony i będę cię osłaniał.

- Tylko mnie nie zastrzel przez pomyłkę.

Ruszyłam na górę, trzymając się lewej strony. Pokonałam mniej więcej połowę drogi i znowu zaczął się ostrzał - strzelali do nas jak szaleni. Padłam na ziemię i czekałam, aż się skończy. Było po prostu zbyt niebezpiecznie. Nie wiedziałam, czy mnie zauważyli. Miałam wrażenie, że strzelają na chybił trafił. Kule latały wszędzie. Dopiero tuż przed końcem ostrzału zrozumiałam, o co naprawdę chodzi. Zauważyłam faceta, który pędził po wzgórzu nade mną, z lewej na prawą. No jasne. Oślaniali co najmniej jedną osobę, żeby mogła zająć lepszą pozycję.

- Uważaj, są nad nami! - zawołałam do Homera.

- Dzięki! - krzyknął w odpowiedzi.

Czułam, że muszę wejść jeszcze wyżej. Pozostawanie w jednym miejscu przez dłuższy czas byłoby fatalne w skutkach. Ponuro, zastanawiając się, w co ja się właściwie pakuję, podkradłam się trochę dalej. Strzały na dole ucichły, a z nowych pozycji na górze jeszcze nikt nie strzelał.

Po prawej usłyszałam strzelbę Homera: jeden, dwa, trzy strzały. Łatwo ją było rozpoznać, lekki, cichy trzask różnił się od nieprzerwanego huku wojskowej broni. Ucieszyłam się, że znalazł jakiś cel. Miałam nadzieję, że go zlikwiduje.

Dotarłam do małego wzniesienia i w końcu zyskałam dobry widok, choć nie na ludzi poniżej. Szukałam ich wzrokiem, ale wśród drzew nikogo nie zauważyłam.

Po chwili spojrzałam w lewo. Cieszę się, że to zrobiłam. Ku swojemu wielkiemu zaskoczeniu odkryłam, że patrzę prosto na ładną zasadzkę przygotowaną dla Homera. O dziwo, nikt nie słyszał, że się zbliżam. Lustrowałam teren, jakbym miała kamerę w głowie. Było ich tylko dwóch - w każdym razie tylko tyłu widziałam - ale wybrali doskonałe miejsce. Przynajmniej tak im się zdawało.

Oni nie widzieli mnie, a Homer ich. Czułam się jak zaklęta, ledwie mogłam uwierzyć, że mnie nie zauważyli. Przez celownik przyglądałam się temu, który stał bliżej mnie.

Musiałam założyć, że jest ich tylko dwóch. Ale nagle obydwaj przesunęli się o kilka metrów naprzód. Teraz nie widziałam ich już tak dobrze jak przed chwilą. Jednemu wystawał tylko czubek głowy. Drugiemu ręka i kawałek nogi.

Nie powinnam była dłużej zwlekać. Za sekundę mogli rozerwać Homera na kawałki.

Byłam bardzo wdzięczna mojemu nowemu karabinowi. Zająłam dobrą pozycję, namacałam mały pstryczek po lewej stronie, przełączyłam go na „ogień ciągły” i pociągnęłam za spust. Karabin był piękny, leciutki, ale po kilku strzałach zauważyłam, że odbicie kieruje lufę w górę i strzelam za wysoko. Kilka sekund później sytuacja się powtórzyła. Przełączyłam pstryczek z powrotem na trójkę i chyba tak było lepiej. Teraz dość dobrze trzymał linię.

I tym razem to oni znaleźli się pod ciężkim ostrzałem. Miałam tylko nadzieję, że Homer nie oberwie rykoszetem. Po chwili zobaczyłam jednak, jak oddaje strzał do jednego z tych żołnierzy. Zareagował naprawdę szybko. Schował się za ładnym rzędem skał niedaleko wierzchołka Wombegonoo. Stamtąd wychylał się, oddawał po jednym strzale i znowu się chował.

Chyba chciał zasygnalizować swoją obecność - i udało mu się. Tamci dwaj zaczęli panikować. Nagle zrozumieli, że zamiast przyszpilić Homera i go wykończyć, sami dostali się w krzyżowy ogień. Słyszałam, jak do siebie krzyczą. Potem jeden z nich puścił się biegiem w dół wzgórza. Trzymał karabin, ale drugą rękę uniósł nad głowę, jakby chciał zatrzymać kule. Obróciłam się, wymierzyłam do niego, ale się zawahałam. Tylko że

nie musiałam nic robić. Homer nie był takim mięczakiem jak ja. Powalił faceta dwoma strzałami oddanymi tak błyskawicznie, że brzmiały prawie jak jeden. Bum, bum.

Do tej chwili wszystko działo się dość szybko. Były okresy spokoju i ciszy, na przykład wtedy, kiedy zastrzeliłam pierwszego z nich, ale nie trwały długo. Teraz akcja nabrała takiego tempa, że nie nadążałam z obracaniem głową. Zaczęło się od jednej z najgorszych chwil w całej wojnie. Ostatni żołnierz niedaleko szczytu wyrzucił karabin zza skały, za którą się ukrywał. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby ktoś coś takiego robił, ale domyśliłam się, co to znaczy: poddawał się. Po chwili wyszedł z tęgami wyciągniętymi przed sobą. Prawie jakby czekał, aż ktoś mu założy kajdanki. Nie wiem, dlaczego nie podniósł tak do góry, tak jak to robią w filmach. Dzięki temu ocaliłby życie. Homer, który szybko, cicho i odważnie wyszedł spomiędzy skał, zobaczył go od tyłu - widział, jak wynurza się ze swojej kryjówki i idzie w moją stronę - i pomyślał, że żołnierz trzyma przed sobą broń. Zastrzelił go, zanim zdążyłam cokolwiek zrobić.

To było straszne, ale rozumiem, jak do tego doszło. Homer nie miał pięciu minut, żeby przeanalizować sytuację, wziąć pod uwagę wszystkie dostępne informacje i podjąć decyzję. Miał tylko milisekundę. Już kiedy pociągał za spust, wiedział, że popełnił błąd, ale strzelby nie znają się na błędach. One nie wierzą w pomyłki.

Jedną milisekundę później, zanim zdążyłam choćby pomyśleć o martwym mężczyźnie leżącym na ziemi i o ogromnej rzece krwi wypływającej z jego ciała, żołnierze na dole przypuścili ostry atak. Osłaniali się ścianą ognia z karabinów maszynowych. Całkowicie mnie tym przerazili. Atakowali inaczej, posuwając

się w górę, na otwartym terenie, i strzelali bez przerwy. Chyba już wiedzieli, że jest nas tylko dwoje.

Homer był równie przerażony jak ja. Zanurkowaliśmy za najbliższą osłonę: ja skorzystałam z płytkiego wgłębienia, a Homer z prawie prostokątnego skalnego krateru. Leżałam tam, serce nadal waliło mi w piersi, zszokowane widokiem człowieka, który poddał się i został zabity, zszokowane widokiem takiej ilości krwi, jakiej nigdy wcześniej nie widziałam u jednej osoby -i zaczęło walić jeszcze mocniej, kiedy zrozumiałam, że mamy kryzys. Nie mogliśmy nic zrobić, chyba że postanowilibyśmy wstać i zginąć w chwale podczas strzelaniny, z nadzieją, że dopadniemy jednego z nich, zanim reszta dopadnie nas.

Na domiar złego Homer był za daleko i było za głośno, żebyśmy mogli cokolwiek zaplanować. Gdybyśmy wstali jednocześnie, może nawet udałoby nam się dopaść dwóch, ale sądząc po sile ostrzału, byłam pewna, że napastników jest więcej. Wyglądało na to, że obydwójce zginiemy samotnie.

Ostrzał był ciągły i tak silny, że nie mogłam nawet zerknąć znad krawędzi i zobaczyć, co się dzieje. Wiedziałam, że żołnierze zbliżają się dość szybko. Przygotowałam strzelbę. Huk stał się ogłuszający. Nad moją głową unosił się dym. Spojrzałam w górę, wiedząc, że za chwilę zobaczę wojskową czapkę, potem twarz, a potem lufę karabinu, który rozerwie moje życie w nicość. Pospiesznie spojrzałam na nocne niebo, na rozsiane po nim gwiazdy, i pomyślałam: „No cóż, to chyba dobry ostatni widok w życiu”.

Lepiej umrzeć tutaj, w moim ukochanym górskim lesie, niż w rowie albo na śmietniku.

Wtedy za ścianą hałasu, dość daleko, rozległy się inne strzały, ciche i słabe. I nagle w uszach, które jeszcze przed chwilą

rozrywał hałas, zadzwoniła mi cisza. Unosił się dym, ale nikt już nie strzelał. Leżałam, trzęsąc się i zastanawiając, co się dzieje, czy to kolejna pułapka, lecz wtedy rozległy się nowe dźwięki. Seria kaszlnięć, cztery pod rząd, od silnego do słabego, a potem znowu, od silnego do słabego, cztery pod rząd. W nieruchomym powietrzu było je słychać doskonale.

Do moich uszu dobiegł inny głos.

- Ellie! Homer!

Wyjrzałam zza krawędzi płytkiego wgłębienia. Byłam mega-ostrożna, bo to wszystko wydawało się zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Pierwszą rzeczą, jaka mi wpadła w oko, było ciało: mniej więcej dziesięć metrów ode mnie leżał martwy żołnierz. To on kaszlał. Kiedy na niego patrzyłam, głowa bezgłośnie opadła mu na bok, usta powoli się otworzyły - i oczy też, jakby zobaczył coś bardzo zaskakującego. Zrozumiałam, że kaszlnął po raz ostatni. Spojrzałam dalej. Zobaczyłam troje ludzi, o których prawie zapomniałam. Wyglądali pięknie, kiedy tak szli między drzewami, wychodząc z mgły albo z dymu, cokolwiek to było.

Lee, Kevin, a kawałek dalej Fi.

Nasza strzelanina trwała tak długo, że Lee i Kevin zdążyli chwycić za broń, wziąć resztę amunicji i przybiec z Piekła. Żołnierzom z patrolu na pewno nie przyszło do głowy, że w tak odległym, dzikim zakątku zjawia się posiłki, które zaskoczą ich od tyłu.

Cały teren wyglądał jak pobojowisko. W sumie znaleźliśmy osiem ciał. Niektóre były nietknięte: po prostu leżały i nawet nie krwawiły. Inne wyglądały gorzej.

Sprawdziliśmy je wszystkie i zebraliśmy się w połowie drogi między szczytem a początkiem szlaku prowadzącego do Piekła. Odbyliśmy naradę. Wiedzieliśmy, że jest ogromnie ważna. Musieliśmy podjąć pewne decyzje, opierając się tylko na domysłach — ale trzeba było dokonać właściwego wyboru.

Kiedy tylko zaczęliśmy, zjawił się Gavin. Chyba żadne z nas nie zdziwiło się na jego widok.

- Reszta za bardzo się bała, żeby przyjść - wyjaśnił. - Ale ja nie.

Pod pewnymi względami był twardszy od nas. Przechodząc obok jednego z ciał, kopnął je w bok. Homer złapał go z wściekłością.

- Nie rób tak - powiedział.

Gavin tylko wzruszył ramionami.

- No i? - zapytał mnie Lee.

- Mama mówiła, żebym nie siedziała na zimnym - powiedziała Fi, wsuwając pod siebie ugięte nogi - bo nabawię się czegoś okropnego, nie pamiętam, jak to się nazywało.

Siedzieliśmy na kamieniach. Fi cały czas się trzęsła.

- Hemoroidy - powiedział Homer.

Wyglądało na to, że wszyscy chcą się zdystansować od tego, co się stało - a najbardziej Fi. Otaczał ją mrok, który niezbyt często u niej widywałam. Jasne, próbowała być zabawna, żartować, ale jej nie wychodziło. Nie miała do tego serca. Równie dobrze mogła być tysiąc kilometrów stąd.

Nie mogliśmy sobie pozwolić na takie luksusy jak dystans. Musieliśmy się skupić.

- To pewnie patrol. Albo po prostu sprawdzał teten, albo nas tu szukał - powiedziałam. - Wiemy, że kilka tygodni temu niedaleko stąd obozowali ludzie. To chyba oni.

Spojrzałam na twarze przyjaciół i próbowałam to wszystko przeanalizować. Nie było łatwo, bo nadal się trzęsłam po tym, jak cudem uniknęliśmy śmierci, zabijając wielu żołnierzy. Mimo to starałam się panować nad głosem. Mówiłam powoli, ale z naciskiem, nie milkłam.

- Na dole widziałam ich plecaki - ciągnęłam, kiwając głową w stronę drzew. - Wygląda na to, że byli dobrze wyposażeni. To sugeruje, że byli tu już od jakiegoś czasu. To przemawia na naszą korzyść. Pewnie mają radia i zdają komuś raporty, ale zanim ten ktoś zauważy, że od paru dni milczą, a potem przyśle tu kogoś, żeby ich odnalazł, i, co najważniejsze... - przerwałam, bo nagle zrozumiałam, w jaki sposób możemy zyskać na czasie - zanim znajdą ciała, będziemy mieli co najmniej trzy dni.

- Nie aż tyle - powiedział Homer.

- Właśnie, że tak, aż tyle - upierałam się. - A może nawet więcej.

Spojrzałam na gęste chmury daleko nad horyzontem.

- Myślę, że jeśli zaniesiemy zwłoki do Piekła i je tam pochowamy i jeśli z tej chmury spadnie porządny deszcz, możemy wiele zyskać. Jasne, mogą tu przyprowadzić psy, ale jeśli deszcz zmyje krew i nasz zapach, to co im pozostanie? Kilka tysięcy kilometrów kwadratowych gór, w których cały patrol zaginął gdzieś bez śladu. - Próbowałam się roześmiać.

- Mogłaby się z tego zrobić wielka wojenna tajemnica. Mogłyby zacząć krążyć plotki. Jak o „Marie Celeste”. W przyszłości ludzie nie chcieliby tu przychodzić, mówiąc, że to miejsce jest nawiedzone. To byłby Trójkąt Bermudzki na lądzie. Dla nas super.

Słuchali w milczeniu i ta cisza trwała, nawet kiedy już skończyłam mówić.

W końcu odezwał się Homer:

- Brzmi całkiem sensownie. Ale chyba powinniśmy się połączyć z Nową Zelandią i dać im znać, co się stało. Może coś nam doradzą.

Wszyscy chętnie się na to zgodziliśmy - znowu głównie po to, żeby otrzymać trochę pokrzepiającego wsparcia ze strony dorosłych.

Wróciliśmy z powrotem do miejsca, w którym ukryłam radio, i wyjęliśmy je stamtąd. Kiedy uzyskaliśmy połączenie, odezwała się ta sama kobieta.

- Mieliśmy duży problem - powiedziałam. - Zostaliśmy zaatakowani. Chyba nie jesteśmy tu już bezpieczni. Nie do końca wiemy, co teraz robić. Ani dokąd iść. Odbiór.

Odpowiedź była bardzo zwięzła i rzeczowa:

- Możecie się z nami połączyć za trzydzieści minut?

- Okej. Bez odbioru.

Skupiliśmy się na wielkich porządkach. Zanieśliśmy plecaki i karabiny martwych żołnierzy na początek szlaku, a z pasków i szelek postanowiliśmy zrobić dwie pary noszy. Wiedzieliśmy, że kiedy wzejdzie słońce, będziemy musieli pozbierać setki pustych łusek rozrzuconych po okolicy.

Chmury były coraz bliżej i wydawały się jeszcze gęstsze, więc przynajmniej one nam sprzyjały.

Ledwie wzięliśmy się do noszy, przyszła pora znowu połączyć się z Nową Zelandią. Głos, który wydobył się z głośnika, był dla nas wielką niespodzianką.

- Dzień dobry, Ellie - powiedział pułkownik Finley. Wszyscy zebraliśmy się wokół radia. Bardzo się ucieszyliśmy,

słyszając człowieka, który odgrywał w naszym życiu tak wielką rolę, ilekroć się w nim pojawiał.

- O, pułkownik Finley, miło nam pana słyszeć. Mieliśmy mnóstwo kłopotów. O mały włos nie złapał nas patrol. Chyba wiedział, gdzie mniej więcej się ukrywamy. Mieliśmy tu prawdziwą bitwę. Odbiór.

- Są jakieś ofiary śmiertelne?

To było niezwykle: pułkownik Finley zaczynał od pytania o nasze zdrowie.

- Po naszej stronie nie. Wszystkie ofiary ponieśli oni.

- Ile? Odbiór.

- Osiem. Odbiór.

Przez parę sekund słyszeliśmy trzaski: prawdopodobnie pułkownik potrzebował chwili na zastanowienie. Nie wiedzieć czemu, czułam, że nasza odpowiedź okazała się ważna. Może wiadomość, że zlikwidowaliśmy patrol złożony z ośmiu żołnierzy

jeszcze raz przekonała pułkownika Finleya, że jesteśmy naprawdę dobrzy w tym, co robimy. Nie byliśmy jedynie dzieciakami, którym od czasu do czasu sprzyjał los.

- Myślicie, że będziecie bezpieczni przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny?

- Tak. Właśnie podejmujemy działania, które naszym zdaniem dadzą nam trzy dni, może nawet więcej. Odbiór.

Jego głos znowu odpowiedział szybko, zdecydowanie i pewnie.

- W porządku. Połączcie się ze mną jeszcze raz o dwudziestej pierwszej. Robi się ciekawie. I być może będę dla was miał jakieś wieści.

Po tych tajemniczych słowach pułkownik się rozłączył.

Spojrzeliliśmy na siebie, zastanawiając się, co mógł mieć na myśli. Ale nie było czasu na dyskusje. Czekало nas mnóstwo ciężkiej pracy. Ja i Homer dokończyliśmy robić nosze, a pozostała czwórka zaniósła do Piekła wszystko, co była w stanie unieść. Fi została na dole i zaczęła kopać masowy grób. Gavin obudził dzieci, które jakimś cudem zasnęły mimo odbijającego się echem po górach huk wystrzałów. Zaprowadził je na Szew Krawca, żeby mogły zacząć zbierać puste łuski. Większość łusek była widoczna, bo metal połyskiwał w świetle księżyca, ale musieliśmy kilka razy sprawdzić, czy na pewno zebraliśmy wszystkie.

Mnie, Homerowi, Lee i Kevinowi przypadło w udziale krwawe, odrażające zadanie pozbierania ciał i zanieśienia ich na dół na naszych prymitywnych leśnych noszach. Nie po raz pierwszy nieśliśmy zwłoki do Piekła, ale nie chciałam zbyt często powtarzać tego doświadczenia.

Zaczęliśmy parę godzin przed świtem, wiedząc, że musimy to wszystko posprzątać przed pierwszymi promieniami słońca.

Mogli tu przysłać śmigłowce, więc wszelkie dowody musiały zniknąć bez śladu - podobnie jak my.

Chmury nadciągnęły szybko i przyniosły szadź. Nie padało, ale lekka wilgoć mgły zrosiła nam twarze i już wkrótce moja skóra i ubrania były zupełnie mokre. Ciągłe odsuwałam mokre włosy z twarzy. Taka pogoda niewiele nam pomagała - mogła wprawdzie zatrzymać śmigłowce, ale nie zmyłaby krwi. W dodatku wilgotne skały zrobiły się śliskie, co było dość niebezpieczne, bo nieśliśmy ciężkie nosze, a niektóre odcinki szlaku prowadzącego do Piekła były dość strome.

Mieliśmy przerażająco mało czasu. Kiedy sobie przypominam, jak za dawnych czasów dzieci grały na komputerze w gry wojenne, jakby to był dobry, zabawny sposób na spędzanie czasu, żałuję, że nie mogły zobaczyć, jak taszczymy te zmasakrowane ciała na noszach. Nigdy nie słyszałam o grze komputerowej, która obejmowałaby taki element graficzny. Szkoda, że te dzieci nie mogły zobaczyć, jak się ślizgamy, pocimy i jak klniemy, idąc tamtą ścieżką, jak pochlipujemy ze zmęczenia i burczymy do siebie, bo nie mamy siły normalnie rozmawiać. Szkoda, że nie widziały płytkiego grobu, w którym zostawiliśmy ośmiu żołnierzy, żeby gnili pod cienką warstwą ziemi i kamieni, głęboko w lesie, w obcym kraju, tysiące kilometrów od swoich domów i rodzin.

Znowu zabiliśmy, żeby móc przeżyć. Byłam już zmęczona zadrażnieniem się pytaniami, czy postąpiliśmy słusznie. Po prostu pociągałam za spust, usprawiedliwiając to tym, że przetrwanie za wszelką cenę leży w ludzkiej naturze. Przez przypadek zrobiliśmy coś bardzo słusznego. Zabiliśmy cały patrol. Nikt nie przeżył. To oznaczało, że nikt nie może na nas donieść i nie musimy się martwić o jeńców. Dawno temu w Stratton Lee zwrócił nam uwagę na korzyści związane z zabiciem wszystkich wrogów. To

były najbardziej bezwzględne słowa, jakie kiedykolwiek słyszałam, ale miał rację.

Temperatura gwałtownie spadła i późnym rankiem było naprawdę zimno jak na lato. Większość mgły już się podniosła, ale gdzieś wisiła jeszcze w powietrzu. Skończyliśmy pracę. Udało nam się odwalić kawał roboty, nie bojąc się, że ktoś nas zobaczy z powietrza albo z gór. Pozbyliśmy się nawet większości kamieni draśniętych przez kule. Mniejsze rzuciliśmy w przepaść, a większe przekręciliśmy, żeby ukryć zniszczoną stronę.

Poszłam się położyć. Po drodze zatrzymałam się tylko na chwilę w miejscu, gdzie pozostali przeglądali zawartość plecaków. Patrzyłam przez moment, ale było to dość obrzydliwe zajęcie. Za to dzieci, przyzwyczajone do szabrowania po miesiącach ukrywania się w Stratton, były wręcz uradowane. Jakby nastąpiło drugie Boże Narodzenie, zaraz po tym pierwszym. Najwidoczniej wcale im nie przeszkadzało, że nie dzielaliśmy ich entuzjazmu.

Być może wszystko byłoby w porządku, gdyby w plecakach nie znajdowały się rzeczy osobiste. Ale nie mogłam znieść widoku zdjęć, listów i talizmanów. Ucieszyła mnie jedynie ilość jedzenia - pod warunkiem że zdołamy je przełknąć. Opakowania ryżu, zupek, makaronu i suszonych ryb były kolejnym dowodem na to, że żołnierze planowali długi pobyt w górach. Równie dobrze mogło to oznaczać, że w najbliższym czasie nikt nie przyjdzie ich szukać.

Mieli trochę amunicji, ale myślę, że większość z niej zużyli w walce z nami. Były też dwa radia, zupełnie inne niż nasz mały gadżet, i pewnie nie moglibyśmy ich bezpiecznie używać, bo wysyłały jakieś automatyczne sygnały albo coś w tym rodzaju. Przynajmniej leżały głęboko w plecakach, więc wiedzieliśmy,

że w środku strzelaniny nie nadano przez nie żadnych komunikatów. Reszta wyglądała na zwyczajne ubrania i inne tego typu rzeczy.

Odgoniłam dzieci. Przypominało to próbę odpędzenia much od jagnięcego udźca. Ale kiedy już udało mi się je przekonać, że nie są tam mile widziane, a potem bezpiecznie ukryć jedzenie, wczołgałam się do namiotu, żeby pospać kilka godzin.

Nie miałam szczęścia. Casey i Natalie grały w jakąś skomplikowaną i hałaśliwą grę z wykorzystaniem sterty pustych puszek i akcesoriów kuchennych. Westchnęłam zniecierpliwiona i przeniosłam się do namiotu chłopców. Przynajmniej tam było pusto i spokojnie.

Wpełzłam do śpiwora i położyłam głowę na paczuszce służącej za poduszkę. Była potwornie niewygodna i twarda. Próbowalam ułożyć grudowaty kształt w coś lepszego, ale czułam się tak, jakbym trzymała głowę na skale. Poza tym trochę dziwnie tam pachniało. Zaciekawiona, rozchyliłam poszewkę, żeby sprawdzić, czym dokładnie ją wypchano.

I znalazłam mały skarb.

Wafle ryżowe, puszki z łososiem, suszone morele, zupki w proszku, puszki kukurydzy, batoniki Violet Crumbles, gnijące jabłka: to wszystko wysypało się na moje zdumione dłonie na moich zdumionych oczach.

„Ty gówniarzu - pomyślałam. - To dlatego tak szybko kończyło nam się jedzenie... Schowałeś tu nawet to, co zginęło po świętach. Nadstawialiśmy karku, wchodząc na Szew Krawca, a ty miałeś tu zapas, który starczyłby nam na tydzień”.

Kradzież jedzenia w sytuacji, w jakiej się znajdowaliśmy, była poważną zbrodnią. Wściekłam się.

Nie wiedziałam, czyja to poduszka - Gavina czy Jacka - ale szybko poznałam prawdę. Przed namiotem pojawił się jakiś cień. Podniosłam głowę i zobaczyłam drżącego Jacka, który stał i patrzył na mnie. Po chwili zniknął bez słowa. Jakby naprawdę był tylko cieniem.

Zapomniałam o zmęczeniu i pobiegłam za nim. Uciekał jak chart. Homer, który zjawił się na ścieżce, stanął zaskoczony, patrząc, jak Jack mija go biegiem, a potem, widząc, że gonię chłopca, założył, że poszło o jakąś bzdurę, i zawołał za nim:

- Biegnij, młody, dasz radę!

Nie traciłam tchu na przeklinanie Homera. Przebiegając obok, rzuciłam mu tylko wściekłe spojrzenie.

Jack był ode mnie szybszy na płaskim terenie, ale to żadne osiągnięcie: na płaskim prześcignąłby mnie nawet chory królik. Za to kiedy Jack zaczął się wspinać po skałach, złapałam go z łatwością. Był za niski i miał za mały zasięg rąk, żeby sprawnie pokonać strome odcinki. Mniej więcej po jednej czwartej drogi na górę złapałam go za ramię i ściągnęłam do małego zagłębienia w urwisku. Leżeliśmy tam i piorunowaliśmy się wzrokiem.

- Dlaczego kradłeś jedzenie? - syknęłam na niego. Odwrócił się i zacisnął usta, jakby były sklezione.

- Byłeś głodny? - zapytałam. - Dawaliśmy ci za mało jedzenia? Dlaczego nic nie mówiłeś?

Ale gdy tylko to powiedziałam, zrozumiałam, że nie chodziło o głód. Gdyby Jack był głodny, od razu zjadałby wszystko, co udało mu się ukraść.

Złość powoli zaczęła ze mnie uchodzić.

- Dlaczego to zrobiłeś? - zapytałam, czując się już bardziej bezradna niż wściekła.

Nie potrafiłam go zrozumieć. Był takim wycofanym dzieckiem.

Nadal nie odpowiadał, ale zobaczyłam, że kiedy spuściłam z tonu, lekko się przygarbił. Jego twarz trochę złagodniała. Wykorzystałam to i drażyłam dalej.

- Nie rozumiesz, że za każdym razem, kiedy idziemy po jedzenie, ryzykujemy życiem? Zapasy, które schowałeś, zaoszczędziłyby nam jednej takiej wyprawy.

Teraz po prostu wydawał się przygnębiony.

Nie potrafiłam wymyślić nic więcej. Wiedziałam, że już i tak mówię jak upierdliwy rodzic i że jeśli nie przestanę, będzie jeszcze gorzej. Po chwili prawie zapomniałam, że jest przy mnie Jack. Położyłam się na plecach i patrzyłam na niebo. Mgła zniknęła, ale nadciągały nowe chmury. Układały się w owieczkę, krówkę i lokomotywę. Czy tak widziałyby je te dzieci? A może zobaczyłyby eksplodującą bombę, plamę krwi, zwłoki? Próbowałam sobie wyobrazić świat widziany oczami Jacka. Nie było to łatwe. Przez całe życie dorośli ludzie byli dla mnie w porządku. Jasne, kilku nauczycieli dało mi się we znaki, pan Nelson był jak wrzód na tyłku, a rodzice potrafili być strasznie wkurzający, kiedy chcieli. Ale tak naprawdę nigdy nie spotkało mnie z ich strony nic złego.

Przed wojną ufałam ludziom. Miałam w tym wieloletnie doświadczenie. Jack przeciwnie. Wyglądało na to, że jego życie już przed wojną było dość parszywe. Nie opowiadał nam zbyt często o swoim ojcu ani o życiu w blokowisku, ale usłyszałam wystarczająco, żeby wiedzieć, że jego los wyglądał zupełnie inaczej niż mój. Na przykład kiedy byłam dzieckiem, nigdy nie przy-szłoby mi do głowy, że może nie być następnego posiłku. Nigdy nie zasypiałam głodna. Odnosiłam wrażenie, że Jack nie miał aż tyle szczęścia.

Podczas jednego z naszych posiłków powiedział: „Raz przez cztery dni pod rząd nie mieliśmy do jedzenia niczego oprócz zupek chińskich”. Mruknęłam, że wojna jest ciężka dla każdego, ale on odpowiedział: „Nie, to było przed wojną, kiedy mieszkałem z tatą”. Potem, widząc, jak na niego patrzymy, domyślił się, że wyjawiał coś dziwnego, więc szybko się przymknął i zajął się pieczoną jagnięciną.

No więc kiedy tak leżałam, zaczęłam rozumieć, w jaki sposób Jack widzi świat. Może on i jego ojciec zawsze byli zdani tylko na siebie. Myślał, że już do końca życia będzie stał sam przeciwko całemu światu. Dla dziewięciolatka to musi być dość ciężka sprawa.

Samotnik - taki był Jack. Nikomu nie ufał, najprawdopodobniej od dawna.

Potrafiłam sobie wyobrazić, że kiedy widział jedzenie, próbował zgromadzić dla siebie zapasy, żeby utrzymać się przy życiu. Prawdopodobnie nawet nie przyszło mu do głowy, że mógłby na nas polegać, że będziemy się nim opiekować, karmić go i chronić. Nie mieliśmy nic przeciwko temu, ale widocznie uznał, że ukrywamy jakiś inny plan albo że jutro może nas tu już nie być.

Rozboliła mnie głowa od tego wczuwania się w rolę Jacka, od prób wniknięcia do jego umysłu. Czując największe zmęczenie, jakie mnie dopadło od początku tej wojny, wstałam i wyciągnęłam do niego rękę. Spojrzał na mnie podejrzliwie i nie podał mi swojej. Wróciliśmy do obozowiska. Jack trzymał się spory kawałek za mną.

Kiedy dotarliśmy do namiotów, Homer, który akurat siłował się z Gavinem na rękę, zawołał:

- Dopadłaś go, co?
- Na to wygląda.
- Co przeskrobał?

Spojrzałam na Jacka, który gwałtownie się zatrzymał. Wiedziałam, jak bardzo podziwia Homera. Wpatrywał się we mnie, a jego twarz miała kolor zwłok, które niedawno zakopaliśmy.

- Założył się ze mną, że pierwszy dobiegnie do Kurzej Skąły - powiedziałam.

Jack odwrócił się i odszedł.

Tym razem mój namiot był już pusty, więc po raz drugi spróbowałam zasnąć, tym razem we własnym śpiworze. I spałam dość twardo. Obudził mnie najlepszy dźwięk, jaki mogłam sobie wymarzyć: miarowe bębnienie deszczu o tropik namiotu. Leżałam, a deszcz bębnił coraz mocniej. Wiał lekki wiatr: tropik rozciągał się i nadymał, szarpał za śledzie, ale nie aż tak, żebyśmy musieli się martwić.

Obok mnie cichutko pochrapywała Fi, a Natalie i Casey rozłożyły się między nami i pogrążyły we własnym niespokojnym śnie. Ostatnio spędzały w naszym namiocie więcej czasu niż w swoim. W Piekłe trwała zabawa w gorące namioty, w gorące krzesła.

Położyłam głowę z powrotem i znowu zamknęłam oczy.

Gdyby kilka godzin później nie obudził mnie Homer, przespałabym rozmowę z pułkownikiem Finleyem. Homer wyglądał na wykończonego. Byłam na siebie wściekła i zrobiło mi się głupio, kiedy powiedział, że podczas gdy ja spałam, przez cały czas pełnił wartę na Szwie Krawca. Przejął ją od Lee, a potem zszedł na dół, żeby mnie zawołać na rozmowę z pułkownikiem. Nie mogłam uwierzyć, że zaniedbałam tak ważną sprawę. Kiedy człowiek jest zmęczony, przestaje racjonalnie myśleć. Jasne, że potrzebowaliśmy wart: od tej pory nie mogliśmy już liczyć na to, że w Piekłe będziemy bezpieczni. Wszystkie obiekcje, jakie mieliśmy co do wart pełnionych od chwili odkrycia

obozowiska wroga i ciepłych pozostałości ogniska, nagle okazały się bezpodstawne.

Tak naprawdę potrzebowaliśmy teraz dość złożonego systemu wart, tak aby w razie pojawienia się patrolu na Szwie Krawca osoba stojąca na czatach mogła nas o tym zawiadomić, nie narażając się na niebezpieczeństwo.

Obudziliśmy Fi, ale nie chciała z nami iść, podobnie jak Kevin. Lee już czekał. Narzekając na samą siebie i przepraszając Homera, człapałam za chłopakami ścieżką i bezskutecznie próbowałam się otrząsnąć ze zmęczenia.

Udało mi się dopiero na szczycie Wombegonoo, kiedy usłyszałam spokojny głos pułkownika Finleya przemawiający do nas cicho zza Morza Tasmana. Dzięki niemu się obudziłam.

- Nadal uważacie, że możecie bezpiecznie utrzymać pozycje przez następne czterdzieści osiem godzin? - zapytał.

Potwierdziłam skinieniem głowy.

- Tak - odpowiedział Homer. - Odbiór.

Teraz, kiedy deszcz rozpadał się na dobre, byłam tego pewna. Ślady krwi i naszych stóp zostaną zmyte. W ciągu co najmniej stu lat tylko pustelnikowi i nam udało się znaleźć drogę do Piekła. Nie przypuszczałam, żeby wrodzy żołnierze niezna-jący tego lasu zdołali się tam dostać w najbliższym czasie. Mogliśmy się jeszcze trochę poukrywać.

- W porządku - powiedział pułkownik Finley. - Zbliżają się ważne chwile. Znowu chcę was poprosić o pomoc. Ale wiedzcie, że mam na myśli aktywną i niebezpieczną służbę. I zanim powiem coś więcej, potrzebuję waszej zgody. Odbiór.

- Zgadzą się - powiedział Homer.

-Jesteś pewny, że nie chcecie się naradzić i połączyć się ze mną za godzinę? Albo później?

- Jestem pewny — powiedział Homer. — Odbiór.

Tym razem nie miałam do Homera pretensji, że podejmuje decyzje w moim imieniu. Nawet zachęciłam go kiwaniem głowy. Przyznaję, wchodziliśmy na grząski grunt, dając takie obietnice, kiedy Fi i Kevin spokojnie spali w Piekło, ale wiedzieliśmy, że nas poprą.

- W porządku. Czy miejsce, w którym wylądowaliście, kiedy wysłaliśmy was z powrotem do domu, nadal jest bezpieczne? Odbiór.

- Tak. Z tego, co wiemy. Od paru tygodni tam nie zaglądaliśmy. Odbiór.

- W porządku. Jutro o trzeciej w nocy możecie się spodziewać gościa. Będzie u was tylko dwadzieścia cztery godziny. Jasne? Odbiór.

Spojrzyliśmy na siebie zaskoczeni. Pomyślałam, że tuż po Bożym Narodzeniu naprawdę zobaczymy Mikołaja. Niesamowite.

- Dobrze - powiedział Homer.

- Chcę, żebyście dziś wieczorem o dwudziestej trzeciej sprawdzili to miejsce i potwierdzili, że jest bezpieczne. Hasłem będzie twoja data urodzin. Potem, o pierwszej i o drugiej czterdzieści pięć, znowu potwierdzicie, że teren jest czysty. Użyjcie kolejno dat urodzin Ellie i Lee. Jasne?

- Jasne.

- Potrzebujecie czegoś? Odbiór.

- Czekolady - krzyknęłam do nadajnika. - I awokado. I lukrowanych herbatników. I pomidorów.

Pułkownik Finley zmartwił się chyba, że stwotzył potwora i będziemy składać zamówienia przez całą noc, bo dość szybko zakończył rozmowę. Ale zabawne było to, że po moim małym słowotoku żadne z nas nie potrafiło wymyślić nic więcej. Pół

godziny później, wracając do Piekła, nadal szukaliśmy rzeczy, które chcielibyśmy dostać. Dzięki temu łatwiej było zapomnieć o deszczu, ale i tak nic błyskotliwego nie przyszło nam do głowy.

- Pianki marshmallow - powiedział Homer.
- Kilka nowych książek - dodał Lee. - Mam już dość *Red Shift*.
- Zegarek - wtrąciłam.

Nikt nie został na czatach na Szwie Krawca, bo uznaliśmy, że przy takiej pogodzie jesteśmy raczej bezpieczni. A rozmowa z pułkownikiem Finleyem tak nas podekscytowała - i zaniepokoiła - że chcieliśmy jak najszybciej pogadać o niej z Fi i Kevinem, zamiast tkwić samotnie w zimnie i wypatrywać zbliżającej się w ciemności śmierci.

Epilog

Nigdzie się nie ruszam i piszę. Naprawdę nie ruszam się z miejsca: przez większość dnia leżę w namiocie, najpierw na prawym boku, potem na lewym, potem na plecach i znowu na prawym boku.

Obok mnie leży bukiet kwiatów, które znalazłam na swoim śpiworze. To chyba prezent od Jacka. Pół bukietu tworzą chwasty, ale chyba nigdy w życiu nie dostałam cenniejszego prezentu, więc nie narzekam. Od czasu do czasu sięgam po niego i wącham.

Takie leżenie wcale nie jest zbyt wygodne, ale z jakiegoś powodu go potrzebowałam. Nie chcę wychodzić na słońce, które praży od dziesiątej rano. Nie chcę nawet siedzieć pod gołym niebem. Nie po raz pierwszy rozmyślałam o Andrei, terapeutce, którą poznałam w Nowej Zelandii. Tak bym chciała znowu ją teraz zobaczyć, ale nie podejrzewam, żeby to właśnie ona była tym tajemniczym gościem, który spadnie nam z nieba.

Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, co bym jej w tej chwili powiedziała. Potrzebuję kilku miesięcy, żeby się dowiedzieć. Mówiłabym pewnie trochę o wojnie, a trochę o tym, co usłyszałam od Fi podczas wspinaczki na szczyt.

Jasne, pogodziłam się z Lee, ja i Fi znowu dobrze się dogadujemy i próbuję być dla wszystkich miła, ale mam dziwne

poczucie, że Fi mówiła o czymś więcej. Boję się, że chodziło jej o zmiany tak wielkie, głębokie i potężne, że nie będę w stanie ich cofnąć. Bo sama niewyraźnie czuję, że w ciągu ostatniego roku bardzo się zmieniłam.

Woła mnie Lee. Pewnie szuka obieraczki do ziemniaków. Ale będzie ją musiał znaleźć sam. Chcę dokończyć pisanie.

Oczywiście piszę tak szybko i zaciekle dlatego, że chcę nadrobić zaległości, zanim wyjdziemy powitać śmigłowiec. Po dzisiejszej nocy wszystko się może zdarzyć. Jeśli szykuje się naprawdę pilna akcja, możemy tu już nie wrócić. Bierzymy lekkie plecaki

i każde z nas będzie miało strzelbę, na wypadek gdybyśmy musieli się dokądś przenieść. Zostawiamy z dziećmi Fi i Kevina, co może nie jest idealnym rozwiązaniem, ale nie mamy innego wyjścia.

Teraz, kiedy już wszystko opisałam, mogę wrócić na Szew Krawca, wiedząc, że przynajmniej jedna część mojego życia została uporządkowana. Odkąd zaczęła się wojna, zapisałam tony kartek. Może jeśli wojna się skończy, będę mogła jakoś je wykorzystać. Tymczasem mam sterty papieru ukryte przede wszystkim w cynowym pudełku w parapecie chatki pustelnika, a także w Nowej Zelandii. Tamtymi opiekuje się Andrea.

Coś mi mówi, że nadciąga przełom. Nie chodzi tylko o sposób, w jaki rozmawiał z nami pułkownik Finley — to uczucie narasta we mnie od jakiegoś czasu. Myślę, że szykuje się ostateczna rozgrywka. Jeśli tak, chcę wziąć w niej udział. Nie chcę wracać do Nowej Zelandii, jeśli mam szansę pomóc w decydującym momencie.

Wiążę z tym wielkie nadzieje. Chcę zrobić to, co należy, i nikogo nie zawieść. Chętnie bym się dowiedziała, co spotkało komandosów z Nowej Zelandii. Chcę zobaczyć, jak odzyskujemy kontrolę nad naszym krajem. I pragnę odnaleźć rodziców.

W sumie jedyne rzeczy, które mają w życiu znaczenie, są cholernie proste. Rodzina, przyjaciele, bezpieczeństwo i zdrowie. Myślę, że przed wojną mnóstwo ludzi dało się wessać tym bzdurom w telewizji. Myśleli, że najważniejsze jest posiadanie odpowiednich butów, dzinsów albo samochodu. Boże, ale byliśmy głupi.

Chyba nam się wydawało, że można się ukryć za takimi rzeczami. Uznaliśmy, że jeśli będziemy nosili lewisy, jedli big maki i pili pepsi, nikt nie zechce zajrzeć głębiej. Nikt nie będzie chciał zobaczyć, jacy jesteśmy naprawdę.

Wojna nam to wszystko zabrała. Staram się odnaleźć w pamięci podobne wypadki sprzed wojny. I znajduję ich niewiele. Między innymi oczywiście kurs przetrwania: po paru dniach z tymi kolesiami bardziej interesowało nas to, jacy naprawdę są ludzie, niż to, gdzie kupują ubrania. Kiedy Jodie Lewis została potrącona przez samochód i leżała w śpiączce, bardzo się wszyscy zjednoczyliśmy i przestało nas obchodzić, jakie kto ma buty. Nagle ludzie, którzy normalnie nigdy ze sobą nie rozmawiali, ściskali się i razem płakali.

Wygląda na to, że tylko cierpiąc, potrafimy zobaczyć, co jest naprawdę ważne. Jeśli kiedykolwiek znowu nastanie pokój, przysięgam, że zaprojektuję sobie specjalne okulary. Zasłonią to, czy ludzie są grubi, czy chudzi, piękni czy dziwni, czy mają pryszczki, znamiona, czy skórę innego koloru. Te okulary dadzą nam to samo, co dało cierpienie, tyle że bez bólu. Będę je nosiła do końca życia.

Tymczasem nadal szaleje wojna, dzieci obok mojego namiotu marudzą, a za niespełną godzinę wejdę na Szew Krawca, żeby przejąć wartę od Fi. Jeśli się pospieszę, zdążę zanieść te zapiski do chatki pustelnika i włożyć je do cynowego pudełka. Mam tylko nadzieję, że nie po raz ostatni pisze o sobie i swoich przyjaciółach oraz o tym, co nas spotkało, odkad zaczęła się wojna.